Peter

Temple

MROCZNA SERIA

DUCHY PRZESZŁOŚCI

wydawnictwo WAB

PETER
TEMPLE

DUCHY PRZESZŁOŚCI

przełożyła Aleksandra Gietka-Ostrowska

Tytuł oryginału **Bad debts**

Przekład **Aleksandra Gietka-Ostrowska**
Redakcja **Ewdokia Cydejko**
Korekta **Bogusława Jędrasik, Natalia Kraszewska**
Projekt okładki **Krzysztof Kiełbasiński**
Fotografia wykorzystana na I stronie okładki: **© Ricardo De Mattos/istockphoto.com**
Skład i łamanie **TYPO**

Copyright © by Peter Temple, 1996
All rights reserved
Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXIII
Copyright © for the Polish translation by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXIII

ISBN 978-83-7881-051-3

FOKSAL
GRUPA WYDAWNICZA

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
00-372 Warszawa, ul. Foksal 17
tel. 22 828 98 08, 22 894 60 54

biuro@gwfoksal.pl

Wydanie I
Warszawa

Skład wersji elektronicznej **Michał Olewnik** / Wydawnictwo W.A.B.
i **Michał Nakoneczny** / Virtualo Sp. z o.o.

Spis treści

Dedykacja

Duchy przeszłości

Przypisy

Biogram autora

Anicie i Nicholasowi, wiernym wyznawcom

Znalazłem Edwarda Dollery'ego, lat czterdzieści siedem, księgowego z zakazem wykonywania zawodu, rozrzutnika i niegodziwca, w domu wynajętym na nazwisko Carol Pick. Był to jeden z tych nowych, pokrytych klinkierem budynków, wybudowanych na pastwisku po wschodniej stronie miasta. Budynków dziwnie cichych, mających nie więcej niż dwanaście lat, kupionych z wysiłkiem na kredyt.

Twarz Eddiego nie wyglądała dobrze. Kilkakrotnie skaleczył się przy goleniu, a drobne, krwawiące ranki zalepił strzępkami papieru toaletowego, na których teraz lśniły purpurowe rozetki. Reszta też nie prezentowała się najlepiej. Krótki, pękaty korpus opinała wymięta, wczorajsza koszula w prążki, zestawiona z wiśniowymi spodniami od piżamy. Całość, o jakiej lepiej szybko zapomnieć.

– Tak? – spytał poirytowanym tonem kogoś, komu przerwano lekturę w samolocie lecącym do Tokio, Zurychu albo Mediolanu. Ręce trzymał za plecami, podtrzymując opadające spodnie.

– Marinara, tak? – Wskazałem palcem kieszonkę koszuli, na której zdążył już zaschnąć wspomniany sos.

Popatrzył na mój palec, a potem spojrzał mi w oczy. Już wiedział. W kąciku jego ust pojawił się czubek języka. Widać Ed zamierzał oblizać górną wargę, ale się zawstydził i rozmyślił.

– Proszę wejść – rzekł dużo łagodniejszym tonem. Cofnął się w głąb hallu. Wyciągnął zza pleców prawą rękę i wycelował pistolet w mój rozporek. – Właź albo odstrzelę ci jaja.

Zaskoczony, zerknąłem na broń. Wyglądała na albańską. Gruchot, który w każdej chwili mógł wystrzelić, ot tak.

– Pan Sabbatini? Pan Michael Sabbatni? – spytałem. – Przyszedłem w sprawie debetu na pańskiej karcie.

– Właź. – I znów machnął pistoletem.

Przesunął się, robiąc mi miejsce, a potem ruszył za mną w głąb domu. Przez nijaki korytarz przeszliśmy do saloniku zapchanego

skórzanymi meblami w pastelowych kolorach.

Eddie zatrzymał się na środku pokoju. Ja też stanąłem i odwróciłem się twarzą do niego. Przez chwilę patrzyliśmy na siebie w milczeniu.

– Chodzi wyłącznie o pieniądze. Celuje pan w przedstawiciela firmy windykacyjnej. Grozi za to kara więzienia. Jeśli nie życzy pan sobie omawiać warunków spłaty, z przyjemnością poinformuję o tym moich pracodawców.

Eddie potrząsnął lekko głową.

– Jak mnie znalazłeś?

Zamrugałem, udając zdziwienie.

– Nie szukałem pana, panie Sabbatini. Mamy pański adres. Przysyłamy panu wyciągi z konta.

Eddie przesunął tupecik i podrapał się w łysinę. Zauważyłem na niej kilka przerzedzonych kępek wszczepionych włosów.

– Muszę cię zamknąć – uznał po chwili. – Ręce na głowę.

Posłusznie wykonałem polecenie.

– Idź przed siebie. Już.

Trzymał się w bezpiecznej odległości. Kiedy dotarłem do drzwi kuchennych, był dobre półtora metra za mną. Wokół walały się puste butelki po szampanie – Perrier Jouët, Moët et Chandon, Pol Roger, Krug… Żadnego przywiązania do marki ani szacunku dla budżetu ojczyzny. Na blacie po mojej prawej zauważyłem butelkę Pipera.

– Obróć się w prawo – zakomenderował Eddie.

Wypełniłem polecenie, korzystając z okazji. Ledwie Eddie przestąpił próg kuchni, wziąłem szeroki zamach i rąbnąłem go flaszką Pipera prosto w szczękę. Albański gruchot wypalił Panu Bogu w okno, czyniąc przy tym nie więcej hałasu niż zamknięte z trzaskiem drzwi. Eddie wypuścił go z dłoni, żeby złapać się za twarz. Chwyciłem go za koszulę, obróciłem i wbiłem mu prawe kolano w kręgosłup, chwytając za resztki włosów i odginając do tyłu. Zwalił się ciężko na podłogę. Już miałem go kopnąć dla przykładu, kiedy nagle spłynęła

na mnie fala spokoju i postanowiłem mu tego oszczędzić.

Eddie stękał i jęczał, ale przecież od butelki po szampanie nikt jeszcze nie umarł. Złapałem go za nogi, wyciągnąłem z kuchni i zamknąłem w łazience po drugiej stronie korytarza.

– Hej, koleś! – Dobiegł po jakimś czasie zza drzwi jego słaby głos. – Powiesz mi, jak się nazywasz?

– Popełniłeś błąd, Dollery. Gdzie forsa?

– Zaczekaj. Daj mi chwilę.

W lodówce znalazłem jedzenie na jakieś dwa, trzy tygodnie. Głównie mrożonki i gotowe dania. Desery z Kolumbii. Na podłodze sypialni i przylegającej do niej łazienki mnóstwo brudnych koszul i gaci. W szafie z przesuwnymi lustrzanymi drzwiami – trzy garnitury, dwie tweedowe marynarki oraz kilka par spodni w jednym rozmiarze. Na kolejnych wieszakach fartuszek pielęgniarki, uniform Sally z Armii Zbawienia, kostium pokojówki i coś, co wyglądało na mundur galowy kobiety oficera Waffen SS. Obok czarna bielizna, w tym kilka sztuk skórzanej, oraz czerwony pas do pończoch. Mój szacunek do pani Pick, kwiaciarki i sygnatariuszki aktu wynajmu domu, rósł z każdą chwilą. Widać było wyraźnie, że kobieta ma dobrą rękę. Pewnie do roślin też.

Kiedy mijałem łazienkę, wracając z pralni, w której przejrzałem stosy brudnej bielizny, zza drzwi znów dobiegł mnie głos Eddiego.

– Słuchaj, koleś. Nie chciałbyś być bogaty?

Słuch miałem świetny. Przystanąłem.

– Kontakt z ludźmi takimi jak ty, Dollery, dostatecznie wzbogaca moje wnętrze.

– Nie picuj. Naprawdę to zrobisz?

– Co?

– Wykończysz mnie?

Jak na byłego księgowego, nie grzeszył zbyt bogatym słownictwem.

– Nie tragizuj. Za dużo śniegu ostatnio wciągnąłeś.

– Jezu! Dasz mi jeszcze szansę?

Usiadłem w salonie i zadzwoniłem do Belvedere Investments, mojego tymczasowego pracodawcy. Pani Davenport obiecała, że Wootton wkrótce do mnie oddzwoni. Zanim została jego sekretarką, spędziła dwadzieścia lat w recepcji przychodni wenerologicznej. John Edgar Hoover[1] wiedział znacznie mniej niż ona.

Czekając na obiecany telefon, rozejrzałem się trochę po domu. Potem usiadłem przy telefonie i zapatrzyłem się w okno z widokiem na Mabberley Court. Pustka. Ani śladu ruchu. Kątem oka zauważyłem tylko drgnięcie zasłon w domu naprzeciwko, tak sterylnie czystym i otoczonym tak zadbanym trawnikiem, że równie dobrze mógł być Grobem Nieznanego Mieszkańca Przedmieść.

Rozległ się dzwonek telefonu.

– Jack, chłopcze, obyś miał dobre wieści. Mów śmiało. – Wootton siedział chyba w pubie.

– Dollery myśli, że przyszedłem go zabić.

– Znalazłeś go? To świetnie.

– Mogłeś mnie ostrzec, że ma broń, Cyrilu. I że czuje się osaczony. Doliczę do stawki pięć procent ekstra za wstrząs, jakiego doznałem, gdy wycelował we mnie lufę pistoletu.

Wootton zaśmiał się chrapliwie.

– Eddie to oślizgły mały krętacz, ale nie skrzywdziłby muchy. Tacy jak on zawsze spodziewają się najgorszego, bez przerwy mają wyrzuty sumienia i po kryjomu wciągają cukier puder zamiast koki. Znalazłeś coś ciekawego?

– Damskie fatałaszki.

Wootton znów się roześmiał.

– To jedna z jego słabości. Pewnie miał je też na sobie.

Mabberley Court zwilgotniała od deszczu. Na ganku idealnego domu naprzeciwko pojawił się wielki biały kot.

Wychodząc, zatrzymałem się przy drzwiach łazienki, by pogadać z Eddiem. Mimo wszystko czułem niechętny szacunek do faceta, który zakłada kwiaciarnię po to tylko, żeby przebierać się w stare mundury

Ilse Koch i zakładać pod nie skórzane figi z dziurą w kroku.

– Dollery! – zawołałem. – Radzę ci chętniej współpracować z ludźmi, którym kradniesz forsę. Nie strasz więcej pukawką ich wysłanników.

– Zaczekaj! Nie odchodź! – odkrzyknął. – Oddaj mi spluwę, to powiem ci, gdzie leży dziesięć kawałków. Przejdź od tyłu i podaj mi ją przez okno. Dziesięć kawałków, stary. Gotówką. W używanych banknotach.

– I tak wiem, gdzie znaleźć te dziesięć kawałków. Tacy jak ty trzymają je w zmywarkach. A siedemdziesiąt tysięcy upychają w otworach wentylacyjnych. Wootton wyliczył, że jesteś mu winien dwadzieścia kawałków. Wsunę pod drzwi kwit na osiemdziesiąt i długopis. Podpisz.

Przez chwilę w łazience panowała cisza.

– Powiedz mu, że oddam co do centa – zaskomlił wreszcie Eddie.

– Sam mu to powiedz. Podpisz.

Posłuchał i przepchnął papier na korytarz.

– Jeszcze długopis.

Kolejny ruch pod drzwiami.

– Dziękuję i do widzenia, panie Dollery.

Krzyczał coś, gdy zamykałem frontowe drzwi, ale nim doszedłem do auta, wrzaski ucichły. Biały kot przyglądał mi się z drugiego końca ulicy. Ruszyłem Mabberley Court. Dwie godziny później siedziałem już na trybunach toru wyścigowego w Pakenham, obserwując konia o imieniu New Ninevah, który w swojej pierwszej gonitwie był siódmy.

Następnego dnia poleciałem do Sydney, żeby pogadać z kimś, kto prawdopodobnie widział tragiczną w skutkach awanturę na parkingu przed centrum handlowym w Melton. Liczyłem, że uwinę się w góra sześć godzin. Zajęło mi to dwa dni. I oberwałem, bo facet omal nie rozwalił mi lewego ramienia kijem bejsbolowym. Aluminiowym, na japońskiej licencji. Kiedyś nigdy by mi się to nie przytrafiło.

Dostałbym najwyżej drewnianym kijem do krykieta, owiniętym czarną taśmą izolacyjną. Albo i to nie, bo po prostu dawniej nie wziąłbym takiej roboty.

* * *

Wróciłem do Melbourne w sobotę o 17.30. Po drodze z lotniska wysłuchałem podsumowania wyników rozgrywek futbolowych. *Drużyna Fitzroy rozpoczęła sezon spektakularną porażką*, oznajmił komentator. Miałem ochotę go wyłączyć. Interesował mnie wyłącznie wynik dzisiejszego meczu! Odpowiedź nadeszła znacznie później: Fitzroy przegrało siedemdziesiąt osiem do stu czternastu.

Skręciłem w Royal Park, objechałem uniwerek i Carlton Street i dojechałem do pubu Książę Pruski. Był to jeden z niewielu pubów w Fitzroy, który nadal utrzymywał się wyłącznie ze sprzedaży piwa. Większość pozostałych dawno już zmieniono w knajpki tajskie lub włoskie z kolorowymi nadrukami z menu na szybach.

Zaparkowałem auto przecznicę wcześniej, stając dwoma kołami na chodniku, po czym pieszo doszedłem do pubu. Prowadziła mnie do niego smużka niedającego się z niczym pomylić zapachu: kwaśny odór rozlewanego przez setki lat piwa. Pijali tu mój dziadek i ojciec. Śniada twarz tego ostatniego, zastygła w wyrazie skupienia, patrzyła na mnie z wyblakłych fotografii drużyny futbolowej Fitzroy z lat czterdziestych, wiszących obok drzwi z napisem „Dla panów".

Dziś już niewielu kibiców Fitzroy pamiętało mojego ojca, a jeśli go pamiętali, odnosili się do mnie z pogardą, uważając, że do pięt mu nie dorastam. Przy barze siedziało trzech takich weteranów, pogrążonych we wspomnieniach nad szklaneczką złocistego płynu. Kiedy stanąłem w drzwiach, strzepując z rękawów krople deszczu, patrzyli na mnie tak, jakbym osobiście odpowiadał za trzydziestoszesciopunktową porażkę Fitzroy w meczu z Carlton.

– Trzy przejęcia z rzędu – mruknął Eric Tanner, który siedział najbliżej drzwi. – Grali jak ostatnie cioty. Gdzieś ty się, u diabła, podziewał?

– Przykro mi. Miałem robotę.

Wszyscy panowie, których łączny wiek przekraczał pewnie ze

dwieście dwadzieścia lat, spojrzeli na mnie jak na komendę z tym samym wyrazem oczu. Tak patrzą kumple na chłopaka, który stoi i gada z dziewczyną, podczas gdy inni męczą się na boisku.

– Poleciałem do Sydney załatwić pilną sprawę. – Równie dobrze mogłem powiedzieć, że wyszedłem ze świnią szukać trufli, bo i tak nie zaszczycili mnie uwagą.

– Szkoda, że nie wziąłeś ze sobą chłopaków z drużyny – oznajmił Wilbur Ong.

– Czy jakakolwiek robota jest pilniejsza od rozgrywek? – spytał z niedowierzaniem Norm O'Neill. Dla siedzących przy barze weteranów futbolu wyjazd z Melbourne podczas sobotnich meczów był mniej więcej tak samo kuszący jak kursy samodoskonalenia się w pracy.

Zerknąłem na barmana Stana. Stał w przejściu prowadzącym do kuchni i podniesionym tonem rozmawiał z żoną, Liz. Ze swojego miejsca widziałem tylko połowę jej twarzy i ironiczny grymas skrzywionych z niesmakiem ust. Stan rzucił jeszcze jedno słowo, po czym pożeglował majestatycznie za bar. Był wielkim facetem o rzednących włosach i małym, okrągłym nosku, doklejonym do mięsistej twarzy jakby przypadkiem. Pub należał do jego ojca, Morrisa, który miał już osiemdziesiąt sześć lat, ale nie chciał sprzedać synowi lokalu, a co gorsza, ku wiecznemu oburzeniu Liz, nie miał najmniejszej ochoty umrzeć w porę.

– Chłopcy za tobą tęsknili – zagadnął.

– Powiedzieli mi nawet, jak bardzo – odparłem. – Wyczyściłeś już rury? – dodałem, bo jego piwo od kilku tygodni miało dziwny smak.

Spojrzał na mnie z politowaniem.

– Przez te rury można by karmić niemowlę. Kazałem je przeczyścić parą pod ciśnieniem. Facet, który to zrobił, mówił, że nic z nich nie wyciekło, co nie przeszkodziło mu zedrzeć ze mnie za usługę. – Postawił na barze pierwszą pełną szklankę. – Dzwonił ten twój Angol, Wootton. Prosił, żebyś się odezwał, gdy wrócisz.

– Taki z niego Angol, jak i z ciebie. Jego stary uczył obróbki metalu w Preston Tech.

– Szkoda że mój też nie uczył w Preston Tech – burknął Stan z ironią. – Nie musiałbym tu sterczeć i godzinami wysłuchiwać ględzenia staruchów o jakichś piekielnych meczach sprzed sześćdziesięciu lat.

Zadzwoniłem do Woottona z klitki zapchanej starymi rachunkami, ulotkami i pocztą, którą Stan nazywał szumnie swoim biurem. Pod telefonem znalazłem biuletyn piwowarów z 1954 roku.

– Pan Wootton wielokrotnie próbował się dziś z panem skontaktować – oznajmiła pani Davenport. – Sprawdzę, czy jest wolny. Proszę zaczekać.

– Wolny niczym ptak pośród chmur – rzuciłem, nie wiedzieć po co.

– Słucham? – spytała pani Davenport, nie okazując zdziwienia.

– To cytat z wiersza pewnego amerykańskiego poety, E.A. Presleya.

Po drugiej stronie słuchawki zapadła starannie odmierzona chwila ciszy, dowodząca, że moja lekceważąca postawa została odnotowana. Potem nagle odezwał się Wootton:

– Po co ci automatyczna sekretarka, skoro i tak nie oddzwaniasz? Byłem tak zdesperowany, że zadzwoniłem do speluny, w której pijesz.

– Właśnie z tej speluny dzwonię.

– Wypełzniesz z niej do poniedziałku, żeby załatwić małe zlecenie?

– Czyżbym wyczuwał w twoim tonie irytację szefa na leniwego pracownika? Może najpierw podziękuj mi za paczkę, którą podesłałem ci w czwartek. Potem dopiero pomówimy o kolejnym zadaniu.

– Dziękuję – odparł tonem pozbawionym bodaj odrobiny wdzięczności. – Sądzę, że hojna zapłata wynagrodzi ci wszelkie niedogodności.

– Ustalona stawka nie dotyczyła starcia z miłośnikiem lateksu uzbrojonym w wielki rewolwer. Wyjaśniłem ci to przez telefon.

– Nieszkodliwy z niego grubas.

– Nieszkodliwe grubasy nie noszą w gaciach broni.

Przekomarzaliśmy się tak jeszcze przez jakiś czas. Potem wróciłem do baru, wypiłem piwo i zjadłem zapiekaną kanapkę z serem, wyczarowaną przez zręczne ręce Liz z trocin i plastiku. Byłem już przy drzwiach, gdy Stan nagle o czymś sobie przypomniał.

– W czwartek szukał cię tu jeszcze jeden gość. Powiedział, że zajrzy do biura.

– Jak się nazywał?

– Nie mówił, a ja nie pytałem. Sądziłem, że jeszcze wróci.

– Jak wyglądał?

Stan zamyślił się na chwilę, marszcząc czoło.

– Mały. I niebezpieczny.

– Jak połowa ludzi, których znam.

Wróciłem do domu pachnącego starymi książkami. Ich zapach przeniósł mnie w przeszłość do czasów, gdy zaczynałem karierę i musiałem często grzebać w aktach upchniętych w kartonach ustawionych jeden przy drugim jak trumny w krypcie. Zostawiłem torbę w sypialni i otworzyłem okna w salonie. Ziąb wpadł do środka jak żywa istota. Przy końcu ulicy z szumem przemykały samochody. W świetle ulicznych latarni strugi deszczu wyglądały tak, jakby wyrastały z chodnika w kolorze rekiniego grzbietu.

Zrobiłem sobie drinka z whisky, lodu i wody z kranu. Opadłem na sofę przy telefonie. Maleńka czerwona lampka automatycznej sekretarki migotała niespokojnie w mroku. Wyciągnąłem rękę, by odtworzyć wiadomości, ale zmieniłem zdanie. Co mi tam! Zaczekam z tym do jutra.

Dopiłem whisky, zrobiłem sobie kakao i poszedłem z nim do łóżka. Czułem się zmęczony i samotny. Potrzebowałem aż sześciu stron boliwijskiej powieści psychologicznej, by wreszcie odpłynąć w sen.

* * *

Niedzielę spędziłem na słodkim nieróbstwie. Wałęsałem się po domu i co jakiś czas bez przekonania użalałem się nad sobą. Przez godzinę pisałem list do córki mieszkającej w Queensland. Claire była kucharzem na kutrze pływającym w okolicach Port Douglas. Wyobrażałem ją sobie jako smukłą piękność o kruchych nadgarstkach szerokości męskich knykci, otoczoną blondwłosymi, ogorzałymi olbrzymami, z oczami zimnymi jak u rekina. Przypomniałem sobie, jak po raz pierwszy spotkałem jej matkę na plaży w Bells Beach. Wokół niej leżeli na brzuchach napakowani testosteronem surferzy, kryjący w piasku potężne erekcje.

Zanim zasiadłem do pisania, po raz kolejny przeczytałem ostatni list od Claire. Zbyt często wspominała w nim o kapitanie kutra, Ericu. Dlatego też pod koniec własnej epistoły delikatnie nadmieniłem, że nadmierna bliskość zakłóca czasem trzeźwość sądów. Choć pewnie nie miałem powodów do narzekań – ten jej Eric załatwił sobie przynajmniej jakąś robotę.

Potem poszedłem do najbliższej skrzynki wysłać list. Ponure niebo wisiało ciężko nad ziemią, wiatr szarpał nagie drzewa. W parku nie było żywej duszy. Przy stole nieopodal placu zabaw siedzieli tylko mężczyzna z jakimś chłopcem. Mały jadł coś z piankowego pudełka, wbijając spojrzenie w blat stołu. Mężczyzna palił papierosa. W pewnej chwili podniósł dłoń i pogładził dziecko po włosach.

Wróciłem do domu. Czerwone światełko automatycznej sekretarki przyciągnęło mój wzrok już od progu. Wcisnąłem guzik i ciężko opadłem na kanapę.

Jack, mówi Andrew. Mam nadzieję, że już wróciłeś. Podesłałem ci klienta. Gość nazywa się Andropolous. Parę razy przymknęli mu kuzyna za wyłudzenie. Andy nie ma nic przeciwko. Gotówka do ręki. – Pauza. – *A przy okazji: Helen zwinęła żagle. Zadzwoń, gdy dotrzesz do domu. Trzymaj się. Aha, moja sekretarka mówiła, że szukał cię tu jakiś facet,*

McKillop. Pewnie były klient. Na razie.

Głęboki głos automatycznej sekretarki dorzucił: *czwartek, 23 lipca, godzina osiemnasta dwadzieścia.* Andrew Greer, były wspólnik z kancelarii.

Jack, stary, mówi Danny McKillop. – Pauza. – *Danny. Ucieczka z miejsca wypadku w 1984. Wyszedłem. Mówiłeś, że jakby co, mogę walić do ciebie jak w dym. Mam trochę kłopotów. Zadzwoń, proszę. Mój numer to: 9419 8432. Odezwij się. Najlepiej dzisiaj. Trzymaj się.*

A maszyna dodała: *czwartek, 23 lipca, godzina dziewiętnasta czterdzieści siedem.*

Wyłączyłem sekretarkę. Danny McKillop. *Ucieczka z miejsca wypadku.* Nic mi to nie mówiło. Był moim klientem. I poszedł siedzieć. Pełno takich kręciło się po mieście. Ponownie wcisnąłem guzik sekretarki.

Jack, mówi Laurie Baranek. Gościa trzeba trochę przycisnąć z ugodą, rozumiesz? Poupierajmy się przy paru zarzutach. Musi wiedzieć, że jeśli się nie dogadamy, wpadnie po uszy w gówno. Zadzwoń do mnie, ale nie do pracy. Na komórkę.

Piątek, 24 lipca, czternasta dwadzieścia osiem. Laurie Baranek, handel warzywami i spekulacje na rynku nieruchomości.

Jack, tu znowu Danny. Danny McKillop. Zadzwoń koniecznie, o każdej porze. – Pauza. – *Mam poważne kłopoty. Spotkajmy się w Brunswick, na parkingu przed barem hotelu Pod Bohaterem Trafalgaru. To przy drodze do Sydney. Może być dziś o siódmej? Nie wciągałbym cię w to, ale serio, nie wiem już, co robić. Na razie.*

Głos z sekretarki dorzucił, że wiadomość nagrano w sobotę, dwudziestego piątego lipca, o piętnastej czterdzieści sześć.

Więcej wiadomości nie było, nagrała się tylko cisza i kilka pomyłek. Danny McKillop… Jego nazwisko nadal z niczym mi się nie kojarzyło. Wykręciłem jego numer. Nikt nie odebrał. Włączyłem Mahlera, zrobiłem sobie gulasz, otworzyłem butelkę wina, zadzwoniłem do siostry, a potem delektowałem się muzyką przez

jakieś pół godziny. Dzień dobiegł końca.

W poniedziałek Cameron Delray, przyboczny znajomego dżokeja, odebrał mnie z zakładu stolarskiego Tauba w Fitzroy. Zakład ten mieścił się przy Carrigan's Lane, niechlujnej, jednokierunkowej uliczce prowadzącej do Smith Street w Collingwood. Podjeżdżając, Cam zablokował ją swoim kingswoodem. Byłem na zapleczu; próbowałem dowieść swojej przydatności, szlifując blat biurka. Wyłączyłem kolanem szlifierkę i zdjąłem okulary ochronne.

Cam skinął mi głową na powitanie, po czym poszedł dalej, do Charliego Tauba, który z zegarmistrzowską precyzją mocował zaciski na sekretarzyku w stylu Jerzego III.

– Czołem, szefie – zagaił. – Jak sobie radzi praktykant?

– Nieźle – bąknął Charlie, wyjmując z ust długie cygaro i patrząc na nie z namysłem. – Za pięć, sześć lat nauczy się spasowywać meble. Wtedy sprzedam mu interes i przejdę na emeryturę.

Zdjąłem swój skórzany fartuch i podszedłem bliżej w stronę Charliego.

– W wieku dziewięćdziesięciu lat? – spytałem. – To zdecydowanie za wcześnie. Wtedy dopiero świat stanie przed tobą otworem.

– Obejdziesz się bez niego przez jakiś czas? – Cam nadal rozmawiał wyłącznie z Charliem.

– Spróbuję. Pięćdziesiąt lat pracowałem sam, więc i teraz dam radę. – Taub rzucił mi taksujące spojrzenie spod siwych, krzaczastych brwi. – Nadal nie mogę sobie darować, że poznałem cię z Harrym Strangiem.

– Nie zadręczaj się tym. Znam gości trzy tysiące razy gorszych od Stranga – odparłem.

– Wyścigi zrujnują każdego.

– Chętnie dałbym się tak zrujnować jak on – zaśmiałem się kpiąco. – Ale boję się, że Strang umrze, nim tego dokona.

– Ma mnóstwo kasy. – Charlie zapalił cygaro, zaciągnął się i głośno zakaszlał, rozpraszając dym dłonią wielką jak rakieta tenisowa. –

Inaczej dawno już poszedłby z torbami.

W kingswoodzie Cama unosił się lekki aromat perfum. Radio było włączone. Ktoś pewnym głosem mówił:

Pani premier, Marcia Saunders, podtrzymała dziś decyzję o przekazaniu sześciuset milionów dolarów na inwestycje w zatoce Yarra.

Przyjęcie programu zmierzającego do przebudowy dużej części zachodniego nadbrzeża zatoki było jednym z pierwszych posunięć nowego gabinetu.

Według pani Saunders zarówno ona, jak i inni przedstawiciele jej partii jako opozycjoniści przez wiele lat apelowali o wsparcie dla projektów rozbudowy znacznej części Melbourne.

Chwilę później w głośnikach zabrzmiał szorstki, nieco podniesiony głos pani premier – głos kogoś, komu przerywa się wyłącznie na własne ryzyko.

Poprzedni rząd tak bardzo nienawidził ludzi, którzy osiągają zyski i tworzą nowe miejsca pracy, że doprowadził do stagnacji stanu.

Ale mieszkańcy Victorii dość już mają manipulacji. Obecny gabinet próbuje na nowo ożywić tutejszą gospodarkę. Szczerze popieramy plan rozbudowy nabrzeża, podobnie jak nasi wyborcy, którzy powołali nas do rządzenia.

Przywódca opozycji David Kerr utrzymuje jednak – wtrącił się dziennikarz – *że projekt inwestycji w zatoce Yarra nie ma żadnych zalet.*

Na dowód z głośników zabrzmiał zgrzytliwy głos Kerra:

Rząd najchętniej oddałby cały stan w ręce swoich kolesi budowlańców. Zatoka Yarra to zaledwie początek.

– Gdzie, u diabła, leży ta zatoka Yarra? – burknął Cam.

– Nie wiem, ale nazwa brzmi egzotycznie – odparłem. – Przywodzi na myśl dziewczyny bez staników tańczące w spódniczkach z trawy.

– Zaczynają bez staników, a kończą bez cycków.

Byliśmy na Johnson Street. Zamknąłem oczy, gdy Cam wślizgnął się między dwa samochody, o grubość lakieru mijając przód drugiego z nich, by szybciej skręcić w Kingswood. Na szczęście się zmieścił.

Wyłączył wywiad z panią premier, nastawiając radio na stację muzyczną. Po raz piąty od śniadania usłyszałem *The Way We Were*. Cam krzyknął, poirytowany, i znów zmienił stację. Tym razem jakiś facet ględził o transporcie publicznym.

Harry Strang mieszkał w Parkville, w olbrzymim wiktoriańskim domu całkowicie ukrytym za ceglanym murem. Cam wychylił się z okna, powiedział coś do domofonu i chwilę później brama rozsunęła się bezszelestnie przed maską naszego auta. Ruszyliśmy wysypaną żwirem alejką przez rozległy ogród, którym opiekowało się dwóch ogrodników.

Dom stał pięćdziesiąt metrów od bramy. Do środka wpuściła nas Lyn Strang, żona Harry'ego. Przekroczyła już najwyraźniej czterdziestkę. Przypominała pielęgniarkę ze szpitala w buszu. Miała krótkie włosy, zadarty nos, szerokie stopy. Obraz dopełniały duże usta, wielkie ręce i umięśnione łydy. Wcześniej była żoną małomiasteczkowego trenera o nazwisku Ronnie Braudel. Ronniemu dopisało szczęście, bo znalazł konia o imieniu Fiery Continent, mizerną szkapinę, która miała w sobie tyle szlachetnej krwi, co puszka psiego żarcia mięsa. Okazało się jednak, że trafił w dziesiątkę, bo koń przerósł swoich rodziców – talent, jaki rzadko się trafia.

Ronnie Braudel miał wystarczająco dużo oleju w głowie, by trzymać dziób na kłódkę i poszukać kogoś do pomocy. Jego ojciec znał Harry'ego Stranga, a Harry doskonale wiedział, co robić z wierzchowcem, takim jak Fiery Continent.

Wspólnie pracowali niemal rok, potem zaczęły się dla Ronniego złote dni. Przeniósł biznes do Queensland, zabierając ze sobą nową przyjaciółkę, osiemnastoletnią Valmę, wysoko wykwalifikowaną manicurzystkę z Wangaratta. Harry natomiast zainteresował się porzuconą małżonką wspólnika, i tak Lyn Braudel została czwartą panią Strang. Była trzydzieści lat młodsza od niego i przewyższała go o głowę, ale coś między nimi iskrzyło.

Harry czekał na nas w bibliotece – pomieszczeniu idealnie

pasującym do klasycznych opisów bibliotek w rezydencjach. Na wprost okna ciągnęły się mahoniowe regały pełne książek, wysokie na jakieś pięć i szerokie na dziesięć metrów. Dostęp do górnych półek gwarantowały masywne drabiny wykonane z teku i mosiądzu, poruszające się po szynach. Wśród książek znalazło się chyba wszystko, co kiedykolwiek napisano o koniach i wyścigach konnych. Pozostałe ściany obwieszono rysunkami i obrazami przedstawiającymi słynne gonitwy i czempionów. Pomiędzy dużymi oknami wisiały w orzechowych ramach zdjęcia Harry'ego z czasów, gdy wygrywał wyścigi w Anglii i we Francji, czyli z przełomu lat czterdziestych i pięćdziesiątych dwudziestego wieku. Dowodziły, że triumfował w derby Anglii i Irlandii, gonitwach króla Edwarda VII i królowej Aleksandry. Zdobył też Prix de l'Arc Triomphe, Grand Prix de Deauville, Prix de Diane i Grand Prix de Saint Cloud.

Nadal mógłby startować w tej samej kategorii wagowej co wówczas. Był dość wysoki jak na dżokeja, a wydawał się jeszcze wyższy dzięki wyprostowanej postawie i wiecznie uniesionemu podbródkowi. Wciąż miał gęste, ciemne włosy, tylko gdzieniegdzie poprzetykane srebrnymi nitkami, i niemal idealnie gładką twarz. Dziś włożył tweedowy garnitur, kremową koszulę i ciemnozielony jedwabny krawat, a do tego rdzawe półbuty. Nie mogłem oderwać od nich wzroku. Ponieważ w sklepach nie ma ręcznie robionych półbutów dla dziesięciolatków, zrobił je na zamówienie Lobb's z Londynu – kosztowały cztery stówy każdy.

– Jack, Cam… Usiądźcie – zaprosił dwornie Harry. Lubił rozdawać karty.

Skorzystaliśmy z zaproszenia, siadając w skórzanych fotelach. Harry zajął miejsce za biurkiem, klasycznym meblem w stylu Eugene'a Harvilla, pochodzącym z warsztatu Charliego Tauba. Właściwie wszystkie meble w tym pokoju wykonał albo odnowił Charlie.

Harry położył ręce płasko na biurku. Wyglądały na dłonie kogoś

o połowę od niego młodszego i przynajmniej dwa razy większego: kwadratowe, opalone, mocne. Widać było, że jest z nich dumny.

– Nadal doskwiera ci ramię, Jack? – spytał.

– Tylko gdy je nadwerężę – odparłem, nieświadomie dotykając kontuzjowanej ręki.

– Nacieraj je trzy razy dziennie. – Harry pokiwał mądrze głową. – A teraz do rzeczy. Koleś, z którym od lat kręcę interesy, ma dla nas coś ekstra. – Lata spędzone w Europie nie wymiotły niestety z języka Harry'ego małomiasteczkowych zwrotów i intonacji.

Rozległo się pukanie do drzwi. Weszła stara pani Aldridge, która prowadziła Harry'emu dom od ponad trzydziestu lat, a za nią Lyn Strang z tacą pełną filiżanek i srebrnym dzbankiem do kawy. Przy stole komendę objęła pani Aldridge, fuknięciem wypraszając Lyn z pokoju. Każdemu z nas wręczyła po filiżance czarnej, diabelnie mocnej kawy oraz po jednym czekoladowym biszkopcie, po czym wyszła energicznie z biblioteki.

– Koleś nazywa się Tie. Rex Tie – podjął Harry. – Hoduje w buszu krowy.

– Rex Czas Nagli? – mruknął Cam.

– Zgadza się.

– Nadal się z nim bawisz?

– Było, minęło. Chcę sprawdzić, czy Rex nadal zna się na rzeczy. W przyszłym tygodniu pojedziemy do niego na wieś. Pasuje ci, Jack?

Skinąłem głową.

– To dobrze. – Harry uśmiechnął się szeroko. – Wobec tego zapraszam na film.

Poszliśmy wszyscy do wyłożonego drewnianymi panelami kina Harry'ego i zapadliśmy w obszerne fotele. Cam wsunął do odtwarzacza kasetę, którą mu dałem, wcisnął parę przycisków na pilocie i na rozwijanym ekranie pojawiło się mokre od deszczu Pakenhm. Był tam też Harry. Stał z tyłu, tuż przy barierce. Wyglądał jak zwykle. Miał zielony filcowy kapelusz, prosty płaszcz

przeciwdeszczowy i lornetkę. Podstawowa zasada brzmiała: na wyścigach nie zbliżać się do Harry'ego ani nie rozmawiać z Camem. Moje zadanie było proste. Miałem sfilmować gonitwę w New Ninevah wartą dwadzieścia patyków małą kamerą. Zapłacono mi za to i kilka porad prawnych.

– Puść start w zwolnionym tempie, Cam – zakomenderował Harry.

Oglądaliśmy w milczeniu.

– Jeszcze raz.

Gonitwę trwającą minutę, dwadzieścia cztery sekundy i dwadzieścia setnych oglądaliśmy ponad dziesięć minut. Kiedy Cam zapalił wreszcie światło, Harry spojrzał na mnie i spytał:

– Udało się, czy nie?

Wzruszyłem ramionami.

– Jak dla mnie, to próbował. Tym razem nie opóźnił startu.

– Fakt. Przynajmniej podjął walkę. Cam?

– Dla mnie sprawa jest prosta. – Cam nakleił na kasetę kartkę z opisem. – Nie lubi moknąć.

– Chyba że znów źle trafiliśmy – burknął Harry, podnosząc się ciężko z fotela. Wepchnął ręce do kieszeni, stanął przy oknie i wyjrzał na zewnątrz. – Mam wątpliwości – westchnął. – To wszystko na dziś. Spotkamy się w środę w Ballard. Znów zmrozi nam tyłki. Wpadnijcie koło dziewiątej na śniadanie, zgoda? Jack, Cam cię odwiezie. Ma do załatwienia kilka spraw. Potem musi też oczyścić rynny i poprzycinać róże.

– A na koniec włożę watowany garnitur i pokażę psom, jak się szczuje bandziorów – dorzucił Cam.

– Racja. Zapomniałem o nich. Wyszły trochę z wprawy.

* * *

Cam zawiózł mnie do biura mieszczącego się przy tej samej ulicy co warsztat Charliego. Wiszący nad drzwiami szyld głosił: *John Irish, adwokat i radca prawny*. To ostatnie trochę na wyrost. Nie licząc dziwnych fuch u Harry'ego, zarabiałem głównie na ściąganiu długów i wyszukiwaniu świadków. Tak to bywa, gdy człowiek rzuca ciepłą posadkę adwokata od spraw kryminalnych i zaczyna wszystko od nowa.

Biuro składało się z dużego pomieszczenia, którego okna wychodziły na ulicę, oraz niewielkiego pokoiku i łazienki na zapleczu. Kiedyś zajmował je krawiec – pozostawiony przez niego stół do krojenia służył mi za biurko. Facet ze sklepu na rogu mówił, że krawiec lubił siadać na tym stole, zakładać nogę na nogę i zszywać ręcznie części ubrań. Usiadłem, włączyłem komputer, wyciągnąłem notes i zacząłem obrabiać zeznanie świadka z Sydney.

Kiedy skończyłem, poszedłem po kanapkę z sałatą do pobliskiego sklepiku na rogu, po czym zjadłem ją ze smakiem przy moim stole-biurku. Następnie pojechałem do biura Andrew Greera przy końcu Drummond Street w Carlton – biura, które sam kiedyś zajmowałem. Do sądu można było stąd dojść na piechotę, dlatego kupiliśmy ten stary budynek i remontowaliśmy go sami przez wiele miesięcy.

Samochód – stary, poobijany saab – Andrew parkował przed wejściem.

Nigdzie nie dostrzegłem sekretarki. Szedłem sobie spokojnie korytarzem, gdy Andrew niepostrzeżenie pojawił się na progu.

– Niezły gajer – powiedziałem, wskazując na jego ciemnogranatowy garnitur.

Drew spojrzał w dół.

– Doradziła mi go pani De Lillo. Od Bucka. Wart dziewięć stów. – A tutaj – wskazał na klapę – jest plamka po rzygach. Ale nie widać.

– Z tej odległości i w ciemnym korytarzu nie rzuca się w oczy –

odparłem. – Znalazłem panię Brierley.

– Brawo. Co powiedziała?

– W krytycznym momencie widziała gościa pięć metrów od nieboszczyka. Znała go z widzenia. Kupował u niej rybę z frytkami.

Promienny uśmiech rozjaśnił pociągłą twarz Drew.

– Bóg okazuje miłosierdzie nawet najbardziej zatwardziałym grzesznikom. Wypijmy za to.

– Jest dopiero trzecia, Andrew.

– Drink przed obiadem zaostrza apetyt. A poza tym, prawnicy jadają wcześnie.

– Jej kochaś obił mnie kijem do bejsbola.

– Co? Ale chyba nic ci nie złamał?

Potrząsnąłem głową.

– Nie.

– To dobrze, bo za cierpienie nie dopłacę ekstra. Napijmy się, to ci ulży. Klient stawia. Obłowił się dzięki ubezpieczeniu.

Poszedłem za nim w głąb korytarza do kuchni mieszczącej się na tyłach budynku. Usiedliśmy przy krytym ceratą stole. Andrew otworzył dwie butelki piwa. Pociągnąłem łyk, odstawiłem butelkę i wcisnąłem ręce do kieszeni. Nawróceni opoje wiedzą, od czego się zaczyna.

– Co z Helen?

Andrew wypił jedną trzecią piwa, spojrzał na butelkę pod światło i zarechotał ironicznie.

– Zwiała. Zwiała do Eltham z jakimś malarzyną. Zostawiła mi dzieci.

– A dom?

– Nie dostanie domu. Chyba że po moim trupie.

– Pytam, czy malarz zdążył go pomalować.

– A skąd. Miał w głowie tylko miłość. Poza tym to artysta. Tyle że nikt o nim nie słyszał. Nazywa się Bruce Seal. Znasz?

– Przykro mi to mówić, ale owszem.

– Trzeba było ugryźć się w język i powiedzieć, że w życiu o skurwielu nie słyszałeś. – Andrew pociągnął kolejny łyk piwa i otarł wąsy. – Co o nim wiesz?

– Koleś jest z Eltham. Ma wielki talent. Zna pięć języków. Gra na fortepianie i w golfa. Uprawia karate, ma czternasty dan. I prawie dwudziestopięciocentymetrowego wacka. Dlaczego pytasz?

– Mniejsza z tym. I tak nie doczekam się od ciebie współczucia. – Dopił piwo i sięgnął po kolejne.

– A jak Lorna?

Zerknął na mnie podejrzliwie. Lorna była prokuratorem. Romansowali ze sobą od lat.

– W porządku. Nie ma z tym nic wspólnego. Helen o niej nie wiedziała.

– Co myślą o tym dzieci?

Drew uniósł złożone dłonie na wysokość twarzy.

– Nie mam pojęcia, co myśli Michael, bo zwierza się wyłącznie pięciu milionom użytkowników Internetu. A Vicky się cieszy, bo była w klasie jedyną dziewczyną, której rodzice ze sobą mieszkali.

Pociągnąłem łyczek piwa.

– Co powiedziała Helen?

Drew zerknął na sufit.

– Powiedziała, że zakochała się w cudownym mężczyźnie i że to by się nigdy nie stało, gdybym w ciągu ostatnich dwudziestu lat znalazł dla niej choć trochę czasu. Jakbym lubił urabiać sobie ręce po łokcie.

– Pewnie tak właśnie myślała. Jak zresztą wszyscy.

– Nie bądź kutasem. Potrzebuję pociechy.

– Jak widać, Helen też jej potrzebowała. I znalazła, choć założę się, że nie na długo. Mówią, że Bruce jest raczej łowcą niż zbieraczem.

– Wiesz to od swoich kumpli artystów?

– Tobie też przydałoby się bardziej zróżnicowane towarzystwo – mruknąłem. – Na świecie są nie tylko prawnicy, gliniarze i przestępcy. A przy okazji, co zrobiłeś z moimi starymi aktami? –

Pociągnąłem ostatni łyk, wstałem i wylałem resztę piwa do zlewu.

Dwadzieścia minut później znalazłem w kartotece akta Daniela Patricka McKillopa. Dwudziestego drugiego listopada 1984 roku stanął przed sądem pod zarzutem spowodowania wypadku ze skutkiem śmiertelnym. Został uznany winnym. Ofiara miała dwadzieścia siedem lat. Nazywała się Anne Elspeth Jeppeson. Potrącił ją przy Ardenne Street w Richmond, osiemnastego czerwca 1984 roku o dwudziestej trzeciej czterdzieści. Zginęła na miejscu. Świadkowie widzieli McKillopa za kółkiem w kilka minut po wypadku. Znaleziono go godzinę później, śpiącego z głową na kierownicy. We krwi miał 0,1 promila alkoholu. Krew i włókna na samochodzie pasowały do próbek pobranych z ciała Anne.

W teczce znalazłem też wycinek z gazety datowanej na dwudziestego trzeciego listopada 1984 roku. Nagłówek głosił: *Świadek potwierdza, że Jeppeson zginęła pod kołami auta.* Niżej można było przeczytać:

Świadek wezwany wczoraj przed oblicze sądu zeznał, że trzy przecznice od miejsca wypadku widział pędzący z zawrotną szybkością samochód, który kilka minut wcześniej potrącił śmiertelnie Anne Jeppeson, działaczkę społeczną i pracownicę departamentu budownictwa komunalnego. Kierowca, Daniel Patrick McKillop, miał we krwi 0,1 promila alkoholu, co potwierdziło badanie wykonane dwie godziny po wypadku.

Dwudziestoczteroletni Daniel McKillop, zamieszkały w Richmond, przy ulicy Zinsser Street został uznany za winnego spowodowania wypadku ze skutkiem śmiertelnym.

Ofiara, dwudziestosiedmioletnia Anne Elspeth Jeppeson, zamieszkała w Richmond, przy Ardenne Street, zginęła na miejscu, potrącona przed swoim domem osiemnastego czerwca 1984 roku.

Osiemnastego czerwca 1984 roku o godzinie dwudziestej trzeciej czterdzieści świadek, Roland Bishop, jechał wzdłuż Freeman Street

w Richmond, gdy zobaczył nadjeżdżający zygzakiem z naprzeciwka żółty samochód.

Oto jego zeznanie: „Omal nie staranował samochodów stojących na poboczu jezdni wzdłuż pasa, którym jechałem, po czym tuż przede mną skręcił nagle na drugi pas, znów cudem unikając zderzenia ze stojącymi na poboczu autami. Kierowca zahamował z całej siły. Wyglądało, jakby stracił panowanie nad samochodem".

Pan Bishop wyraźnie widział twarz kierowcy. Zapamiętał również część rejestracji. Natychmiast po powrocie do domu zawiadomił o zajściu policję.

Starszy posterunkowy Ivor Wilkins znalazł pana McKillopa w garażu jego domu, śpiącego za kierownicą żółtego forda falcona. Auto stanowiło własność oskarżonego. Pan Bishop zidentyfikował go jako kierowcę pojazdu, który widział przy Freeman Street.

Starszy posterunkowy Lauro Martines z wydziału ruchu drogowego przeprowadził u oskarżonego badanie na zawartość alkoholu we krwi. W dwie godziny po wypadku wynosiła ona 0,1 promila.

Doktor Albert Hone z policyjnego laboratorium kryminalistycznego dokonał porównania krwi, tkanek i włókien znalezionych na zderzaku auta pana McKillopa z próbkami pobranymi z ciała i ubrań panny Jeppeson. Wynik badania był pozytywny.

Wyrok w sprawie pana McKillopa zostanie ogłoszony czwartego grudnia.

Teczka zawierała również drugi wycinek, datowany na piątego grudnia 1984 roku. Dużymi literami głosił on: *Wyrok w sprawie Jeppeson: kierowca skazany na 10 lat.*

Z tekstu wynikało, że Daniel McKillop odpowiadał już wcześniej za jazdę pod wpływem alkoholu i na krótko przed wypadkiem odzyskał odebrane mu prawo jazdy. Wieczorem pił w dwóch hotelowych barach i nie pamiętał chwili wypadku. Sędzia powiedział sporo ostrych słów na temat pijanych kierowców, wyraził ubolewanie

z powodu śmierci młodej kobiety, która miała przed sobą całe życie, i pochwalił obywatelską postawę świadka Rolanda Bishopa. McKillop został skazany na dziesięć lat więzienia, mimo że jego obrońca dowodził, iż jest w tej sprawie ofiarą na równi z Anne Jeppeson: „Biedny chłopak uwikłany w rozliczne uzależnienia".

Przejrzałem historię wątpliwych dokonań Danny'ego. Ich opis zajmował mniej więcej pół strony, a dotyczył głównie przewinień, które McKillop popełnił jako nieletni. Dwa razy aresztowano go za jazdę po pijanemu. Za drugim razem odebrano mu prawo jazdy na dwa lata. Odzyskał je na krótko przed wypadkiem. Dziwne, ale nigdy nie trafił do pudła. Sędzia wynagrodził mu to z nawiązką, wsadzając go na dziesięć lat, z zastrzeżeniem że o zwolnienie warunkowe może się ubiegać dopiero po ośmiu.

Czytałem te informacje tak, jakbym robił to po raz pierwszy. Spojrzałem na datę: listopad 1984 roku. Początek strefy zapomnienia, w której większość czasu spędziłem zalany lub mocno wstawiony po śmierci żony.

Przejrzałem pozostałe akta z roku 1984 i początku 1985. Po McKillopie wziąłem jeszcze pięć, sześć spraw. Nie pamiętałem żadnej z nich.

Wróciłem do gabinetu Drew. Czytał coś, rozparty za biurkiem.

– Czy kiedy załamałem się po śmierci Isabel, trzymałeś mnie z dala od sali sądowej? – spytałem.

Zdjął okulary i przetarł oczy.

– Można tak powiedzieć. Podprowadziłem ci wszystkie sprawy związane z reprezentowaniem klientów od dnia jej śmierci po dzień, w którym odszedłeś. Nie wątpiłem w twoje umiejętności. Bałem się jednak, że zrobisz sobie krzywdę.

– I zaszkodzę firmie. – Poczułem, że ogarnia mnie ciepła fala wdzięczności wobec tego wielkiego, pokręconego i zdawałoby się, wyzutego z uczuć faceta.

Znów włożył okulary i sięgnął po piwo.

– Tym się nie martwiłem. I tak dalibyśmy radę.

– McKillop mnie szuka. Pamiętasz go? – spytałem, podając Drew wyciągnięte z pudła akta.

Przez chwilę przeglądał je w milczeniu.

– Nie. Jego nie. Pamiętam za to tę babkę. Często wpadała na drinka do baru w Standardzie. – Oddał mi teczkę. – Danny dostał to, na co zasłużył. Szuka cię, bo pewnie znów wpakował się w jakieś gówno.

Wychodziłem już, kiedy nagle oznajmił:

– Chyba zajmę się Lorną na poważnie.

– Najpierw sprawdź w słowniku, co znaczy słowo „urlop”. – Położyłem mu rękę na ramieniu. – Mam propozycję. Jedź ze mną w sobotę na mecz.

Skrzywił się przeraźliwie.

– Dawno tego nie robiliśmy.

– To prawda – przytaknąłem. – Nazwiska zawodników nadal brzmią znajomo. Choć to już synowie tych, którym kibicowaliśmy.

– Mam to gdzieś. Ale zgoda. Potem pójdziemy na steki. Do Vlada. – Uśmiechnął się. – Albo do jego syna.

* * *

Dlaczego Danny McKillop tak rozpaczliwie mnie szukał? Ponownie wykręciłem numer, który zostawił na mojej automatycznej sekretarce. Telefon dzwonił i dzwonił, nim jakaś kobieta podniosła słuchawkę. Poprosiłem o rozmowę z Dannym. Zapadło długie, krępujące milczenia. W tle słyszałem odgłos jadących samochodów.

– Nie ma go – rzuciła wreszcie i odłożyła słuchawkę. Ponownie wybrałem ten sam numer. Tym razem odebrała natychmiast.

– Danny do mnie dzwonił. – Powiedziałem szybko, żeby się nie rozmyśliła. – Zostawił ten numer. Czy zechce mu pani przekazać wiadomość?

Przez jakiś czas znów słyszałem tylko warkot samochodów.

– Danny nie żyje. Proszę więcej nie dzwonić. – Stuk odkładanej słuchawki.

Podszedłem do okna i zapatrzyłem się na kobiety z prasowalni mieszczącej się po drugiej stronie ulicy. Zrobiły sobie przerwę na papierosa. Stały pod ścianą, rozmawiały, śmiały się głośno i głęboko zaciągały dymem. Sięgnąłem po książkę telefoniczną i odszukałem nazwisko McKillop. D.P. McKillop mieszkał w Northcote, przy Windermere Street. Kilka razy wyciągałem rękę, żeby wykręcić jego numer, ale za każdym razem rezygnowałem. Danny McKillop wychynął z mroków przeszłości, szukał mnie wszędzie, a kilka dni później już nie żył. Znów otworzyłem teczkę, którą zabrałem od Drew. Danny dobiegałby teraz czterdziestki. Ciekawe, na co zmarł.

Kiedy w końcu wybrałem numer, słuchawkę podniosło dziecko, cztero-, może pięcioletnia dziewczynka.

– Mówi Kirsty McKillop – oznajmiła wyraźnie. – Mama nie może podejść, bo zmywa talerze.

– Mimo to chciałbym z nią porozmawiać. Poproś ją.

– Proszę zaczekać. Zawołam ją. – Odłożyła chyba słuchawkę na stolik, po czym zawołała głośno: – Mamusiu, jakiś pan do ciebie.

Kobieta, która podeszła do telefonu, dyszała ciężko, jakby biegła.

– Halo, mówi Sue McKillop.

– Przepraszam, że panią niepokoję, ale czy dodzwoniłem się do domu Daniela Patricka McKillopa?

Przez dłuższą chwilę w słuchawce słyszałem tylko jej ciężki oddech.

– Danny nie żyje – odezwała się wreszcie szorstkim, wyzutym z emocji głosem. – Zginął w piątek wieczorem.

– Bardzo mi przykro. Jestem Jack Irish. Byłem kiedyś jego adwokatem. Próbował się ze mną skontaktować, ale wyjechałem, więc…

– Cóż… Wobec tego dziękuję, że pan zadzwonił.

– Proszę wybaczyć, że pytam, ale jak…

Nie pozwoliła mi dokończyć.

– Zastrzelił go policjant. Zamordował go – dodała po chwili, jakby chciała rozwiać wszystkie moje wątpliwości.

– Gdzie to się stało? – spytałem mechanicznie, czując, że przechodzi mnie zimny dreszcz.

– Na parkingu przed pubem w Brunswick.

– Jak się ten pub nazy…?

– Pod Bohaterem Trafalgaru.

* * *

Nigdy nie czułem się winny śmierci żony. Ani wtedy, ani teraz. Zginęła na podziemnym parkingu przy La Trobe Street, zastrzelona przez jednego z moich byłych klientów, Wayne'a Waylona Milovicha. Kiedy skonała, drań przykleił jej do czoła kopertę z listem do mnie, po czym wsiadł do swojego forda falcona z 1974 roku obciążonego stu trzynastoma mandatami za złe parkowanie i zdetonował dwie czy trzy laski dynamitu, które trzymał na kolanach. List brzmiał tak: *Panie adwokacie Judaszu, czy wiesz co zrobiłeś? Żona ode mnie uciekła. Zabrała dzieci, bo gniłem w pudle. Trafiłem tam przes ciebie, bo nie słuchałeś, ćwoku, co do ciebie muwię.*

Niezrównoważeni psychicznie klienci. Ryzyko zawodowe. Isabel o tym wiedziała. Sama była prawnikiem, specem od prawa rodzinnego. Większość jej klientów zdradzała objawy obłędu.

Nie czułem się winny jej śmierci. Byłem wściekły na los, ale nie umiałem tego nikomu wyjaśnić. Zewsząd słyszałem, że muszę przestać się torturować. Wszyscy chcieli, żebym miał wyrzuty sumienia. A ja upijałem się, płakałem w barach i ciągle wdawałem się w bójki z nieznajomymi nie dlatego, że obwiniałem się o śmierć Isabel, lecz dlatego że gotowałem się z wściekłości. Straciłem kogoś, kto rozjaśniał mi życie. Miałem prawo do poczucia straty. Nienawiści. Braku nadziei i sensu. Z tego stanu wyciągnąć mnie mogło jedynie zmartwychwstanie żony.

Isabel i ja bardzo się od siebie różniliśmy. Jej dzieciństwo wyglądało zupełnie inaczej niż moje. Dorastała w gronie rozwrzeszczanych dzieciaków, do szaleństwa kochanych przez rodziców, muzyka i malarkę. Jej świat pełen był twórczego chaosu, radości, gorączkowego pośpiechu, marzeń i ogromnej wrażliwości. Kochała ludzi i obdarzała ich troską jak niebo ziemię ciepłym, letnim deszczem. Wtargnęła w szarzyznę mojego życia i przepędziła ją swoim zaraźliwym śmiechem.

Po jej śmierci na wiele miesięcy straciłem kontakt z rzeczywistością. Najchętniej złożyłbym Wayne'a kawałek po kawałku z powrotem do kupy tylko po to, by potem rozszarpać go zębami i pazurami. Nie potrafiłem siedzieć bezczynnie, słuchać muzyki, czytać ani zamieniać z kimś więcej niż kilka słów. Zasypiałem tylko wówczas, gdy zalałem się w trupa. Budziłem się po kilku minutach, zlany zimnym potem. Jedzenie smakowało jak proch, nie jadłem więc tygodniami. Któregoś dnia wyszedłem z kancelarii i zniknąłem na kilka miesięcy. Jeździłem bez celu albo piłem na umór z miejscowymi mętami w zatęchłych pubach, a potem budziłem się skulony na siedzeniu samochodu albo w jakimś podejrzanym motelu. W końcu aresztowano mnie w zapomnianej przez Boga i ludzi dziurze w Queensland o nazwie Everton. Ktoś przejrzał mój portfel i zadzwonił do Andrew Greera. Drew pociągnął za kilka sznurków, pogadał z kuzynem, ministrem tamtejszego gabinetu, i wyciągnął mnie z pudła bez postawienia zarzutów. Moje auto niestety zniknęło; wróciliśmy do domu samolotem. Spędziłem za kratkami sześć dni bez kropli alkoholu. Najgorsze miałem za sobą. Po powrocie zamknąłem się w domu na kilka tygodni. Wychodziłem wyłącznie po jedzenie. Z czasem przywykłem do tego, co nazywa się normalnym życiem.

Siedząc w biurze, wsparty łokciami o stół krawiecki, myślałem o Dannym McKillopie i o tym, że wrócił do mnie z mroku tamtych dni. Nie przebolałem straty żony. Nigdy jej nie przeboleję. Isabel nadawała sens mojemu życiu. Bez niej wszystko się zmieniło. Ból, jaki czułem, wiedząc, że już jej nie ma, sprawiał, że czasem wzdychałem mimowolnie i potrząsałem głową jak pies, by otrząsnąć się z cierpienia.

Danny McKillop zginął przed wejściem do pubu, w którym miał nadzieję się ze mną spotkać. Powinienem był o nim zapomnieć, i to jak najszybciej, ale choć o tym wiedziałem, nie potrafiłem się na to zdobyć. W najgorszych chwilach swojego życia Danny potrzebował trzeźwego adwokata. Dostał mnie. Po wielu latach znów się do mnie

zwrócił, a ja nie odpowiedziałem na wezwanie. Przyjechałem do domu kwadrans przed dziewiętnastą. Czy pojechałbym Pod Bohatera Trafalgaru, gdybym odsłuchał wiadomości na sekretarce, zamiast od razu kłaść się do łóżka? Pewnie tak. Kląłbym jak szewc, ale dotarłbym do pubu przed dziewiętnastą. W sobotni wieczór droga nie trwałaby dłużej niż kilka minut.

Zadzwonił telefon. To był Drew.

– Widziałeś „Heralda”?

– Nie.

– Napisali o McKillopie.

Kupiłem gazetę z sklepie na rogu i na trzeciej stronie odnalazłem wiadomość.

Policja zidentyfikowała mężczyznę zastrzelonego w sobotę wieczorem przez jednego z detektywów na parkingu przed hotelem Pod Bohaterem Trafalgaru w Brunswick. Zabity to Daniel Patrick McKillop z Northcote.

Aspirant sztabowy Martin Doyle zapewnił, że strzał oddano po tym, jak pan McKillop wymierzył broń w policjantów, którzy zwrócili uwagę na podejrzanego mężczyznę kręcącego się w pobliżu hotelowego parkingu.

Dochodzenie w tej sprawie trwa, aspirant Doyle zapewnił jednak, że jak na razie nie ma podstaw, by podejrzewać policjantów o przekroczenie uprawnień. Najprawdopodobniej zdecydowali się na strzał w obawie o własne życie.

Pan McKillop kilka lat temu odsiadywał wyrok za spowodowanie wypadku ze skutkiem śmiertelnym, w którym zginęła młoda kobieta. Zwolniono go za dobre sprawowanie po ośmiu latach kary.

Nie miałem innego wyjścia. Musiałem spotkać się z wdową.

Sue McKillop była pulchna i sympatyczna. Miała krótkie ciemne włosy oraz okrągłą buzię stworzoną do uśmiechu. Zaczerwienione oczy zdradzały, że płakała. Rozciągnięty zielony dres dodawał jej lat.

– Przejdźmy do kuchni – powiedziała, gdy już wymieniliśmy uprzejmości. – Przygotowuję kolację dla Kirsty.

Ruszyłem za nią przez wąski korytarz do dużego, ciepłego pokoju, w którym stały fotele oraz telewizor. W głębi dostrzegłem wejście do kuchni. Na kanapie siedziała dziewczynka w piżamie w drobne różyczki. Oglądała teleturniej.

– Kirsty, to pan Irish. Przywitaj się.

Mała spełniła polecenie, poszliśmy więc dalej.

Usiadłem przy sosnowym stole i obserwowałem, jak Sue McKillop kroi tosty na mniejsze kwadraty, a potem wykłada na nie z patelni jajecznicę.

Pogrzebała w szufladzie, wyjęła z niej mały widelec i zaniosła kolację do pokoju.

– Pozwalam ci dziś zjeść przed telewizorem, słonko – powiedziała do córki, stawiając przed nią talerz. Cmoknęła ją w czoło i wróciła do kuchni.

Usiadła naprzeciwko mnie.

– Mój ojciec przyjeżdża dziś z Queensland – oznajmiła. – Ma osiemdziesiąt lat. Prosiłam, żeby tego nie robił, ale się uparł. Bez niego też dałybyśmy sobie radę.

– Co z rodziną Danny'ego?

Sue uśmiechnęła się blado.

– Miał tylko nas. Wychowała go babcia. Zmarła, kiedy siedział. Zostali mu jedynie dalecy kuzyni.

– Danny zostawił mi wiadomość. Prosił, żebym spotkał się z nim w sobotę na parkingu hotelu Pod Bohaterem Trafalgaru. Odsłuchałem ją dopiero w niedzielę. Wie pani, dlaczego chciał się ze mną zobaczyć?

– Bał się. – Sue oblizała usta. – W czwartek wieczorem czekali na niego przed domem. Na szczęście zaparkował za rogiem i zauważył ich, idąc w tę stronę.

– Kim są ci „oni"?

– Nie wiem. Jacyś ludzie. Mieli coś wspólnego z tym wypadkiem sprzed lat, ale Danny nie wtajemniczył mnie w szczegóły.

– Z wypadkiem, przez który trafił do więzienia?

– Tak. Był niewinny.

– Skąd ta pewność?

Sue wzruszyła ramionami.

– Ktoś mu powiedział, że go wrobili.

– Wie pani kto?

– Nie. Jakaś kobieta. Danny powiedział kiedyś, że straciła męża.

– Kiedy to było?

– Jakiś miesiąc temu. Bardzo się wtedy zmienił. Szybko wpadał w złość. Dlaczego pan pyta?

– Mógłbym spróbować się czegoś dowiedzieć – zaproponowałem po chwili wahania.

– Po co? Nic już nie da się zrobić. Nie wróci mu pan życia.

– Powiedziała pani, że został zamordowany.

– Nigdy nie miał broni. A nawet gdyby ją zdobył, nie wycelowałby jej w policjanta.

– Może nie wiedział, z kim ma do czynienia.

Przeczesała palcami włosy.

– Gliniarz, którzy powiadomił mnie o jego śmierci, powiedział, że go uprzedzili.

– Po wyjściu nie miał już kłopotów z prawem?

Spojrzała mi prosto w oczy.

– Nie był przestępcą. W więzieniu zrobił maturę. Pracował z moim kolegą w Marston. Tak go poznałam. Handlowali częściami do samochodów.

– Lubił zaglądać do kieliszka.

– W poprzednim życiu. Przy mnie nie wypijał więcej jak dwa piwa.

Wierzyłem jej. Prawnicy mają szósty zmysł, dzięki któremu potrafią odróżnić prawdę od kłamstwa.

– Co zrobił, gdy zobaczył tych ludzi przed waszym domem? –

spytałem.

– Poszedł do najbliżej budki telefonicznej i zadzwonił do naszego sąsiada Cola Mullensa, a ten do mnie.

– Dlaczego nie zadzwonił wprost tutaj?

– Nie wiem.

– Co powiedział?

– Że nie wrócił do domu, bo ktoś go obserwował. Znalazł sobie jakiś nocleg i doczekał do piątku. Bał się. Słyszałam to w jego głosie.

– Dlaczego nie zgłosił tego policji?

Potrząsnęła głową i wyjęła z rękawa wymiętą chusteczkę.

– Podejrzewał, że ktoś z policji maczał w tym palce. – Wydmuchała nos. – Tylko gliniarz mógł go wrobić w wypadek. Wiedział pan, że przed procesem faszerowali go tabletkami? Mówił, że nie zdawał sobie nawet sprawy, co się dzieje.

– Nie wiedziałem. Czy przed waszym domem też czekali policjanci?

– Tak myślę.

– Nie powiedział tego?

– Nie.

– Powiedziała pani o tym policji?

– Tak. W piątek, kiedy tu przyszli.

Do kuchni weszła dziewczynka z pustym talerzem.

– Teraz lody – poprosiła, patrząc na mnie spod oka.

Sue wstała, wyjęła z zamrażalnika pudełko z lodami, przełożyła dwie gałki do miski i podała ją córce.

– Chce pan? – spytała mała, wyciągając naczynie w moją stronę.

– Nie, dziękuję. Nie jadłem jeszcze kolacji.

Kirsty skinęła głową ze zrozumieniem i wróciła przed telewizor.

– Przepraszam, że niczym pana nie poczęstowałam – podjęła Sue.

– Nie ma sprawy. Co zrobił Danny po tym, jak zadzwoniła ta kobieta z informacją, że wrobiono go w wypadek?

– Postanowił doprowadzić do ponownego wszczęcia śledztwa. Podobno istniały dowody.

– Znalazł je?

– Chyba nie. Nie wiem. Danny niewiele mówił. Zwykle długo coś planował, obmyślał wszystkie ewentualności, a potem zaczynał działać i nie przestawał, póki nie doprowadził sprawy do końca. – Rozejrzała się wokół z wyraźną dumą. – Sam odnowił kuchnię. Wziął dwa tygodnie urlopu i zabrał się do dzieła. Wcześniej nie wiedziałam nawet, że umie wbijać gwoździe.

– Dobrze się spisał – pochwaliłem. – Czy te cyfry coś pani mówią? – Pokazałem jej numer, który podał mi Danny.

– Nie. Nie znam tego numeru.

Miałem jeszcze mnóstwo pytań, ale nagle zapragnąłem wydostać się z przytulnej kuchni, którą Danny McKillop urządził dla swojej rodziny, i odetchnąć rześkim powietrzem wieczoru. Zostawiłem wizytówkę i wyszedłem. Kiedy byłem już na zewnątrz, Kirsty podbiegła do frontowych drzwi, żeby pomachać mi na pożegnanie.

* * *

Powinienem był wziąć tę cholerną paczkę, Jack – powiedział starszy sierżant Barry Tregear.

Siedzieliśmy w moim wozie na parkingu przed McDonaldem w Kensingston i jedliśmy big maki. Barry wziął do swojego jeszcze dwie duże porcje frytek i dużą colę. Był potężnym facetem o głowie w kształcie gruszki i siwiejącej czuprynie jasnych włosów. Zawsze wydawał się tłusty, nawet wtedy, gdy spotkaliśmy się w Wietnamie, kiedy się jednak poruszał, jego ciało nie trzęsło się jak u grubasów.

– Powinieneś był wrócić do Hay – odparłem.

Barry wychował się pośród niezmierzonej pustki wokół miasta o nazwie Hay w Nowej Południowej Walii. Jego ojciec nie wrócił z europejskiego frontu drugiej wojny światowej, podobnie zresztą jak połowa ojców dzieciaków, z którymi Barry chodził do szkoły.

– Pieprzyć Hay – burknął. – Jeden koleś proponował mi kiedyś połowę motelu pod Lismore. Byliśmy razem w Licensing, ale potem on rzucił szkołę. Sprzedał interes za podwójną cenę kilka miesięcy temu. A ja nadal jeżdżę w kółko w strugach deszczu, należę za to do elitarnej grupy wyróżnionych policjantów. Numer ósmy na liście dziesięciu najlepszych. I gdzie tu sprawiedliwość? – Wgryzł się wściekle w kanapkę.

Kiedyś Barry napędzał mi sporo klientów. Najpierw pracował w obyczajówce, później w wydziale do spraw przestępstw zorganizowanych. Wtedy było to siedlisko twardych facetów, niewiele różniących się od przestępców, których ścigali. Często zdarzało mi się słyszeć, że kolesie Barry'ego spuścili komuś solidny łomot.

– W Ministerstwie ds. Policji urzęduje teraz były gliniarz – zauważyłem. – Nie zapomniał chyba o starych kumplach.

Barry wepchnął do ust garść frytek i przez chwilę przeżuwał je w milczeniu.

– Garth Bruce to fiut. I ma wybiórczą pamięć. Słyszałeś te jego

pieprzone bzdety o tym, że trzeba pozbyć się z szeregów policji starej gwardii o nie najlepszych nawykach? – Znów sięgnął po frytki. – Należę do tej gwardii i jestem z tego dumny – dorzucił po chwili z pełnymi ustami.

– Co znaczy ta „stara gwardia”?

– Paru starych gliniarzy, trzymających się stołka od czasów, gdy nikogo nie obchodziło, skąd wziąłeś dziesięć dolców, bylebyś postawił za nie piwo kumplom. Z czasów, kiedy wystarczyło obić paru drani, żeby przegonić ich z ulicy w imię dobra ogółu. Dziś tylko my, stare pryki, uważamy, że śmieciowi, który donosi na kumpli do Wydziału Spraw Wewnętrznych, należą się solidne baty. To właśnie jest stara gwardia.

– A pozostali uważają was za bandę uzbrojonych gangsterów – podsunąłem domyślnie.

Barry dokończył frytki, dopił colę, pozbierał kartoniki i kubek do brązowej papierowej torby, zamknął ją starannie, po czym otworzył okno i wyrzucił ją na parking.

– I liczą, że wreszcie oberwiemy kulkę – podsumował. – Nie mieścimy się już w ramach zreformowanego systemu. Poza tym kiedyś, gdy zaczynałem robotę w policji, do gliniarzy strzelali jedynie najwięksi twardziele. Teraz mierzy w nas byle chłystek. We łbach im się przewraca od tego, co wciągają i co ładują sobie w żyłę. I to jest, według mnie, przyczyna wszystkich problemów.

Zerknął na zegarek.

– Szlag! Pora się zbierać. Co cię obchodzi ten McKillop?

– Broniłem go kiedyś. Ponoć mówił żonie, że ktoś chce go sprzątnąć.

Barry westchnął, a potem czknął.

– Jezu – bąknął. – Mam dość. Powiem krótko. Quinn z narkotyków dostał w sobotę przed siódmą telefon, że przed Trafalgarem o dziewiętnastej dojdzie do zakupu prochów. Zorganizował ekipę, a trochę trwało, nim się uwinęli, więc dojechali na miejsce kwadrans

po.

Znowu czknął i przeszukał kieszenie.

– Nigdy nie mam czegoś na zgagę – jęknął. – W każdym razie na parkingu nie było nikogo, pomyśleli więc, że ptaszek odfrunął. Zaczęli przyglądać się samochodom. Wtedy zjawił się ten mały fiutek i wycelował trzydziestkęósemkę w Martina. Quinn stał za nim, toteż nie namyślając się długo, wyciągnął spluwę i władował w gościa cztery kulki. Położył go trupem na miejscu. W jego aucie znalazł później towar za pięć stów. Koniec historii.

– A McKilllop?

– Był winny.

– Nie do końca.

– Gówno zostanie gównem.

– Żona w to nie wierzy. Miał dziecko i pracę. Ponoć był absolutnie praworządny.

Barry parsknął wzgardliwie i pomasował sobie żołądek.

– To samo mówiła żona Eichmanna.

– A co, jeśli Quinn go załatwił, a potem podrzucił mu broń i prochy?

Barry przez chwilę patrzył na mnie w milczeniu, a potem potrząsnął głową. Miał jasnozielone oczy z ciemniejszymi plamkami na tęczówkach.

– Quinn jest oficerem, Jack. Służy w policji od szesnastu lat. Rozumiesz?

– Nie.

Barry wysiadł z auta, oparł łokcie na dachu i pochylił się do okna.

– Mógł załatwić McKillopa w jakiejś ciemnej uliczce. Gdzieś, gdzie nie byłoby świadków. Muszę lecieć. Oberwę, jeśli nie dotrę do miasta za pięć minut.

– Odezwę się jeszcze. Jestem ci winien drinka.

Barry znów wsadził głowę w okno.

– Nie pieprz. Należymy do starej gwardii.

Danny nie żyje – powiedziała staruszka przez szparę w drzwiach. – Coś pan za jeden?

Stałem na przeciekającym ganku pokrytego sidingiem domu w Richmond. Adres dostałem od strażnika więziennego, którego poznałem w czasach, gdy odwiedzałem więźniów w Pentridge. W więziennych aktach Danny'ego znalazła się wzmianka o jego najbliższej krewnej – ciotce, pani Mary McKillop. Odszukałem jej nazwisko w książce telefonicznej. Wyszło na to, że to jej numer zostawił mi na sekretarce Danny. Sue McKillop nie wiedziała, że ciotka męża żyje. Nie miała pojęcia, jak odnaleźć jego kuzynów.

– Pani Mary McKillop? – spytałem.

– On nie żyje – powtórzyła. – Czego pan chce?

– Jestem prawnikiem. Porozmawiajmy o Dannym.

– Danny nie żyje. Odpieprz się pan.

Uchylone drzwi zatrzasnęły się tuż przed moim nosem. Przez chwilę gapiłem się tępo na obłażącą z nich zieloną farbę. Zastanawiałem się, czy warto podjąć kolejną próbę. W smudze zapachów sączących się ze szczeliny, jaką zostawiła ciotka Danny'ego, gdy rozmawialiśmy, czułem zastały smród gotowanej kapusty, kocich siuśków i butwiejącego drewna cieknących sufitów. To przeważyło. Ledwie się odwróciłem, drzwi uchyliły się na milimetr.

– Spróbuj pan obok.

I znów trzask.

Zapukałem do drzwi domu po prawej. Otworzyła kobieta koło czterdziestki o cienkich, zmatowiałych włosach. Zamrugała, jakby poraziło ją światło dnia.

– Mam kilka pytań na temat Danny'ego McKillopa – oświadczyłem.

Długo patrzyła na mnie w milczeniu, po czym wsadziła ręce do kieszeni różowej podomki i beznamiętnym tonem odparła:

– Nie żyje. Pisali o tym w gazetach.

– Szukam jego kuzyna.

Milczenie.

– Chodzi o wypadek, z powodu którego Danny trafił za kratki. Być może niesłusznie.

Nadal nic. Widać kobieta czekała na kolejne rewelacje.

– Można się starać o odszkodowanie.

– Proszę pogadać z Vinem. – Odchrząknęła. – To kuzyn Danny'ego. Nie ma go tutaj.

– Nazywa się Vin McKillop?

Skinęła głową.

– Wie pani, gdzie go znajdę?

Przez chwilę się zastanawiała.

– Pewnie jest w robocie. Tylko wtedy wstaje przed południem. Dennis Shanahan z Edge Street będzie wiedziała gdzie.

Znalazłem numer Dennis Shannahan w książce telefonicznej. Bez oporów powiedziała mi, że Vin rozbiera budynek przy Joseph Street w Abbotsord.

Na miejscu zastałem trzech facetów w średnim wieku, nastolatka i uwiązanego na smyczy psa z kolczatką na szyi. Widziałem ich z drogi jak na dłoni. Jeden z robotników siedział w kabinie ciężarówki stojącej za szkieletem piętrowego budynku, drugi wyważał łomem ramę okna, trzeci natomiast palił drewniane belki w rogu budynku. Nastolatek rozwalał cegły młotem albo dłutem. Pies pilnował ich wszystkich. Przenośne radio stojące pośród ruin grało na cały regulator.

Przeszedłem przez ulicę i idąc wzdłuż desek wyznaczających granice odsłoniętych płytek podłogowych, dotarłem do czegoś, co wcześniej było drzwiami budynku. Wokół unosił się smród biedy: starego tłuszczu, niemytych stóp, przypalonych desek do prasowania i zatkanych rur.

– Szukam Vina! – zawołałem do gościa, który mocował się z oknem.

Nie obejrzał się nawet, ale wskazał kciukiem gdzieś za siebie.

Podejrzewałem, że szef tego bałaganu siedzi w ciężarówce,

podszedłem więc do faceta przy ognisku. Zatrzymałem się w bezpiecznej odległości, w której żar nie wydawał się już nie do zniesienia. Koleś nie zwrócił na mnie uwagi. Był niski i krępy. Miał ciemne, kręcone włosy oraz grube baczki, pamiętające pewnie czasy Elvisa. Podobnie zresztą jak jego spodnie oraz smar na rękach i brud pod paznokciami. Spłaszczony, krzywo zrośnięty nos oraz brak prawie połowy prawej brwi świadczyły o burzliwej przeszłości.

– Vin McKillop? – spytałem.

Znieruchomiał z grubą belką w prawej dłoni. Zerknął na mnie podejrzliwie. Miał małe, bystre oczka boksera.

– A kto pyta?

– Jestem prawnikiem. – Podszedłem nieco bliżej. – Chodzi o Danny'ego McKillopa. Wiem, że nie żyje, ale szukam kogoś, kto go znał.

Vin wrzucił belkę do ognia.

– Po co? – spytał.

– Zbieram informacje o wypadku, w którym zginęła kobieta.

Sięgnął po kolejną belkę.

– Odsiedział swoje – rzucił.

– Zastanawiam się, czy słusznie.

Przez chwilę patrzył w płomienie.

– A co ci do tego, czy słusznie, czy nie?

– To dość skomplikowane. Daj mi chwilę. Zapłacę ci stawkę dla świadka.

– Jestem w pracy.

– Weź wolną godzinkę. Wyrównam ci straty.

Vin McKillop ułożył starannie belkę w ognisku, po czym podrapał się palcem pod nosem.

– Za rogiem jest pub – burknął w końcu. – Czekaj tam na mnie. To cię będzie kosztować dwie dychy.

Pub był pusty, jeśli nie liczyć dwóch staruszków siedzących przy stole i patrzących pusto w przestrzeń. Ciemne pomieszczenie

cuchnęło skwaśniałym piwem i karbolem. Zamówiłem dwa piwa i usiadłem blisko wyjścia. Po chwili zjawił się Vin. Pomaszerował prosto do drzwi z napisem „Dla panów”. Kiedy wyszedł, stanął przy barze i popatrzył na mnie wyczekująco. Wziąłem piwa i podszedłem.

– Na zdrowie – powiedziałem, podając mu kufel.

Nie odpowiedział. Wziął jednak naczynie i wychylił trzy czwarte jego zawartości.

– Ile dajesz tym swoim świadkom?

W kieszeni miałem już naszykowany pięćdziesięciodolarowy banknot. Wyjąłem go i położyłem na barze.

Vin schował go do kieszeni koszuli. Z tej samej kieszeni wyciągnął papierosa i plastikową zapalniczkę. Zapalił. Zaciągnął się mocno, po czym wypuścił dym nosem. Miałem ochotę poprosić, by mnie poczęstował.

– Ty jesteś Jack – raczej stwierdził, niż zapytał.

– Nie. – Wyjąłem wizytówkę i przytrzymałem mu ją przed nosem. Spojrzał obojętnie.

– Nie mam okularów. Co tu jest napisane?

– Że jestem prawnikiem. – Zdałem sobie sprawę, że Vin nie umie czytać.

– Danny nie potrzebuje już prawników.

– Ale jego żona i córka owszem. Kiedy widziałeś go po raz ostatni?

– Krótko po tym, jak wyszedł z pierdla. Nie poznałem go. Zgubił z pięćdziesiąt kilo.

– Czym się zajmował, zanim poszedł siedzieć?

– Niczym. – Vin dopił piwo i skinął na barmana wielkim, brudnym paluchem.

– Byłeś zaskoczony, że wjechał w tę babkę?

Zaciągnął się po raz ostatni i rzucił niedopałek na podłogę. Nawet go nie przydepnął. Zapalił kolejnego papierosa.

– Nawet bardzo zaskoczony. – Oparł dłoń z papierosem na barze i zabębnił kciukiem w drewno.

– Dlaczego?

– A co za różnica. I tak żrą go teraz robale.

– To ważne. Dlaczego byłeś zaskoczony?

Osuszył połowę kufla, po czym otarł usta rękawem koszuli.

– Trzymał się z dala od kółka. Stracił prawko za jazdę po pijaku. Dopiero mu je oddali. Bał się jak cholera, że następnym razem pójdzie siedzieć.

– Uchlał się i zapomniał o strachu.

Vin podrapał się pod pachą.

– Niby prawda, ale w sobotę zalał się w pestkę w Punt Road i spadł z krzesła kwadrans po jedenastej. Powiedz, jakim cudem zdążyłby w pół godziny wytrzeźwieć tak, żeby wrócić do domu, wsiąść do auta, przejechać trzydzieści przecznic i stuknąć jakąś laskę?

– Nie powiedział o tym sędziemu.

– Żebyś, kuźwa, wiedział.

– Skąd wiesz, gdzie był kwadrans po jedenastej?

– Widział go mój kumpel.

– I nie powiedział o tym glinom?

– Usłyszał o sprawie dopiero, gdy Danny już siedział.

– I dalej milczał?

Vin znów wydmuchał dym przez nos.

– Liczył, że Danny posiedzi dłużej. Mój kuzyn był kapusiem. Wielu liczyło, że strażnikom zawieruszy się gdzieś klucz do jego celi.

– Dla kogo kapował?

– Dla tych z narkotyków. Donosił na fiutków, którzy zgrywali po knajpach ważniaków. Jeden gliniarz odpalał mu za to działki.

– Heroiny?

– Czego popadło.

Do pubu weszło dwóch robotników w waciakach i wełnianych czapkach. Vin zlustrował ich uważnie, po czym dopił piwo.

Zamówiłem kolejne dwa kufle.

– Z jednym z tych swoich kolesi gadał przed pubem w tamtą

sobotę.

– Skąd wiesz?

– Też od kumpla. Widział Danny'ego w aucie Scullina. Potem kuzynek wrócił do knajpy. Szastał forsą i pił whisky. Co parę minut biegał do kibla. W końcu padł. Wykopali go krótko po jedenastej. Kumpel widział go na ławce z kolejną flaszką.

– Kwadrans po jedenastej?

– Mniej więcej.

– Czy twój kumpel pogadałby ze mną za stawkę dla świadka?

– Nie.

– Dlaczego?

– Nie żyje. Przedawkował.

– Gliniarz nazywa się Scullin?

– Nie pamiętam.

– Gdzie Danny trzymał auto?

– W garażu za domem babci.

– Przy Collett Street?

– Tak.

– Kawał drogi od Clifton Hill.

– Żebyś wiedział. – Jednym haustem dopił piwo. – Muszę się zbierać.

– Dzięki za pomoc.

– Nic ci nie powiedziałem. Jasne?

– Jasne.

Zanim wyszedł, obejrzał się jeszcze przez ramię. Jego oczka boksera nie zmieniły wyrazu, ale wiedziałem, że dobrze zapamięta moją twarz.

* * *

Pojechaliśmy do Ballarat wielkim BMW. Harry przemknął przez Royal Park i autostradę Tullamarine jak naćpany kierowca rajdowy. Dzień był pogodny, błękit nieba znaczyły tylko białe strzępki obłoków. W ciągu dziesięciu minut pokonaliśmy Keilor, rozległe morze ceglanych budynków dzielących się na osiedla o nazwach, w których koniecznie musiało się znaleźć słowo „wzgórze". W miejscach takich jak to dogorywały młodzieńcze marzenia.

– Wzgórza – mruknął Harry. – A ziemia płaska jak kartka papieru.

Siedziałem z tyłu pogrążony w lekturze gazety. Cam siedział z przodu i bawił się laptopem.

– Słyszałem od Woottona, że przyskrzyniłeś jednego z jego bukmacherów, Jack – zagadnął Harry.

– Nie bez trudności. – Harry znał Woottona od lat. Często zlecał mu poważniejsze sprawy.

– Coraz więcej gnojków próbuje się nachapać cudzym kosztem. Przydałby się kolejny Henry Szczęściarz. – Harry obrócił do mnie głowę i długo patrzył mi w oczy, zupełnie nieświadom faktu, że mija właśnie o włos pick-upa jakiegoś malarza. Siedzące na pace dwa owczarki australijskie ujadały jak szalone. Zbladłem. – Słyszałeś o Henrym Szczęściarzu, Jack?

– Nie.

– Historia stara jak świat. Henry Carmody, zwany Szczęściarzem Henrym, był bukmacherem Baby'ego Martineza. Martinez pochodził z Manili, Hawajów czy gdzieś z tamtych okolic i kombinował z zakładami. Głupio z jego strony. Henry trochę przy nim posiedział, zresztą dobrze mu szło, po czym pewnego dnia zniknął z workiem forsy. Pomyślał pewnie, że Martinez, głupi Meks, pojęczy trochę, postęka, a potem wróci do domu popłakać pod palmami.

Harry rozejrzał się trochę, ocenił sytuację na drodze i wrócił do opowieści.

– Kolesie Martineza znaleźli go w Brisbane. Szczęściarz jechał tam potwornie długo i pewnie dlatego wydawało mu się, że czmychnął na drugi koniec świata. Bawił się beztrosko, szastając forsą Martineza. Przepuszczał ją na dziwki, karty i wódę dla miejscowych gliniarzy i naszych.

Harry wypuścił z dłoni paczkę drażetek czekoladowych, którą usiłował otworzyć, wsadził więc głowę pod kierownicę, by ją znaleźć. Cam jęknął, po czym wydobył pudełeczko i wręczył – już otwarte – szefowi.

– Następnego dnia znaleziono Henry'ego w jego domku na wzgórzach. Wisiał pięć stóp nad ziemią, przybity do ściany dziesięciocentymetrowymi gwoździami. Jak Chrystus.

– Szlag! – bąknął Cam.

– To nie wszystko. – Harry uśmiechnął się drapieżnie. – Kolesie Martineza obcięli mu fiuta i włożyli mu go do kieszeni koszuli jak cygaro. Minęło sporo czasu, nim jakikolwiek bukmacher pomyślał o oskubaniu klienta.

Przez chwilę chichotał, zadowolony z siebie, po czym odwrócił się do Cama.

– Poprowadź mnie na miejsce. Muszę odpocząć.

Podczas gdy Cam mamrotał pod nosem, szukając trasy w Internecie, Harry nadal beztrosko łamał przepisy. W rezultacie następne sto dziesięć kilometrów pokonaliśmy w czasie niewiele dłuższym od godziny. W Ballarat nie padało. Miejscowi przystawali na chodnikach i patrzyli w niebo z zaskoczeniem. Wielu z nich miało jasną cerę i zwiotczałe mięśnie ludzi, którzy świeżo wyszli z pudła. Jak często mawiano, nikt nie osiedlał się tutaj dobrowolnie – jedynych nowo przybyłych przysyłały władze.

Dowling Forest leżało po drugiej stronie miasta, u stóp wzgórza o zaokrąglonym, pozbawionym drzew wierzchołku. Nim tam dojechaliśmy, zaczęło mżyć.

– Tutaj tak zawsze – mruknął Harry. Odezwał się po raz pierwszy

od chwili, gdy skończył opowieść o Henrym Szczęściarzu. Zaparkował dość daleko od bramy i odebrał mi gazetę.

Cam wyłączył laptop i upchnął go w schowku pod deską rozdzielczą.

– Co teraz? – spytał, składając wielkie łapska na podołku.

Harry sięgnął prawą ręką do tweedowej marynarki i wyścignął z niej kopertę, grubą na mniej więcej centymetr.

– Dam ci znak – powiedział. – Założę się, że kmiotki już stoją w kolejce.

– Oby. – Cam schował kopertę do wewnętrznej kieszeni płaszcza i szybko wysiadł.

Wyjąłem kamerę z pokrowca, sprawdziłem baterie, zawiesiłem ją na szyi i schowałem za połę wiatrówki. Wysiadłem na deszcz, Harry został w aucie; gadał z kimś przez telefon.

Przyjechaliśmy do Ballarat z dwóch powodów. Pierwszym był koń, trzyletnia klacz o imieniu Topspin Winder, biegnąca w trzeciej gonitwie. Biegła już w pięciu gonitwach i nigdy nie dotarła do mety na pozycji lepszej niż siódma. Po czterech gonitwach odpoczywała przez osiem tygodni. W pierwszej gonitwie po tej przerwie tydzień temu w Pakenham była ósma.

Kupiłem kartę i wałęsałem się po wielkiej hali, w której obstawiano zakłady. Wokół kręcili się miejscowi bukmacherzy. Rozpaczliwie próbowali utrzymać się na powierzchni i doczekać wiosennej fety, oznaczającej kres ich kłopotów finansowych. Do drugiej gonitwy zostało pięć minut. Jak na wiejskie standardy, sporo się działo. Wszedłem na trybunę. Siedzący na niej notable obrzucili mnie zaciekawionymi spojrzeniami zza okularów. Przed sobą widziałem morze lustrujących mnie oczu i węszących nosów.

Spojrzałem na tor. Jeden rzut oka wystarczył, by stwierdzić, że niewiele się tam dzieje. Aż szkoda, że ktoś musi dobiec pierwszy. Albo drugi. I trzeci.

– Tempo nie jest imponujące – obwieścił komentator.

– Delikatnie powiedziane – powiedział facet siedzący obok mnie. – Pierwszy raz widzę gonitwę, w której wszyscy chcą przegrać.

Zszedłem z trybuny, minąłem halę zakładów i wyszedłem na zewnątrz.

Cam stał przy wózku sprzedawcy hot-dogów i jadł coś owiniętego w papier. Harry kręcił się między kramami. W pewnej chwili zatrzymał się i zaczął przetrząsać kieszenie płaszcza, jakby czegoś szukał, patrząc przy tym w ziemię. Kiedy podniósł głowę, skinął nią lekko do siebie, jakby jego poszukiwania zostały uwieńczone sukcesem. Potem wolnym krokiem podążył w stronę parkingu.

Cam zmiął zatłuszczony papier w kulkę i rzucił ją w stronę stojącego trzy metry dalej kosza na śmieci. Ruszył w stronę hali zakładów. Wchodząc, klepnął w ramię grubego faceta w zatłuszczonej puchowej kurtce.

Nie czekałem na rezultaty. Jak głosiła tablica wisząca przy wejściu, za zwycięstwo Topspin Winder płacono czterdzieści do jednego. Postawiłem skromne pięćdziesiąt dolarów, pilnując, żeby nie zwrócić niczyjej uwagi. Zanim obszedłem halę dokoła, Cam i jego ludzie zrobili swoje. Stawka spadła do piętnastu do jednego.

Do okienek ruszyła druga fala – zjawili się gracze związani z właścicielami Topspin, zaskoczeni ruchem Cama i jego kumpli. Pchali się jak zawsze, gorączkowo próbując zainwestować pieniądze. Wywołali kolejny spadek. Za zwycięstwo klaczki płacono teraz sześć do jednego.

Po drodze na trybuny, skąd zamierzałem obejrzeć wyczyn Topspin, natknąłem się na Cama. Zmierzał w stronę kramów. Spokojnie palił cygaretkę i przeglądał program. Jego twarz, ciekawa mieszanka rysów Aborygenów, Szkotów i Włochów, wyrażała jedynie znudzenie.

Topspin biegła słabo jak zwykle. Podczas trzech ostatnich gonitw patrzyłem na nią z rosnącym podziwem. Była drobna, spokojna, nijaka. Trudno się dziwić, że nie zaimponowała znawcom wyścigów. Dziś rano Ron Pevsner z „Age'a" oszacował jej szanse na wygraną na

pięćdziesiąt do jednego, a Bart Grantley z „Heralda” uplasował ją na przedostatnim miejscu dziesiątki koni.

Harry zwrócił na nią uwagę podczas jej debiutu. Biegła wtedy w Moe. Tysiąc sześćset metrów w ulewnym deszczu. Drobna klaczka przegapiła start, a dziesięć pierwszych metrów przebiegła tak, jakby potykała się co krok. Zanim dżokej wreszcie wziął się w garść, pozostałe konie wyprzedziły ją o jakieś dwanaście długości, znikając we mgle. Cam stał przy ogrodzeniu i z niewiadomych przyczyn wcisnął stoper, gdy Topspin pokonała pierwszych dwieście metrów. Na pięćsetnym metrze doszło do wypadku – dwa konie przewróciły się na śliskim błocie. Topspin była wtedy zbyt daleko, by cokolwiek jej się stało. Dobiegła do mety siódma, stawka zaś liczyła trzynaście koni. Zwycięzca wyprzedził ją o jakieś osiem długości. Harry’ego zainteresowało to, co przypadkiem ustalił Cam: tysiąc metrów od chwili, gdy przestała się potykać, do miejsca, w którym stał Cam, Topspin pokonała w mniej niż sześćdziesiąt sekund. Nikt tego nie zauważył, bo uwagę większości widzów odwrócił upadek dwóch koni.

Topspin nigdy więcej nie powtórzyła tego wyczynu. W kolejnych trzech wyścigach, wszystkich na tysiąc sześćset metrów, biegła już pod innym dżokejem, Martym Bacquie’em, weteranem wyścigów w głębi kraju, którego twarz wyglądała jak wygarbowana skóra. Wydawało się, że klacz daje z siebie wszystko, zwykle jednak trzymała się środka stawki, pozwalając się blokować na kilka długości, a pod koniec słabła i ostatnie dwieście metrów pokonywała morderczym wprost wysiłkiem. Podczas jej ostatniego występu w Pakenham sfilmowałem rozmowę dżokeja z trenerem tuż po wyścigu. Harry wytrzasnął skądś faceta, który umiał czytać z ruchu warg i pokazał mu film. Okazało się, że trener chwalił Bacquie’a. I właśnie dlatego przyjechaliśmy do Ballarat.

W gonitwie trzeciej, na tysiąc dwieście metrów, startowało dwanaście koni. Faworyt, Quigley’s Pride, startował dziewiętnaście razy. Raz wygrał, a dziewięć razy uplasował się w pierwszej trójce.

Tuż za nim typowano Extension Date, który wygrał jedną z pięciu gonitw, w jakich brał udział. Było zimno. Na trybunach siedziało może ze stu widzów. Jak zwykle, zająłem miejsce przy wschodniej ścianie. Harry siedział niżej, pośrodku rzędu. Ubrany w stary płaszcz i kapelusz, nie rzucał się w oczy. Cam gdzieś się zapodział.

Konie stały już w bramkach. Na Topspin siedział dziś inny dżokej, Lance Wallace, Nowozelandczyk występujący od dwóch sezonów, jak dotąd bez większych sukcesów.

Po starcie prowadzenie objęła klacz o imieniu Denaderise, wyprzedzając pozostałe konie o dwie długości. Znałem ją z innych gonitw. Zawsze tak robiła. Wytrzyma jeszcze jakieś pięćset metrów.

Po sześciuset metrach dogonił ją Quigley's Pride, spec od takich zagrywek. Tempo nie oszołamiało. Topspin trzymała się z tyłu, na ósmej, dziewiątej pozycji.

Po kolejnych stu metrach Wallace przesunął się nieco do przodu, trzymając się środka stawki. Denaderise straciła prowadzenie. Na czele biegł teraz Extension Date, narzucając szybsze tempo. Tuż za nim trzymał się Quigley's, choć na osiemsetnym metrze trochę zwolnił. Do rywalizacji włączył się koń o imieniu Under the Gun. Jego zwycięstwo szacowano na piętnaście do jednego.

Na ostatnich dwustu metrach dżokej Under the Gun popędził go szpicrutą. Konie Extension Date i Quigley's Pride zostały z tyłu. Sto pięćdziesiąt metrów przed metą prowadził Under the Gun, o długość wyprzedzając Quigley's Pride. Extension Date słabł.

Komentator obwieścił: *Under the Gun biegnie coraz szybciej. Quigley's Pride nie ma szans go dogonić. Extension Date wyraźnie zostaje z tyłu.*

Jak widać, nasze kalkulacje zawiodły. Kalkulacje właścicieli Topspin również.

Nagle jednak, gładko i bez wysiłku – bez szpicruty, ostróg i szarpania wodzów – Lance Wallace wyprowadził Topspin Winder do przodu, idąc po zewnętrznej. Klaczka biegła spokojnie. Wyglądało to tak, jakby wcale nie przyspieszyła, tylko pozostałe konie zwolniły.

Komentator wpadł w euforię. Mówił coraz szybciej: *Topspin idzie po zewnętrznej. Mija Extension Date. Pięćdziesiąt metrów przed metą dogania Quigley's Pride. Ten jest już zmęczony, pozwala się więc wyprzedzić. Under the Gun i Topspin Winder idą łeb w łeb. Under the Gun i Topspin Winder. Under the Gun. Under the Gun. Topspin nie odpuszcza. Wychodzi na prowadzenie. Topspin Winder. Wygrywa o trzy czwarte długości.*

Zerknąłem na Harry'ego. Wyciągnął srebrną piersiówkę, którą często zabierał ze sobą na wyścigi w chłodne dni. Przez chwilę na nią patrzył, a potem pociągnął łyk whisky glenmorangie.

Sfilmowałem czwartą gonitwę, tym razem na tysiąc sześćset metrów. Stanowiła drugi powód, dla którego zjawiliśmy się w Ballarat. Zainteresował mnie koń Red Line Value, na którego wcześniej zwrócił uwagę Harry. Tuż po starcie spisywał się świetnie, ale potem opadł z sił i dobiegł do mety mniej więcej w połowie stawki. Widać musi jeszcze popracować, nim stanie na podium.

Kiedy dotarłem do auta, Cam i Harry już w nim siedzieli. Harry posłał mi lekki uśmiech.

– W domu otworzymy szampana – oznajmił.

Po drodze zatrzymaliśmy się przecznicę od hotelu Peter Lalor w centrum Ballarat. Cam wysiadł. Umówił się na spotkanie z bukmacherem, który zorganizował mu łebków do obstawienia zakładów.

– To najtrudniejsza część roboty – powiedział Harry. – Na szczęście, Cam wygląda tak, że kolesie czują przed nim respekt. Na milę rozpoznają gościa, z którym nie warto zadzierać. Jak ci poszło z Red Line?

Cam wrócił po kwadransie. Ruszyliśmy do domu, zatrzymując się po drodze przy McDonaldzie. Harry zamówił dwa big maki.

– Teraz ty prowadzisz, Cam – zarządził. – Muszę coś zjeść. Zgłodniałem na zimnie.

Nim dojechaliśmy do granic miasta, pochłonął obie kanapki.

– To się nazywa żarcie – sapnął. – Ani słowa mojej żonie. Uważa,

że jedzenie hamburgerów prowadzi do choroby wieńcowej albo jeszcze gorszych przypadłości.

Pogrzebał w schowku, wyciągnął płytę Williego Nelsona i wsunął ją do odtwarzacza.

– Mów, jak nam poszło, Cam – polecił, rozkładając fotel. Dźwięki muzyki wypełniły auto.

– Zgarnęliśmy trochę forsy, ale bez fajerwerków. Przebitka dziesięć do jednego. Bukmacherzy zaczęli schodzić ze stawki, gdy w obiegu pojawiły się pięćdziesiątki. Tutaj niewielu ma tyle na zbyciu.

– Mnie to wystarczy – zapewnił go Harry. – Nie muszę wyciągać z toru milionów. A łebków się nie pozbywaj. Przydadzą się następnym razem.

Nie miałem pojęcia, ile zarobiliśmy na tym wyjeździe. Pięć razy brałem udział w ich akcjach, ale nigdy nie poznałem wyniku. I bardzo mi to odpowiadało.

Harry wsunął głowę między fotele, żeby na mnie popatrzeć.

– Zarobiłeś coś na swojej pięćdziesiątce? – spytał, wiedząc, że postawiłem własną forsę.

– Tyle, ile się dało.

– Brawo!

W Parkville w towarzystwie Lyn Strang odzianej w czarną, gustowną sukienkę, osuszyliśmy dwie butelki szampana Dom Perignon. Potem Harry przeprosił nas na chwilę, a gdy wrócił, oznajmił:

– Całkiem nieźle nam poszło. – Co oznaczało, że to, co wygrał, obstawiając zwycięstwo Topspin Winder, wynagrodziło mu straty poniesione na innych koniach w innych gonitwach.

Wyszliśmy z Camem kwadrans przed ósmą wieczorem. Harry odprowadził nas do drzwi, wymienił z nami uściski dłoni, po czym wsunął mi do kieszeni kopertę. Otworzyłem ją dopiero w domu. Zawierała sześć tysięcy w pięćdziesięciodolarowych banknotach. Zszedłem na dół w poszukiwaniu towarzystwa. Szampan rozpalił mi

krew.

* * *

Następny dzień nie przyniósł niczego nowego. Zapłaciłem za wynajem biura właścicielowi, który akurat przechodził obok, a potem dopisałem kilka warunków do ugody przygotowanej dla Laurie Baranek. Po powrocie do domu rozłożyłem się wygodnie na skórzanej kanapie z teczką Danny'ego McKillopa w jednej ręce i butelką piwa w drugiej. Moje mieszkanie zajmowało połowę piętra zamienionej na apartamentowiec niewielkiej fabryczki obuwia nieopodal Ogrodów Edynburskich. W lepszych czasach należał do mnie cały budynek, teraz zaledwie ćwierć, którą udało mi się zachować. Poprawka: jedną czwartą budynku uratowała za mnie bardzo zasadnicza pani adwokat z przedmieścia, Prudence Webb z kancelarii Moloney, Hasssan i Webb, podczas gdy ja przepijałem systematycznie cały majątek po śmierci Isabel.

Automatyczna sekretarka nagrała dwa trzaski odkładanej słuchawki – co oznaczało, że przynajmniej dwóch potencjalnych rozmówców nie chciało się do mnie wcale odezwać. Prócz tego zarejestrowała wiadomość od znanego mi adwokata oraz dwie wiadomości od mojej siostry Rosy. Rosa jest jedyną znaną mi kobietą, która mimo że od urodzenia mieszkała na zamożnych przedmieściach Toorak, dostała imię na cześć komunistycznej bohaterki Róży Luksemburg. Spłodzenie jej okazało się ostatnim ważnym przedsięwzięciem mojego ojca, który wkrótce potem zszedł z tego padołu. Trudno przewidzieć, na kogo by wyrosła pod okiem Billa Irisha, kamieniarza, futbolisty i socjalisty w jednym, bo nikt tego nie sprawdził. Rosa spędziła dzieciństwo w rezydencji rodziców mojej matki, rozpieszczana przez czworo dorosłych, w tym swoją prababkę, powołaną do tego zaszczytnego obowiązku w wieku lat sześćdziesięciu pięciu.

Jeszcze raz przeczytałem uważnie akta Danny'ego. Dowody przeciwko niemu były niepodważalne. Świadek widział go trzy przecznice od miejsca wypadku w zaledwie kilka minut po tym

zdarzeniu. McKillopa znaleziono śpiącego za kierownicą auta, pod kołami którego zginęła Anne Jeppeson, co potwierdziły znalezione na karoserii próbki krwi i włókien z jej ubrania. Świadkowie wypadku zapisali numery rejestracyjne wozu, które oczywiście również odpowiadały tym, na jakich jeździł Danny. Co więcej, rozpoznano go jako kierowcę podczas okazania.

Podczas przesłuchania Danny zeznał, że zaczął pić o piętnastej. Nie pamiętał niczego, co stało się po dwudziestej drugiej, w czasie gdy był w pubie Glengarry Arms w Punt Road. Nie miał pojęcia, skąd dowody wypadku wzięły się na jego aucie. To samo zresztą powiedział mi podczas naszej rozmowy w więzieniu w Pentridge.

Odłożyłem teczkę i zapatrzyłem się na cienie tańczące na suficie. Z notatek wynikało, że bez chwili wahania doradziłem Danny'emu, by przyznał się do winy. Nie zadałem sobie trudu i nie sprawdziłem, czy istnieje inne wyjaśnienie wypadku. Bo niby po co? Danny nie podał mi własnej wersji wydarzeń, miał za sobą kryminalną przeszłość, a działania policji obliczone były na to, aby żadnego z dowodów nie dało się podważyć w sądzie. Marzenie prokuratora.

Szedłem po drugie piwo, gdy zadzwonił telefon. Znów dzwoniła moja siostra.

– Czy nigdy nie ma cię w domu? – spytała. – A może zepsuła ci się automatyczna sekretarka? Potrzebuję rady. Philip poprosił mnie o rękę.

– Który?

– Philip. Ten, co zawsze. Z iloma, według ciebie, się spotykam?

– Nie pytam o liczbę – burknąłem – tylko o jego wygląd. Który to Philip?

Rosa westchnęła ostentacyjnie.

– Poznałeś go podczas kolacji. Inwestor. Ma bardzo seksowne usta. Przywiozłeś wtedy ciasto od Sydney.

– Ona też ciepło cię wspomina. Jakiej chcesz rady?

– Uważasz, że powinnam?

– Wyjść za mąż?

– Tak. Wyjść za mąż.

– Nie.

– Dlaczego, u licha?

– Zaczekaj na kogoś, kto będzie dupkiem tylko w stu procentach. A co się stało z Kevinem? Był gorliwym katolikiem, od czasu do czasu ruszało go sumienie. Co niestety nie przeszkadzało mu spekulować walutą.

– Kevin był dupkiem dwustuprocentowym. Miał w laptopie program monitorujący kurs dolarów, jenów i złotych. Gdy szliśmy do restauracji, chował się w toalecie i sprawdzał notowania. Wiem, bo go na tym przyłapałam. Jego kumple byli bandą zapatrzonych w siebie idiotów, którzy w kółko gadali tylko o forsie. A żona zostawiła go dla dwudziestoletniego ochroniarza z nocnego klubu. W sumie trudno jej się dziwić.

– Ja się nie dziwię – zapewniłem.

– Jeśli już udaje mi się znaleźć faceta, który nie jest żonaty albo akurat nie szuka przygody, okazuje się, że to gej albo psychol. Wtedy dla odmiany gada o terapii, na której szuka kontaktu z kobiecą częścią swej duszy albo ględzi o ukrytym w jego wnętrzu dziecku potrzebującym opieki. Pewnie dlatego Philip wydaje mi się taki wyjątkowy.

Teraz to ja westchnąłem.

– Problem w tym, że ma w sobie coś z rekina – powiedziałem. – I to mnie martwi.

Potem udzieliłem jej jeszcze kilku dobrych rad i umówiliśmy się na lunch. Odłożyłem słuchawkę, zrobiłem sobie tosty z szynką i pomidorem i wróciłem na kanapę. Włączyłem telewizję. Załapałem się na ostatnią część wiadomości. Reporter w typie intelektualisty, jasnowłosy, piegowaty, z okrągłymi okularami na nosie, stał przy ogrodzeniu z siatki u boku ubranego w ciemny garnitur mężczyzny o łagodnym spojrzeniu. Za płotem widać było coś, co wyglądało jak

potężna żwirownia, za którą rozciągała się szara powierzchnia wody. W tle majaczyły zarysy wieżowców.

– Panie Pitman – zagadnął reporter. – Został pan powołany przez gabinet do nadzoru nad projektem rozwoju zatoki Yarra, Yarra Cove. Jak się pan zapatruje na pełne niepokoju głosy, że to dziwne, iż kosztujący ponad sześćset milionów dolarów projekt podjęto bez konsultacji społecznych?

Minister uśmiechnął się chytrze. Miał wąską twarz o wysokich kościach policzkowych. Jak dla mnie, wyglądał na kogoś, kto przeszedł kilka operacji plastycznych. Zaciekawił mnie fakt, że wiejący od wody wiatr nie zmierzwił mu fryzury.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz, Andrew. Być może takie opinie słychać w waszej redakcji lub pojawiają się w czasopismach brukowych. Zawsze znajdą się tacy, którym nie podobają się działania rządu. Zwykle jednak nie są to nasi wyborcy.

– Mimo to… – zaczął reporter, ale Pitman przerwał mu w pół zdania.

– Ludzie, którzy głosowali na gabinet premier Saunders, chcą, by nasz stan odzyskał dawne znaczenie. Dość mają życia w obozie stworzonym przez naszych poprzedników. Ten projekt gwarantuje im, że okolica odżyje. Wpompuje w nią ogromne sumy pieniędzy i mnóstwo energii.

Andrew poczynił jeszcze kilka nieudolnych prób zepchnięcia ministra do defensywy, ale Pitman zignorował go i dalej tokował o tym, co podobno myślą ludzie.

W końcu Andrew się poddał.

– Za dwanaście miesięcy to – wskazał na żwirownię – będzie wartym sześćset milionów dolarów portem, centrum handlowym, ośrodkiem rozrywki i jak chcą niektórzy, najmodniejszym miejscem w Melbourne. Pozostanie jednak pytanie, czy lekceważąc opinie mieszkańców miasta, rząd premier Saunders nie stworzył przypadkiem niebezpiecznego precedensu, który na zawsze zmieni

sposób podejmowania decyzji przez władze. Dla „This Day” mówił Andrew Leonard.

Po wiadomościach do obejrzenia pozostały mi jedynie programy rozrywkowe oraz talk-showy. Mogłem posłuchać – a wybór miałem ogromny – o przypadkach łamania praw dzieci, praw dorosłych, ewentualnie praw przyrody. Przełączyłem więc na kanał dokumentalny, trafiając na reportaż o przypadkach pijaństwa w Laponii. To przeważyło szalę. Poddałem się, wyłączyłem telewizor i sięgnąłem po książkę. Usnąłem nad rozdziałem trzecim *Wobec braku wojny* Eugene’a Marasco.

W środku nocy ocknąłem się, przerażony czymś, co mi się przyśniło, i położyłem się do łóżka. Wtedy okazało się, że sen pierzchł na dobre. Leżałem w ciemności, myśląc o Dannym, policyjnym szpiclu, ćpunie i sprawcy śmiertelnego wypadku, który odrodził się jako przykładny pracownik, mąż i ojciec. Jeśli jego przyćpany kuzyn mówił prawdę, gliniarze mogliby zapewnić mu alibi. Nie postarali się jednak. A to oznaczało, że najważniejszy świadek kłamał podczas procesu. Tym świadkiem był Ronald Bishop.

Wstałem, zapaliłem światło, przyniosłem do sypialni teczkę McKillopa i ponownie przeczytałem zeznania Ronniego. Wynikało z nich, że nie miał najmniejszych wątpliwości co do tego, co widział. Zrezygnowany, zgasiłem lampę i usnąłem. W głowie kołatała mi się myśl o tym, jak dziwnie potoczyło się życie Danny’ego.

Rano zadzwoniłem do domu Barry’ego Tregeara, licząc, że złapię go, nim wyjedzie do pracy. Kobieta, która odebrała, powiedziała jednak, że już wyszedł, ale chętnie przekaże mu wiadomość i poprosi, by do mnie oddzwonił. Przedstawiłem się więc i podałem swój numer. Dziesięć minut później zadzwonił Barry. Sądząc po odgłosach, siedział w aucie i rozmawiał ze mną przez komórkę.

– Ronald Bishop – mruknął, próbując zapamiętać. – Morton Street, Clifton Hill. Zobaczę, co się da zrobić.

Śniadanie zjadłem w barze U Meakera przy Brunswick Street. Na obu jej końcach wznosiły się strzeliste wieże kościołów, pomiędzy nimi zaś kursowały tramwaje. Czasem, kiedy porywisty wiatr rozwiewał zasłonę smogu, ze szczytu jednej z wież można było zobaczyć drugą. Niegdyś Brunswick Street tętniła życiem. Potem podupadła i stała się jedynie samotną drogą pośród rozwalających się domów oraz zapomnianych przez Boga i ludzi sklepików. W latach osiemdziesiątych znów zmieniła oblicze. Zniknęły pralnie chemiczne, drukarnie, zakłady szewskie i rusznikarnie, sklepiki z podłą kawą i bary ze stołami bilardowymi. W ich miejsce pojawiły się restauracje, kawiarnie, delikatesy, galerie i księgarnie. Nagle Brunswick Street znów stała się modna.

Bar U Meakera otwarto na długo przedtem. Kilkakrotnie przechodził z rąk do rąk, a raz nawet przeniesiono go w inne miejsce, w gruncie rzeczy jednak nic się w nim nie zmieniło. Chociaż nie. Zmienił się wygląd jego klienteli. I personel. Tego dnia też pojawiła się nowa kelnerka. Była wysoka i chuda jak patyk. Miała dwadzieścia kilka lat, fryzurę w modne pazurki i zadziwiająco bystre spojrzenie.

– Jestem Sharon – przedstawiła się, stawiając mi przed nosem tacę z bombą cholesterolową. Zamówiłem jajka na bekonie, pieczone kiełbaski i zapiekane pomidory. – Wiem od kucharza, że masz na imię Jack.

– Co tu robisz? – zrewanżowałem się pytaniem, gdy przyniosła kawę. Pracy w barze przy Brunswick Street zwykle nie podejmowało się z powołania.

– Jestem aktorką – odparła. – Pracuję w teatrze. Nie skojarzyłeś mojej twarzy?

– Nie, ale ostatnio rzadko bywam w teatrze.

– A czym ty się zajmujesz? – spytała, wycierając blat stolika.

– Jestem biskupem.

– Jasne – prychnęła. – A w kieszeni masz spluwę czy tylko ucieszyłeś się na mój widok?

Od razu wiedziałem, że dzięki niej to miejsce nabierze kolorów. Była wprawdzie ciut za mało religijna jak na mój gust, ale gotów jej byłem to wybaczyć.

Jako że nikt nie potrzebował moich usług prawniczych, kolejne pięć godzin spędziłem w warsztacie Tauba. Charlie pracował nad meblami do sali konferencyjnej, zamówionymi przez kopalnię z Perth do ich nowego biura w Melbourne. Styl mebli obstalowywanych przez takie firmy określaliśmy najczęściej jako „wzbogacony górnik". Zwykle oznaczało to stół w kształcie Australii bez Tasmanii i krzesła o oparciach przypominających fale oceanu. Tym razem jednak kopalnia zatrudniła dekoratorkę wnętrz, która z niejakim trudem przekonała jej szefów, że dla dobra interesów firmy powinni zdecydować się na bardziej klasyczne meble. Meble zaprojektowane od początku do końca przez Charliego Tauba. Dekoratorka była żoną wnuka Charliego – jak widać, posiadanie licznych krewnych ma mnóstwo zalet.

Większość poranka spędziłem na nagabywaniu Charliego. Liczyłem, że w końcu powie mi, nad czym właściwie pracuję. Od dawna nie robiliśmy w warsztacie szuflad.

– A jak myślisz, po co mi szuflady? – mruknął wreszcie. – Nie robię niczego nowego.

– Ale dla mnie to wszystko jest nowe – przypomniałem. – A nie mam nic prócz kilku wymiarów wypisanych na skrawku gazety. Chcę wiedzieć, jak ma wyglądać ten mebel i czy to, co robię, pasuje do twoich wyobrażeń. Czy proszę o zbyt wiele?

Charlie odwrócił się i mamrocząc coś pod nosem, poszedł do swojego biura. Wrócił po jakichś dziesięciu minutach. W ręku trzymał kilka stron wyrwanych z elementarza dla dzieci. Widniały na nich obrazki przedstawiające kredens, meblościankę z kryształami, telewizorem i odtwarzaczem wideo, duży, masywny stół oraz proste, ustawione w różnych odstępach krzesła.

– Chcesz rysunki, masz rysunki – rzucił Charlie.

Poszedłem za róg do centrum komunikacyjnego, które prowadził G. Bertoli, były pracownik telekomunikacji, i poprosiłem o dwie kopie.

Koło południa czytałem akurat gazetę, pogryzając przyniesioną z domu kanapkę z wołowiną, kiedy zadzwonił Barry Tregear. Nie znalazł niczego o Ronaldzie Bishopie.

O wpół do drugiej po południu urwałem się więc z warsztatu i pojechałem do Clifton Hill, które leżało ledwie kilka kilometrów od Fitzroy. Morton Street biegła tak blisko stadionu Collingwood, że pewnie słychać było na niej szloch kibiców, gdy ich drużynę pokonali zawodnicy Carlton. Kiedyś baty spuszczali miejscowym także futboliści Fitzroy, ale czas naszych minął i teraz o ich zwycięstwie przesądzić mogła jedynie boska interwencja. Bogaci burżuje dawno już zajęli połacie tej ongiś wyłącznie robotniczej okolicy, ale o Morton Street widać zapomnieli. Wyglądała na smutną i zaniedbaną. Przypominała płaszcz, niegdyś piękny, a teraz oddany żebrakowi.

Ronald Bishop mieszkał ponoć pod numerem siedemnastym, teraz jednak nie ostał się tam nawet dom. Wyrwano go z szeregu innych budynków jak zepsuty ząb, pozostawiając w nich lukę pełną pokruszonych cegieł. W miejscu, gdzie kiedyś stał kominek, wznosił się kawałek murku, a przy nim kupka wilgotnych popiołów, które chyba cudem ocalały z rozbiórki. Zapukałem do drzwi domu z numerem dziewiętnaście. Nikogo w środku nie było albo gospodarze ukryli się przed gośćmi. Postanowiłem spróbować szczęścia w piętnastce.

Dzwonek nie działał. Zapukałem kilkakrotnie. Drzwi otworzyły się gwałtownie. Stanął w nich wielki czerwony na twarzy facet po sześćdziesiątce. Popatrzył na mnie wilkiem. Miał na sobie brudną, niebieską kurtkę puchową i spodnie od dresów, wzdłuż których szwów biegły niegdyś białe, a dziś szare paski.

– Przestań, kuźwa, walić w moje drzwi! – wrzasnął. – Czego tu szukasz, gnoju!?

Przeprosiłem grzecznie i podałem mu wizytówkę. Nie zaszczycił jej nawet jednym spojrzeniem.

– Czego? – powtórzył.

– Szukam kogoś, kto mieszkał obok. To było dwadzieścia lat temu. Znał pan sąsiadów?

– To zależy. – Przeczesał palcami rzadkie, tłuste, siwe włosy.

– Za użyteczną informację płacimy dwadzieścia dolarów.

– Jak nazywa się ten ktoś?

– Ronald Bishop.

– Właź pan.

Poprowadził mnie ciemnym korytarzem do kuchni cuchnącej skwaśniałym mlekiem i przypalonym tłuszczem. Na blatach szafek i stołu walały się brudne naczynia, otwarte puszki, puste kartony po mleku i sokach, zmięte paczki papierosów. Blatu kuchenki gazowej nie było widać spod brązowej warstwy przypalonych resztek.

– Won! – wrzasnął mój nowy znajomy na wielkiego pręgowanego kocura spacerującego po stole. Zwierzak zamiauczał, otarł się tłustym cielskiem o ścianę, po czym przeskoczył na blat przy cuchnącym niemiłosiernie zlewie. – Chcesz piwa?

– Chętnie. – Wolałem się nie narażać, bo wyglądał mi na kogoś, kto źle znosi odmowę.

Facet otworzył drzwi starej, pękatej lodówki i wyjął z niej dwie puszki piwa. Światło wewnątrz nie działało. Usiedliśmy przy stole. Na blacie nie było miejsca, oparłem więc puszkę na kolanie.

– Ktoś zostawił mu w spadku trochę kasy? – spytał, po czym przyssał się do puszki, tak jakby nie widział piwa od kilku dni, a nie od kilku minut.

– Nic o tym nie wiem. Szuka go rodzina. Znał go pan, gdy tu mieszkał?

– Pieprzony pedzio. Ma szczęście, że wyszedł stąd żywy. Zamierzaliśmy przetrzepać mu tyłek, ale nas uprzedził i się wyniósł.

Otarł kciukiem piwną pianę z dolnej wargi i sięgnął do kieszeni

kurtki. Wyciągnął zmiętą paczkę tanich papierosów.

– Palisz?

– Nie, dzięki. Za co go pan tak kochał?

Popatrzył na mnie podejrzliwie znad płomienia plastikowej zapalniczki.

– W chacie miał zawsze pełno dzieciaków. Spały gdzie popadnie. Wracał w środku nocy, przywożąc po pięcioro, sześcioro takich, jak to dziś mówią, „dzieci ulicy". Takie bachory powinno się trzymać pod kluczem. Ale on złego słowa nie dawał o nich powiedzieć. No więc siedziały u niego i robiły burdel.

– Ronald próbował im pomóc?

– Skądżeś się, chłopie, urwał? – prychnął pogardliwie. – Rżnął te dzieciaki. Z większością mu się udało. Były tak nawalone, że nawet tego nie zauważały.

Wypił kolejną porcję piwa, zaciągnął się papierosem i strzepnął popiół do puszki po kociej karmie.

– Długo tu mieszkał? – spytałem.

– Mniej więcej rok. Gdybym tu wtedy był, nie zagrzałby miejsca tak długo. – Podrapał się w kark. – Wróciłem na kilka tygodni przed tym jak zwiał. A Moira znosiła fiuta przez cały rok. I jeszcze gadała z nim przez płot. Baby to i diabeł nie zrozumie.

– Tak po prostu się wyniósł?

– Podjechał pewnego dnia białym sportowym triumphem. Kojarzysz, jak toto wygląda? Dziś już takich nie robią. Spakował się i czmychnął. Zostawił przed domem swoje stare renault. Spały w nim później te jego dzieciaki. Nigdy więcej go nie widziałem.

– A więc to nie pan go wypłoszył?

Potrząsnął głową jakby z żalem.

– Nie. Nawet gnoja nie tknąłem. Ponoć zajęli się nim gliniarze.

– Skąd pan wie?

– Dwóch kręciło się tu od czasu do czasu.

– Mundurowi?

– Nie. Tajniacy. – Pociągnął potężny łyk piwa. – Jednego znałem.

– Zna pan jego nazwisko? – Tym razem ja także się skusiłem.

– Scullin. Pochodził spod Abbotsford.

– Ronniego dwa razy odwiedziła policja i dlatego wyjechał?

– Byli tu więcej niż dwa razy. Ronnie wcisnął Moirze kit, że wygrał jakąś grubszą forsę, ale myślę, że handlował prochami.

– Ktoś jeszcze go tu znał?

Myślał przez chwilę, wypuszczając dym przez nos.

– Nie – powiedział w końcu. – Najwyżej koleś, który mieszkał po drugiej stronie, ale kopnął w kalendarz.

Dopiłem piwo.

– Dziękuję za pomoc. – Wstałem. – Jestem panu bardzo zobowiązany. – Wyjąłem portfel, odliczyłem dwadzieścia dolców i podałem mu je. Wziął, po czym wsunął je pod puszkę.

Przy drzwiach podziękowałem mu raz jeszcze. Machnął tylko dłonią. Byłem już przy furtce, kiedy zawołał:

– Coś mi się przypomniało. Ten sąsiad, który umarł, był Grekiem i powiedział mi kiedyś, że wyczytał w gazecie informację o Ronniem. Ponoć doniósł na jakiegoś gościa, który potrącił kobietę.

Przystanąłem.

– Kiedy to było?

– Nie wiem. – Splunął na ścieżkę.

– Wtedy, kiedy jeszcze tu mieszkał?

– Pewnie tak. Grek mówił, że widział, jak Ronnie pakuje się do samochodu, a potem przeczytał o tym wypadku. Ale wiem to tylko od niego. Sam nie mam czasu na czytanie.

– Dobrze wiedzieć. Jeszcze raz dziękuję.

* * *

Wróciłem do biura, zaparzyłem sobie herbatę i usiadłem w fotelu dla klientów. Gdzie się podział Ronnie Bishop? Ostatnio widziano go w wypchanym torbami triumphie, którym odjechał w siną dal tuż po tym, jak spełnił swój obywatelski obowiązek, zeznając przeciwko McKillopowi. I gdzie znaleźć gliniarza o nazwisku Scullin, łączącego oskarżonego z najważniejszym świadkiem?

Barry Tregear od razu skojarzył nazwisko.

– Martin Scullin. Scull. Znam go. A o co chodzi?

– O nic. Liczę, że mi w czymś pomoże.

– Dalej węszysz wokół sprawy McKillopa?

– Nie daje mi spokoju.

– Minąłeś się z nim. O jakieś sześć lat. Zwinął żagle i poszedł na emeryturę. Łowi ryby.

– Znasz jego numer albo adres?

– Najpierw z nim pogadam. Czego od niego chcesz?

Przez chwilę się zastanawiałem.

– Powiedz, że chcę spytać o jego wtykę, McKillopa.

– Skąd wytrzasnąłeś ten pomysł? – Tregear wydawał się zaskoczony.

– Wszyscy o tym wtedy wiedzieli.

– Odezwę się. Gdzie cię znajdę?

Podałem mu numer.

Wziąłem książkę telefoniczną i wyszukałem w niej R. Bishopów. Znalazłem dwóch Ronaldów, ale żaden nigdy nie mieszkał przy Morton Street. Zadzwoniłem do agentki nieruchomości, Millie Vincent, z którą często robiłem interesy, i poprosiłem, żeby w bazie danych właścicieli posesji sprawdziła Ronalda Bishopa. Odezwała się dwadzieścia minut później.

– Wyrzucą mnie za to ze związku – jęknęła. – W latach 1984–1985 Ronald Arthur Bishop wynajmował dom w Prahran. Pod koniec 1985

roku agent z Perth rozmawiał z nim na temat nieruchomości we Fremantle.

Podała mi numer telefonu agencji w Perth.

W ren sposób dotarłem do Michaela Brooke'a. Wziął mnie za agenta nieruchomości, czyli kolegę po fachu i bez oporów udzielił mi informacji. Okazało się, że Ronald Bishop wynajął dom we Fremantle przy Walpole Street.

– Kupił go potem. W 1986 albo 1987 roku. Trochę przepłacił, ale wyszedł na swoje. Teraz nazywa się Ronnie Burdett-Bishop. Awansował społecznie.

W książce telefonicznej Perth znalazłem R.A. Burdetta-Bishopa.

Zadzwoniłem raz i drugi. Nikt nie odebrał. Za trzecim razem długo trzymałem słuchawkę przy uchu, ale w końcu odezwał się w niej niski męski głos.

– Czy mógłbym rozmawiać z Ronniem? – spytałem.

– Kto mówi?

– Stary znajomy poradził, bym się z nim skontaktował.

Zapadło niezręczne milczenie.

– Ronnie jest w Melbourne – usłyszałem.

– Właśnie stamtąd dzwonię. Jak się z nim skontaktować?

Znów milczenie.

– Jak się pan przedstawił?

– Nazywam się Jack Irish. Jestem prawnikiem. Znajdzie mnie pan w książce telefonicznej Melbourne. – Nie wiem dlaczego, ale to zapewnienie uspokajało większość moich rozmówców.

– Chętnie bym panu pomógł – odparł. – Nazywam się Charles Lee. Przyjaźnimy się z Ronniem. Pilnuję domu, gdy wyjeżdża. Niestety, w tej chwili nikt nie wie, gdzie się podziewa.

– Nie powiedział, gdzie zatrzyma się w Melbourne?

– Proszę spytać o to jego matkę. Podam panu numer.

Zapisałem kilka cyfr, podziękowałem i rozłączyłem się. Wykręciłem podany numer. Nikt nie odebrał.

Miło, że istnieje praca dla ludzi przesadnie pedantycznych, którym w dodatku się nudzi. Zajęcie to nosi nazwę bibliotekarstwo. Chudy facecik o jasnych, krzaczastych wąsach posłał mi uśmiech pełen szczerej nienawiści i wyszedł, prychając wzgardliwie. Siedziałem przy stole w archiwum redakcji „Age", mieszczącej się na czwartym piętrze szkaradnego budynku wydawnictwa przy Spencer Street. O mojej wizycie uprzedził zastępca naczelnego Steve Phillips, ale skutek tego był taki, że powitano mnie tu z jeszcze większą niechęcią. Phillips był moim dłużnikiem. Na początku lat osiemdziesiątych broniłem jego nastoletniego syna oskarżonego o posiadanie narkotyków. Polecił mu mnie reporter Gavin Legge, któremu z kolei zaoszczędziłem odsiadki w związku z urodzinami szczególnie hucznie obchodzonymi w modnej restauracji o nazwie Melitta.

Pan Śmieszne Wąsy potrzebował dziesięciu minut, by odnaleźć stosowne mikrofilmy. Wsunąłem pierwszy na płytę przeglądarki, włączyłem ją i jak zawsze, przewinąłem taśmę do końca. Potem ustawiłem ostrość i zacząłem ją przeglądać.

Ostatnia wzmianka pochodziła z 1986 roku, w którym rodzice Anne Jeppeson ufundowali stypendium jej imienia dla studentów Wydziału Nauk Politycznych Uniwersytetu Monash. Wcześniejszą datę miał dotyczący rozprawy artykuł, który znałem już z wycinka z teczki Danny'ego, oraz wzmianka o śmierci Anne. Zamieszczono ją na stronie trzeciej wraz z jej portretem oraz fotografią miejsca wypadku. Dziewczyna miała krótkie włosy i perkaty nosek. Wyglądała na rozgarniętą i sympatyczną. Przejrzałem też inne artykuły na jej temat i zanotowałem nazwiska ich autorów.

Anne Jeppeson prowadziła kampanię na rzecz budownictwa społecznego oraz występowała w imieniu dzierżawców. Tuż przed śmiercią próbowała zapobiec zamknięciu osiedla o nazwie Hoagland na nabrzeżu Yarra.

Głębiej zapadłem w fotel i przymknąłem oczy. Ronnie Bishop posłał za kratki faceta oskarżonego o zabicie kobiety zaangażowanej

w obronę nieruchomości o charakterze publicznym. Czyżby kierowało nim poczucie obywatelskiego obowiązku? Jakoś mi to do niego nie pasowało.

Spytałem pana ŚW, czy mógłbym dostać kopie artykułów poświęconych Anne Jeppeson. Spojrzał na mnie tak, jakbym poprosił, żeby zrobił mi lewatywę.

– Powinienem zwrócić się z tym do Steve'a Philipsa? – spytałem z fałszywą słodyczą.

– Musi pan zaczekać pół godziny – odburknął. – W tej chwili nie ma nikogo, kto by się tym zajął.

Zapewniłem go, że jeszcze wrócę, po czym ruszyłem na poszukiwanie kofeiny.

Po jakiś czasie odnalazłem automaty do kawy, a przy nich mojego byłego klienta, Gavina Legge'a. Zerknął na mnie, mieszając w styropianowym kubku parujący napój, i natychmiast przywołał na twarz bardzo profesjonalny uśmiech wdzięczności.

– Jack Irish! – zawołał. Odstawił kubek i wyciągnął na powitanie drobną dłoń. – Miło cię widzieć. Kto tym razem wpadł w tarapaty?

Legge dobiegał czterdziestki. Miał siwiejące loczki i pucułowatą twarz otłuszczonego cherubinka. Ciągle mrużył oczy ukryte za grubymi szkłami krótkowidza. W redakcji dostawał głównie robotę związaną z darmowymi podróżami i równie darmowym bufetem. Zwykle zapominał nazwisk swoich rozmówców. W czasach gdy go broniłem, jeden ze świadków powołanych przez niego, na szczęście, jak się okazało, zupełnie niepotrzebnie, powiedział o nim: „Za pętko kiełbasy i kilka kielichów Gavin napisze o wszystkim, co mu się podsunie albo przynajmniej sześć razy wspomni o tym w swoim artykule".

– Zajrzałem do archiwum – wyjaśniłem. – Ale może i ty mi pomożesz.

– Chętnie. – Wydawał się szczerze zadowolony, że mi się wreszcie odwdzięczy. Może i rzeczywiście był, biorąc pod uwagę, że

potrzebował roku, by mi w końcu zapłacić.

Wrzuciłem drobne do automatu i wcisnąłem guzik kawy z mlekiem. Wyciągnąłem notatki z nazwiskami reporterów piszących o Anne Jeppeson.

– Szukam Sally Chan i Matthew Lunta.

– Rany! Spóźniłeś się. Sally wyjechała do Sydney jakieś dziesięć lat temu. Lunt nie żyje.

– A Linda Hillier?

– Z tą trafiłeś. Kilka miesięcy temu wróciła do Melbourne. Pracuje w dziale finansowym „Pacific Rim News". To tuż za rogiem. Chcesz się z nią spotkać?

– Przydałoby się. Wiem jednak, że i ty pisałeś o zatoce Yarra.

Legge gwizdnął przeciągle.

– Kolesie z Yarra Cove, bo tak się będzie nazywać nowe centrum handlowe, wiedzą, jak traktować dziennikarzy. Na oficjalnym bankiecie na stół wjechały wyłącznie francuskie dania, i to w najlepszym stylu. I goście też elegancja Francja. Jak za starych dobrych czasów.

– Jak się wchodzi między wrony… – Mój kubek zaczął się wreszcie wypełniać.

Legge pociągnął łyk kawy i skrzywił się z obrzydzeniem.

– Smakuje jak końskie siki. Niech szlag trafi te maszyny. Nie wiem, po co je tu wstawili, do niczego się nie nadają. Zaprowadzę cię do Lindy.

Wyszliśmy z budynku i przeszliśmy dwie przecznice w stronę centrum. Redakcja „Pacific Rim News" mieściła się na czwartym piętrze niewielkiego biurowca. Strażnik przy drzwiach wręczył nam plakietki dla gości. Po chwili znaleźliśmy się w olbrzymim pomieszczeniu pełnym plastikowych biurek i terminali.

– Nadal jestem ci winien lunch – zagaił Legge. – Umówmy się na jutro. Redakcja stawia. Mam ocenić nową restaurację. Zjemy coś, a potem pogadam z szefem.

– Nie robi się tego incognito?

– W zasadzie tak, ale wysłałem do nich anonim z odpowiednią informacją. – Roześmiał się, po czym zagulgotał, jakby przypomniał sobie o czymś nieprzyjemnym.

– Dzięki, ale jutro wyjeżdżam. Chętie spotkam się z tobą w innym terminie.

Linda Hiller siedziała w rogu sali w miejscu, w którym kilka biurek ustawiono z dala od reszty. Uprzedzono ją o naszym przybyciu, śledziła nas więc wzrokiem już od drzwi, trzymając ołówek między imponująco białymi zębami.

– Lindo – oznajmił Legge. – Poznaj Jacka Irisha, który wyciągnął mnie z pudła i sprawił, że uniknąłem kary za to, że rozwaliłem nos kucharzowi.

Kobieta wyjęła z ust ołówek, mogłem więc lepiej się jej przyjrzeć. Miała jakieś trzydzieści pięć lat, brązowe lśniące włosy, pełne usta i duże ciemne oczy oraz sporo jasnych piegów. Nie była ładna, ale z pewnością zwracała uwagę.

– Witaj – powiedziała. – Następnym razem uprzedź nas, o czym będziesz mówił przed sądem.

– Jacka interesuje coś, co napisałaś jako podfruwajka wdzięcząca się do szefa i uganiająca się za gwiazdami rocka.

– W czasach gdy ty byłeś żonaty z tą pulchną lalą z księgowości? Tą, która na świątecznej imprezie była tak uprzejma, że obciągnęła wszystkim chłopakom z kopiarni?

– Trafiłaś – roześmiał się Legge. – Szkoda czasu na wspominki. Zostawiam was. Jack, zadzwonię. Umówimy się na lunch innym razem.

Oboje z Lindą patrzyliśmy, jak odchodzi. Przy okazji zauważyłem, że większość mężczyzn w redakcji siedzi nieruchomo, pogrążona w rozważaniach, podczas gdy kobiety piszą coś z zapałem. Czyżby panowie telepatycznie przesyłali im swoje przemyślenia? Zapytałem o to Lindę. Roześmiała się wzgardliwie.

– Jakie przemyślenia? Większość z nich nie przekazałaby nikomu nawet opryszczki. – Przez chwilę przyglądała mi się w milczeniu. – Powiedz, proszę, co cię do mnie sprowadza.

– Interesuje mnie wypadek, w którym zginęła Anne Jeppeson. Pamiętasz ją?

Skinęła głową.

– Zauważyłem, że o niej pisałaś.

– Chodzi o kwestie prawne?

– Nie. Mam teraz niewielu klientów.

– To czym się zajmujesz?

– Wcielam w życie szalone pomysły. Gram i piję.

Uśmiechnęła się, wyginając przy tym usta w urzekającym grymasie.

– Czyli wiele się nie zmieniło. – Mrugnęła do mnie. – Co chcesz wiedzieć?

– Czy przyszło wam wtedy do głowy, że komuś zależało na jej śmierci?

– Pytasz, czy ten pijak przejechał ją specjalnie?

– Nie. Zastanawiam się, czy ktoś mógł zlecić jej zabójstwo.

Wzruszyła ramionami.

– Po raz pierwszy słyszę… – Znów przyjrzała mi się uważnie. Zmrużyła oczy. – Zaraz… Teraz sobie przypominam. Czy to nie ty broniłeś wtedy tego kierowcę?

Skinąłem głową.

– Z marnym skutkiem. Poszedł siedzieć. Wyszedł kilka lat temu. Zaczął nowe życie. Miał dobrą pracę, żonę i dziecko. Aż nagle w zeszłą sobotę jakiś gliniarz zastrzelił go w Brunswick.

– Słyszałam o tym, ale nie skojarzyłam nazwiska.

Zadzwonił telefon na jej biurku. Przez chwilę rozmawiała z kimś monosylabami, po czym odłożyła słuchawkę.

– Mam teraz urwanie głowy – powiedziała. – Za osiem minut muszę oddać artykuł o Hongkongu.

– Możemy porozmawiać, gdy skończysz? – Nie zamierzałem

przepuścić takiej okazji.

– Dzisiaj?

Nie byłem na randce od dwóch lat.

– Jeśli znajdziesz czas.

Nastąpiła chwila milczenia. Oboje patrzyliśmy teraz na siebie nieco inaczej.

– Zadzwoń o siódmej. Coś wymyślę.

Na zewnątrz padało. Nawet tego nie zauważyłem.

* * *

Linda Hillier powiedziała, że skończy przed ósmą. Umówiliśmy się U Donelly'ego przy Smith Street w Collingwood. Właścicielem knajpy był Patrick Donelly, Irlandczyk, który chciał być Włochem i któremu pożyczyłem sporo forsy.

Linda miała na sobie granatowy żakiet. Patrzyłem, jak zdejmuje i wiesza płaszcz. Wydawała mi się wyższa, niż zapamiętałem. A potem skojarzyłem, że przecież wcześniej cały czas siedziała. Poczuła mój wzrok na sobie, odwróciła głowę i spojrzała wprost na mnie przez zatłoczoną salę. Zawstydziłem się, jakby przyłapała mnie na tym, że zaglądam jej pod sukienkę. Podeszła do stolika. Wstałem i odsunąłem jej krzesło.

– Dziękuję – powiedziała. – Miło zakończyć przy kolacji tak ponury dzień jak dzisiaj.

Nalałem jej nieco białego wina i podałem kartę. Oboje przez chwilę studiowaliśmy menu. Kiedy już złożyliśmy zamówienie, Linda popatrzyła na mnie uważnie.

– Po twoim wyjściu zadzwonił Legge. Powiedział mi o twojej żonie. Bardzo mi przykro.

– Dziękuję.

– Nie wiem, co jeszcze powiedzieć ci o Anne Jeppeson. Myślałam o niej, odkąd wyszedłeś z redakcji. Rozmawiałam z nią rano w dniu wypadku. Była zadowolona jak pies, któremu uda się pogryźć ofiarę. Mówiła, że wreszcie dopadnie drani.

– Nie lubiłaś jej?

Przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią.

– Podziwiałam ją. Ale jej nie lubiłam. Jak dla mnie, robiła wokół siebie za dużo szumu. Miała, jak to mówią, parcie na szkło.

– Znałyście się przed sprawą Hoagland?

– Od dawna. Usiłowała mnie urobić w czasach, gdy pozowała na żyjącą w nędzy asystentkę adwokata z Footscray. Uważała, że dla

biednych nie ma sprawiedliwości i że musi temu zaradzić, biorąc sprawy we własne ręce. Świat, rzecz jasna, musiał się o tym dowiedzieć. – Linda opróżniła kieliszek do połowy. – Hoagland był jej kluczem do sławy.

– Słabo pamiętam tamte czasy. Przejrzałem dziś notatki prasowe sprzed dziesięciu lat, ale nadal nie wiem, w jaki sposób znalazła się w centrum uwagi.

– Podniosła alarm, gdy tylko rozeszły się pogłoski, że zamierzają zburzyć budynki komunalne w Hoagland. Znasz wybrzeże Yarra?

– Tyle o ile. Broniłem faceta, który stamtąd pochodził. Zadźgał w parku swojego najlepszego kumpla.

– Tak się tam załatwia porachunki. To niebezpieczne miejsce. Być może jeśli pani premier zrealizuje swój plan, zmieni się w nową Wenecję, ale na razie lepiej omijać te slumsy z daleka.

Nagle zacząłem kojarzyć. Zatoka Yarra, Yarra Cove, plan rozbudowy… Zobaczyłem w wyobraźni gładką twarz Lance'a Pitmana i sympatycznego okularnika z ABC, stojącego przed wielką żwirownią – tam właśnie wznosiły się budynki osiedla Hoagland. Nieopodal biegła droga, za nią rozciągała się kraina zrujnowanych magazynów i zapuszczonych doków. W latach czterdziestych mieściła się tam również fabryka amunicji, a w latach sześćdziesiątych – zakład produkcji akumulatorów, który spłonął później do fundamentów. Bóg jeden wie, jak bardzo zanieczyszczono wówczas sąsiednie grunty.

– Jakim cudem zbudowano tam domy komunalne? – spytałem.

– Tego do dziś nikt nie wie. Papiery zostały zniszczone. Krążą plotki, że koleś z Ministerstwa Budownictwa, kupiec, dał za ziemię swojemu kumplowi dziesięć razy tyle, ile była warta, a potem ktoś inny wzniósł na niej budynki, pięciokrotnie zawyżając cenę materiałów i robocizny. Wszyscy trzej zawiązali później spółkę i kupili połowę Merimbuli, modnego kurortu nad morzem.

– Jak udało im się znaleźć lokatorów?

– Niektórzy nie mają wyboru. A jeśli mają, wybierają między

domem w kiepskiej dzielnicy a mieszkaniem pod mostem. Innych zachęciły władze, mówiąc na przykład: wynieś się do Hoagland, to zapomnimy o zaległym za trzy lata czynszu, o pożarze wznieconym po pijaku, o kradzieży prądu i tak dalej. W ten sposób powstało getto, które nawet gliniarze nazywali kolonią trędowatych.

– Duża była ta kolonia?

– Kilkuset mieszkańców. Mała jak na standardy budownictwa komunalnego. Pięćdziesiąt mieszkań, trzy budynki po trzy piętra bez windy. Kiedy pojawiły się plotki, że rząd chce zamknąć osiedle, ministerstwo ogłosiło, że to dla dobra mieszkańców, bo tak zniszczone budynki lepiej rozebrać, niż remontować. Tyle że nad zatoką Yarra nie było już miejsca dla mieszkań komunalnych. Nowe osiedle miało powstać na peryferiach Sunshine.

– Od tych samych kolesi, co poprzednio?

– Dowiemy się za jakiś czas.

– Co myśleli o zmianach mieszkańcy?

– Mogłoby się wydawać, że powinni szaleć ze szczęścia. Nawet przedmieścia Sunshine są rajem w porównaniu z Hoagland. Czy jednak podzielali tę opinię, nie wiem, bo nagle pojawiła się Anne Jeppeson i zorganizowała komitet obrony Hoagland. I już tylko ona wypowiadała się w jego imieniu. Przyciągała uwagę mediów. To było jej show.

– Skąd się wzięła?

– Wywodziła się z mieszkającej na przedmieściach rodziny z klasy średniej. Jeździła volvo, chodziła do prywatnej szkoły. Skończyła politologię na uniwersytecie Monash. Pracowała w kancelarii prawnej w Footscray. Próbowała organizować komitety robotnic pracujących na akord w szwalniach, potem dogadała się z grupą socjalistów. Wspólnie stworzyli program „Mieszkanie dla każdego”. Tworzyli squaty w pustostanach w Toorak, a Anne zaczęła flirt z mediami. Świetnie prezentowała się w telewizji.

Linda opróżniła kieliszek. Dolałem jej wina.

– Kiedy pojawiła się sprawa Hoagland, udało jej się namówić do współpracy kilka lewackich ugrupowań. Bóg raczy wiedzieć, jak to osiągnęła, bo ich członkowie nie znosili się nawzajem. Zorganizowała demonstrację, w której wzięło udział ponad pięć tysięcy osób, namówiła do strajku robotników z budowy w Sunshine, rozmawiała ze związkami zawodowymi o bojkocie inwestycji. Pisały o niej gazety, pokazywano ją w wiadomościach. Kamera ją kochała. Była Joanną d'Arc w obcisłych dżinsach i zamszowych kozakach.

– I wtedy zginęła.

Linda skinęła głową.

– Kiedy jej zabrakło, sprawa Hoagland upadła. Komitet obrony osiedla sam się rozwiązał. Bez niej nikomu już na nim nie zależało. Mieszkańcy budynków komunalnych prosili Boga o przeniesienie. Hoagland pustoszało. Nie minął miesiąc, a zostały po nim tylko ruiny.

– Może zginęła, bo stanęła na drodze komuś, komu bardzo zależało na likwidacji osiedla?

Linda obrzuciła salę uważnym spojrzeniem, po czym popatrzyła mi w oczy i lekko się uśmiechnęła.

– Nie wydaje ci się, że to dość radykalne rozwiązanie problemu?

Opowiedziałem jej o Ronniem i jego porzuconym przed domem renault. O tym, jak tuż po procesie główny świadek oskarżenia wsiadł do sportowego wózka i odjechał, aby rozpocząć w Perth nowe życie.

Słuchała uważnie, podpierając dłonią policzek.

– Co z tego wynika? – spytała w końcu.

– Nie wiem. Dowiedziałem się jednak, że pół godziny przed śmiercią Anne Danny McKillop leżał nieprzytomny na ławce przed pubem położonym kilka kilometrów od miejsca wypadku. Mam mnóstwo podejrzeń, ale na razie błądzę po omacku.

– Po co ktoś miałby płacić Bishopowi za fałszywe zeznania, żeby posłać za kratki McKillopa?

– Tylko zeznania świadka gwarantowały wyrok skazujący.

– Sugerujesz, że w sprawie maczali palce gliniarze?

Znów dolałem nam wina. W tej knajpie zawsze brakowało kelnerów.

– Możliwe. Scullin z wydziału narkotykowego znał rzekomego zabójcę i świadka: McKillopa i Bishopa.

– Nie jestem pewna, czy dobrze zrozumiałam. Komuś zależało na śmierci Anne. Szukał kozła ofiarnego. Wynajął więc Bishopa, żeby wrobić Danny'ego. Zgadza się?

– Przemknęło mi to przez myśl.

– Zastanówmy się więc, w jaki sposób ten ktoś zrealizował swój plan. Ronnie zadzwonił na policję i podał rejestrację auta, które ponoć widział. Gliniarze zaczęli szukać jego właściciela. Znaleźli Danny'ego, który spokojnie spał za kierownicą. Na karoserii zabezpieczyli ślady krwi ofiary.

– Zgadza się.

– Potem Bishop zidentyfikował McKillopa podczas okazania.

– Tak.

– Czyli McKillop jest niewinny. Ktoś inny potrącił Anne, a potem wrobił twojego klienta.

Kelner przyniósł pierwsze danie: marynowanego w miodzie łososia w sosie pieprzowym. Dzięki rozmowie czas upłynął nam zadziwiająco szybko, ale i szef kuchni się uwinął. Zwykle w knajpie u Patricka na potrawy czekało się godzinami. Widać Donelly czuł wyrzuty sumienia, że tak długo zalega mi z forsą i teraz nadał naszym zamówieniom status priorytetowych.

Jedząc, gawędziliśmy o tym i owym. O telewizji, gazetach, prawie. Linda miała sprecyzowane poglądy, cięty język i duże poczucie humoru, ale niewiele mówiła o sobie.

Ledwie skończyliśmy, z kuchni wychynął sam właściciel z głową wielką niczym szynka zwieńczona wodorostami i w białym fartuchu opiętym na potężnym torsie.

– Muszę przyznać, Irish, że masz znakomity gust, jeśli chodzi o dobór towarzystwa – oznajmił, nie odrywając oczu od Lindy. –

O wyborze dań nie wspomnę.

– Jakoś tak wyszło. Dużo by o tym mówić.

– Jasne. Mam nadzieję, że wyświadczycie mi ten zaszczyt i przyjmiecie drobny poczęstunek z rąk tego oto młodego człowieka.

Przy stoliku zjawił się kelner z daniem głównym. Było to włoskie risotto z kurczakiem i cielęciną. Danie proste, acz smaczne, z rodzaju tych, jakie można samemu ugotować na niedzielną kolację, pod warunkiem że ma się ją z kim zjeść. Do tego podano dziesięcioletnie wino barolo w winnic Giuseppe Contratio.

Linda upiła odrobinę.

– Jestem pod wrażeniem – powiedziała. – Znają cię tutaj.

– Powiedzmy, że czasem tu zaglądam.

Przy kawie wróciliśmy do rozmowy o Ronniem Bishopie. Linda wróciła z toalety, wsunęła się na krzesło i zaczęła:

– Załóżmy, że celem był kierowca, Danny McKillop. Ktoś chciał go posłać za kratki, więc wrobił go w wypadek, a Anne miała po prostu pecha.

– Zginęła przypadkiem?

– Tak. Potrzebna była ofiara. Anne znalazła się w złym miejscu o złej godzinie. Zamiast niej mógł zginąć ktoś inny.

– Pytanie tylko, po co ktoś zadał sobie tyle trudu, żeby posadzić Danny'ego. Wystarczyłoby go odstrzelić.

Linda pokiwała głową. Kosmyk włosów wyślizgnął się z jej fryzury i dotknął kącika ust. Była lekko wstawiona. Podobała mi się i dobrze o tym wiedziała.

– Może zatem mieszkańcy Hoagland postanowili skorzystać z okazji i uciec z tego piekła. Na przeszkodzie stała Anne, zlecili więc jej zabójstwo – podsunęła. – Ktoś, kto zlecenie przyjął, miał jakiś zatarg z Dannym i dlatego go wrobił.

Roześmialiśmy się. Rozlałem resztę wina.

– Chętnie bym powtórzył taki wieczór. Co ty na to? – spytałem.

Popatrzyła na mnie z lekkim uśmiechem na twarzy.

– Masz na myśli kolację z winem?

– Wszystko, na co będziesz miała ochotę.

– Pytasz, czy kogoś mam?

– Owszem, w sposób tak dla mnie charakterystyczny.

– Tak, jestem wolna, ale rzadko umawiam się na randki. Mogę cię o coś spytać?

– Jasne.

– Dlaczego tak się przejmujesz sprawą sprzed lat?

Sam od jakiegoś czasu zadawałem sobie to pytanie.

– Właściwie nie wiem – odparłem po chwili namysłu. – Po trosze z poczucia winy. Mam wrażenie, że nie przyłożyłem się do obrony Danny'ego, wtedy gdy go reprezentowałem. Przez większość czasu byłem wstawiony albo miałem potężnego kaca. Niedawno straciłem żonę, choć to mnie chyba nie usprawiedliwia. Nie spytałem nawet o dowody przeciwko mojemu klientowi. Nie zastanowiło mnie, dlaczego tak szybko postawiono go przed sądem i skąd wzięli się świadkowie. Żona Danny'ego powiedziała mi później, że w więzieniu faszerowano go tabletkami. Tego też nie wiedziałem. Zresztą, wtedy nawet bym tego nie zauważył.

Przerwałem. I tak powiedziałem za dużo, ale po prostu głośno myślałem.

Linda uśmiechnęła się do mnie szeroko.

– Jak dla mnie, to bardzo dobry powód – powiedziała. – Muszę się zbierać. Jutro zaczynam o szóstej. Zadzwoń w przyszłym tygodniu. Pomyślę o Anne Jeppeson.

* * *

Hałas? Jestem na Hoddle Street. Tkwię w cholernym korku, dlatego jest tu tak głośno. A ty gdzie się podziewasz?

Udzieliłem starszemu sierżantowi Tregearowi wyczerpującej odpowiedzi.

– Czekaj na mnie – polecił. – Podjadę i zatrąbię. Pogadamy na zewnątrz.

Dziesięć minut później usłyszałem klakson. Wyszedłem na ulicę. Siedział w niebieskim falconie pięćdziesiąt metrów dalej. Auto stało dwoma kołami na krawężniku. Podchodząc, zobaczyłem w lusterku wstecznym oczy Barry'ego. Uniósł dłoń i wskazał mi siedzenie pasażera. Wsiadłem. Wewnątrz było ciepło. Wokół unosił się zapach dymu z papierosów i chińszczyzny.

– Cześć, Jack – powiedział. Miał na sobie niebieski garnitur, zieloną koszulę i fioletowy krawat. Wyglądał na zmęczonego. – O co chodzi z tym warsztatem? Zrobił się z ciebie robol?

– Pomagam tutaj – odparłem. Nie miałem ochoty wtajemniczać go w szczegóły.

Wyjął ze skrytki paczkę papierosów. Wyciągnął jedno i zapalił.

– Mam dwie minuty. Chodzi o sprawę McKillopa. Przyjmiesz dobrą radę?

– Jeśli jej udzielisz.

Zaciągnął się głęboko, zacisnął wargi i wolno wypuścił dym nosem.

– Na twoim miejscu bym sobie darował – wycedził wreszcie.

– Dlaczego?

– Bo mam wrażenie, że niepotrzebne ci teraz kłopoty. A gliniarze zrobili się drażliwi. Strzelają o byle co. Zaczekaj, aż zaczną dochodzenie.

– To nie jest odpowiedź.

– Zaufaj mi. Mam na względzie twoje dobro.

– Przemyślę to. Gadałeś ze Scullinem?

Barry skinął głową.

– Trudno się z nim skontaktować. Jest bardzo zajęty.

– Mówiłeś, że łowi ryby.

– Tylko tak się wyraziłem. Cwana z niego sztuka. Rozkręcił firmę ochroniarską. Dobrze mu idzie.

– Co powiedział o McKillopie?

– Spławił mnie. Ponoć nie rozmawia o sprawach, którymi się zajmował. – Barry opuścił szybę i pstryknięciem wyrzucił niedopałek za okno. Wylądował na masce auta zaparkowanego po drugiej stronie drogi.

– To wszystko?

– Tak.

– Jechałeś taki kawał, żeby mi to powiedzieć?

– Nie. Mam jeszcze prośbę.

– Jaką?

– Nigdy więcej nie pytaj mnie o McKillopa. Zgoda?

Matka Ronniego Bishopa mieszkała na przedmieściach robotniczej części Brunswick, ale nawet tutaj dotarły już pierwsze jaskółki stołecznej cywilizacji. Skromny domek sąsiadów dostał nowy płot, ceglany podjazd i świeżo odmalowaną fasadę. Przy ganku posadzono brzozy, a na bramie powieszono miedziany dzwonek. Dom pani Bishop wydawał się przez to mniejszy, ale i bardziej schludny, jakby próbował dopasować się do odnowionego sąsiada.

Pani Bishop wpatrywała się we mnie w napięciu. Otworzyła drzwi, ale przezornie nadal stała za zabezpieczającą je kratą. Wnętrze domu było pogrążone w ciemnościach. Kobieta miała ponad siedemdziesiąt lat, drobna, szczupła, świetnie zakonserwowana. Jej strój świadczył, że zamierzała wyjść.

– Dzwoniłem w sprawie Ronniego – przypomniałem.

Otworzyła kratę.

– Przepraszam, że tak się panu przyglądałam. Wygląda pan jak

ostatni narzeczony mojej siostry. Był z niego kawał drania. Proszę wejść.

Szedłem za nią ciemnym korytarzem. Po obu stronach widziałem dwoje drzwi. Pani Bishop otworzyła ostatnie. Światło niemal mnie oślepiło. Staliśmy na progu ogromnego salonu, który sprawił wrażenie niedawno dobudowanego. Ciągnął się przez całą szerokość domu. Duże okna, zajmujące całą przeciwległą ścianę, wychodziły na pokryty kostką brukową taras pełen zadbanych roślin.

– Pięknie tu – pochwaliłem, obrzucając spojrzeniem świeżo wywoskowane parkiety, nowe drewniane meble i kanapę. Jak widać, nie tylko sąsiedzi postanowili przebudować swój domek.

– Ronnie za wszystko zapłacił – wyjaśniła. – Posłał mnie na dwa tygodnie do Noosy. Lało bez przerwy. Szkoda, że dałam się namówić. Gdy wróciłam, nie poznałam domu. Wszystko zastałam tak, jak pan widzi. Nie wierzyłam własnym oczom. Proszę usiąść. Zrobię nam herbaty.

Prócz herbaty podała też biszkopty, kupne, ale dobre, ułożone na kosztownej paterze w kształcie liścia.

– Miło tu i ciepło, prawda? – zagadnęła, siadając obok mnie na kanapie. – Ronnie założył centralne ogrzewanie. Kiedyś o tej porze siedziałam w fotelu z butelką ciepłej wody za plecami, trzymając stopy na drugiej butelce. Dom był zimny jak pocałunek teściowej, jak mawiał mój mąż nieboszczyk.

– Mówiła pani, że Ronni wydaje się przygnębiony…

Zapatrzyła się w dal. Kiedy znów się odezwała, z jej głosu znikł ciepły ton.

– Ronnie ma AIDS, panie Irish. – Po jej upudrowanych policzkach pociekły łzy, różowe w świetle wpadającym przez okna.

Poczułem się winny, ale nie wiedziałem, jak jej pomóc. Chrząknąłem, zakłopotany.

– Sądzi pani, że właśnie dlatego zniknął?

Spojrzała na mnie i potrząsnęła głową.

– Nie wiem. Zgłosiłam zaginięcie, ale kiedy powiedziałam, że był chory, policja straciła zainteresowanie.

– Jak długo zamierzał zostać w Melbourne?

– Kilka dni. Miał się tu z kimś spotkać, a potem wrócić do domu. Ale nie wrócił. I nie odezwał się, a to do niego niepodobne.

– Po co przyjechał?

– Mówiłam. Żeby się z kimś spotkać. I oczywiście, odwiedzić swoją starą matkę. Jest taki słodki. Muchy by nie skrzywdził.

– Nie wątpię. Czy spotkanie doszło do skutku?

Poprawiła włosy.

– Nie wiem. Ale Ronnie powiedział mi coś na kilka dni przed swoim zniknięciem.

Skinąłem zachęcająco głową.

– Powiedział – podjęła – że ma polisę na życie wartą dwa tysiące dolarów, które dostanę, jeśli coś złego mu się stanie. A potem dodał… – Położyła dłonie na rękawie mojej marynarki. – Dodał coś, co zmroziło mi krew w żyłach: „Jeśli znajdą mnie martwego, nawet przez chwilę nie myśl, że popełniłem samobójstwo". Tak powiedział. Stał wtedy tutaj, przy oknie. Wcześniej przez wiele godzin krążył po domu. Nic nie mówił, tylko chodził i palił papierosy.

– Powiedziała to pani policji?

– Oczywiście. Rozmawiałam z młodą kobietą, panną Ryan. Zapisała każde słowo.

– Czy wie pani, dlaczego ktoś chciałby skrzywdzić pani syna?

Znów spojrzała za okno.

– Nie.

– I nie wie pani, z kim się umówił?

– Nie. Nie wiem. Ronnie mi się nie zwierzał. Doug zawsze mówił, że byłby idealnym szpiegiem.

– Czy coś ze sobą zabrał?

– Nic. Wszystko tu zostało. Znalazłam nawet płytę, którą mi przywiózł. Nie powiedział słowa, tylko wsunął ją do schowka. Cały

Ronnie. Pocałował mnie przed wyjściem, powiedział, że wychodzi, i żebym nie czekała. Chciałam opatrzyć mu jeszcze zadrapanie na policzku, ale się nie zgodził.

– Był podrapany?

Skinęła głową.

– Ponoć podrapały go gałęzie żywopłotu, gdy szedł do sklepu za rogiem po papierosy. – Popatrzyła na mnie tak, jakby nagle coś zrozumiała. – Pan nie jest policjantem, prawda? Bo byli tu już jacyś dwaj i wszystko przeszukali. Nie wiem tylko, czy cokolwiek znaleźli.

– Jestem prawnikiem. Wiele lat temu brałem udział w procesie, w którym Ronnie był głównym świadkiem. Pojawiły się nowe ustalenia. Liczyłem, że mi pomoże i poda użyteczne informacje.

– Na pewno chętnie by pomógł – zapewniła. – Pracował kiedyś w służbach socjalnych. Pomagał bezdomnym dzieciom. Choć zawsze marzył o reżyserii. Uwielbiał kino. Jako dziecko oszczędzał na kamerę, a gdy ją kupił, filmował wszystko dokoła.

– Miał dyplom pracownika socjalnego?

– Nie. Był bardzo zdolny. Dostał się na uniwersytet Melbourne, ale nie skończył studiów. Doug i ja mieszkaliśmy wtedy w Queensland, bo mąż chorował. Wcale mu to nie pomogło. Tęsknił za futbolem i coraz częściej zapadał na zdrowiu.

– Ale Ronnie pracował w służbach socjalnych?

– Tak. W fundacji Bezpieczne Ręce. Pomagali bezdomnym.

W życiu nie słyszałem o takiej fundacji, ale to jeszcze nic nie znaczyło.

– Dlaczego wyprowadził się do Perth?

Przez chwilę się wahała.

– Właściwie nie wiem. Podejrzewam, że chciał spróbować życia gdzie indziej. Młodzi są ciekawi świata, prawda?

No tak, w oczach matki Ronnie pozostał młody.

– Przed wyjazdem kupił nowe auto. Pewnie sporo za nie zapłacił.

– Wygrał na loterii. – Uśmiechnęła się promiennie. – Kupił mi

wtedy w Georges zimowe palto. Nadal je noszę. Jest piękne. Ronnie zawsze był dla mnie hojny.

Podniosłem się do wyjścia. Pani Bishop odprowadziła mnie do furtki. Na podjeździe domu obok wokół nowego BMW kręcił się mężczyzna w dwurzędowym garniturze. Rozmawiał przez komórkę. Pomachał do pani Bishop – podniósł dłoń, prostując sztywno palce, i poruszył nią machinalnie. Za kilka dni złoży jej pewnie ofertę kupna domu. Zapewniłem staruszkę, że Ronni się wkrótce odezwie, podałem jej wizytówkę i uścisnąłem na pożegnanie jej drobną dłoń. Odszedłem.

* * *

Wróciłem do biura i pogrążyłem się w zadumie. Ronnie Bishop przyjechał do Melbourne wyraźnie zmartwiony. Być może Charles Lee, jego przyjaciel, z którym rozmawiałem, zdołałby wyjaśnić mi, co go tak gryzło. Ale na pewno nie przez telefon. A to oznaczało podróż do Perth, na którą wcale nie miałem ochoty. Czy byłem to winien Danny'emu? I czy w ogóle cokolwiek byłem mu winien? Chyba jednak tak. Zadzwoniłem do Veneto Travel.

– Do Perth? – spytał Shane DiSanto. Niedawno odziedziczył firmę po swoim wuju Carlo i wprowadził w niej spore zmiany.

– Połącz mnie z Denise – poprosiłem.

– Jack, Jack, Jack… Teraz ja jestem tu szefem. Rozmawiasz z właścicielem. Załatwię ci to. Powiedz tylko, po cholerę jechać teraz do Perth? Zimą nikt się tam nie wybiera. Poślę cię na cudowną wycieczkę na Hamilton Island. Dość siedzenia w domu i żarcia hamburgerów. Zdaj się na Shane'a. Słuchasz mnie?

W końcu udało mi się go przekonać i zarezerwować bilety do Perth. Zadzwoniłem do Lindy Hillier. Nie zastałem jej, zostawiłem więc wiadomość na sekretarce. Zastanawiałem się przez chwilę, czy nie zadzwonić też do Charlesa Lee, ale postanowiłem go nie uprzedzać.

Kiedy dojechałem na lotnisko i poszedłem odebrać bilety, okazało się, że nikt tam o mnie nie słyszał. Wykręciłem numer Veneto. Tym razem odebrała Denise.

– Masz szczęście, że to tylko Perth – powiedziała. – Kiedyś Shane zarezerwował bilety na miodowy miesiąc córki Franka La Bianki. Szczyt sezonu we Florencji. Szczęśliwa para zaliczyła swój pierwszy małżeński numerek na tylnym siedzeniu wynajętego auta w drodze do Włoch, bo Shane zapomniał zarezerwować im bilety w Europie.

Na pokładzie samolotu od stewarda o imieniu David wynająłem corollę. Powiedział, że do kogoś takiego jak ja zdecydowanie bardziej pasowałoby BMW. Zgodziłem się z nim.

Lot trwał wiele godzin, musieliśmy bowiem przelecieć nad ogromnym, rojącym się od rekinów akwenem, szumnie nazywanym Wielką Zatoką Australijską. Kiedy wreszcie wylądowaliśmy, wyszło na to, że cofnęliśmy się dwie godziny w przeszłość. Nie znałem Perth – dla mnie było to jedynie lotnisko po drodze do Europy. Podobno miejscowi bardzo chętnie dokonaliby secesji tego regionu od reszty kraju. Nie dziwiło mnie to. Sądząc po ich akcencie, nazwaliby pewnie swoje nowe państewko stanem Manchester albo Birmingham.

Było słonecznie. Niebo w kolorze spranych dżinsów tylko gdzieniegdzie plamiły białe obłoczki. Przez jakieś dziesięć minut studiowałem mapę, po czym ruszyłem w stronę Fremantle. Z mapy wynikało, że wystarczy trzymać się głównych dróg. W terenie okazało się, że corolla często zjeżdżała z ubitych traktów. Kiedy po raz drugi zobaczyłem ten sam pub, zatrzymałem się, by coś zjeść i wypytać miejscowych o drogę. Usiadłem w ogródku przed budynkiem z butelką piwa i solidną porcją duszonej wołowiny. Wokół mnie roiło się od Brytoli z łuszczącą się od słońca skórą, którzy z ożywieniem rozmawiali o szansach West Coast Eagles w meczu z Carlton. Pomyślałem, że najlepiej by było, gdyby obie drużyny diabli wzięli, uznałem jednak, że to nie najlepsze miejsce, żeby mówić o tym głośno.

Po obiedzie spytałem któregoś z Angoli, jak dojechać do Fremantle, i ruszyłem w drogę. Nim dotarłem na miejsce, wiedziałem już, co myśleć o Perth. Było to wielkie przedmieście wzniesione na piaszczystych wydmach wokół płytkiego ujścia rzeki. Tutejsza roślinność miała głęboko zielony kolor, rosło też zdecydowanie więcej drzew. Dojechałem do centrum pełnego typowych szklanych drapaczy chmur i przedarłem się w stronę rzeki, a potem wzdłuż niej do portu Fremantle.

Fremantle wyglądało jak angielski port znad kanału La Manche, przeniesiony na wybrzeże Morza Śródziemnego. Wiktoriańskie kamienne budynki lśniły dostojnie w promieniach słońca. Wokół roiło

się od typowych pułapek na turystów, przez które miejsce to było groźne podczas rozgrywek pucharowych, ale też dostrzegało się ślady ciężkiej pracy.

Wypiłem świetną kawę w barze pełnym bogatych Włochów i miejscowych, którzy mieli dość czasu, by czytać w środku dnia, a potem przeszedłem się wzdłuż nabrzeża. Obejrzałem port rybacki i Muzeum Morza, pobuszowałem w kilku księgarniach i wypiłem kolejną kawę.

Dom Ronniego Bishopa stał w drugim albo trzecim rzędzie od wody w otoczeniu podobnych, świeżo wyremontowanych budynków z piaskowca. Rosły przed nim dwie młode palmy, od sąsiadów zaś odgradzał go wysoki mur i solidne ogrodzenie z kutego żelaza o ostro zakończonych sztachetach. Z pewnością nie było to Morton Street w Clifton Hill.

W rzeźbionych drzwiach od frontu szerokie ciemne ramy z drewna jarrah otaczały panele z drewna sosnowego olejowanego na ciepły kolor miodu. Przycisnąłem mosiężny guzik dzwonka osadzony w mosiężnej tabliczce i usłyszałem dźwięk gongu. Nikt nie odpowiedział. Odszedłem kilka kroków. Na bramie domu obok wisiała mosiężna tabliczka głosząca: *Souter i Whale, architekci*. Wróciłem do auta, wyciągnąłem książkę, którą kupiłem na nabrzeżu, i zacząłem czytać. Po jakimś czasie przed dom Ronniego zajechała biała honda civic. Wysiadł z niej facet w niebieskich dżinsach i białym golfie. Zajrzał do skrzynki pocztowej, otworzył frontowe drzwi i wszedł do środka, nie zamykając ich. Wyszedł po kilku minutach i zabrał się za podlewanie trawnika.

Wysiadłem z auta. Podszedłem do ogrodzenia. Facet przez cały czas mi się przyglądał.

– Pan to pewnie Charles – zagadnąłem.

Na oko miał niewiele ponad czterdzieści lat i delikatną opaleniznę. Był wysoki, smukły, wysportowany. Krótko obcięte włosy podkreślały kształt głowy. Wyglądał jak dojrzały mężczyzna z reklamy.

– Owszem – odpowiedział czujnie. Trzymał wąż tak, jakby zamierzał oblać mnie wodą.

– Nazywam się Jack Irish. Jestem prawnikiem i przyjechałem z Melbourne. Rozmawialiśmy przez telefon o Ronniem.

Twarz mu złagodniała. Wyraźnie się odprężył.

– Odbył pan długą podróż. Zapraszam do środka.

Poszedłem za nim niewielkim korytarzem o lśniącej drewnianej podłodze do salonu pełnego ciężkich rzeźbionych mebli. Charles rozsunął zasłony i usiadł ciężko w fotelu.

– Martwię się o niego – powiedział. – Nie odezwał się, mimo że powiadomiłem jego matkę o włamaniu.

– Ktoś się tu włamał?

– W zeszłą środę. Posprzątałem trochę, ale i tak panuje tu bałagan.

– Co zginęło?

– Mnóstwo rzeczy i pieniądze na życie, które Ronnie trzymał w szafce w kuchni. Wiedziałem, że zostawił je tam, gdzie zawsze, czyli pod pudełkiem z płatkami. Zniknęły. Nie było tego dużo, jakieś sto dolarów. Tak przynajmniej mówi pani G.

– Przetrząsnęli dom?

– Oczywiście. Nie mogłem uwierzyć, gdy zobaczyłem, co się stało. Wszystkie papiery Ronniego walały się po podłodze. Książki zrzucono z półek, szuflady biurka wyjęto i połamano.

– Wie pan, dlaczego Ronnie zniknął?

Potrząsnął głową.

– Wiesz, Jack… Mogę mówić do pana po imieniu? Myślę, że miał swoje powody. Był przybity, ale też… Pewnie próbował sobie to wszystko przemyśleć.

– Co dokładnie?

– Jego firma podupadła.

– Czym się zajmował?

– Miał wypożyczalnię filmów wideo. Odczuł kryzys, jak każdy. Wcześniej zainwestował w spółkę produkującą płyty kompaktowe.

CD-ROM. Zaawansowana technika. Dla mnie czarna magia. – Przyłożył dłoń do ust, jakby czymś się zawstydził. – Nawet nie zaproponowałem ci drinka. O tej porze piję zwykle dżin z tonikiem.

Chętnie przyjąłem poczęstunek. Charles przyniósł duże szklanki, w których pobrzękiwały kostki lodu. Nim znów usiadł, podwinął nogę pod siebie.

– Wiem od matki Ronniego, że miał AIDS – podsunąłem.

Westchnął ciężko.

– Kochana staruszka. Jak zwykle myli fakty. Był seropozytywny. To wielka różnica. Od tego się nie umiera.

– On też tak myślał?

Wpatrzył się we mnie jak sędzia na wystawie psów w dorodnego owczarka. Po jakimś czasie znów westchnął.

– Nie mam pojęcia, co się tu dzieje.

– A coś się dzieje?

– Tak. A ja jestem biednym, niczego nieświadomym króliczkiem pośrodku tego zamieszania.

– Jak mówiłem, zależy mi na rozmowie z Ronniem. Chcę go spytać o zeznania, jakie złożył podczas pewnego procesu w Melbourne kilkanaście lat temu.

– Bardzo ci zależy, skoro przyjechałeś aż do Perth.

Wzruszyłem ramionami.

– Mam w głowie mętlik. Liczyłem, że Ronnie pomoże mi go uporządkować. Jeśli powiesz mi o nim coś więcej, spróbuję go znaleźć.

Charles spojrzał na swoje paznokcie. Czyste, różowe, starannie wypiłowane.

– Cóż – mruknął. – Pytaj.

– Po co pojechał do Melbourne?

– Miał się z kimś spotkać.

– Wiesz, w jakiej sprawie?

– Domyślam się.

– Dobre i to.

– Ktoś stamtąd do niego dzwonił.

Czekałem. Charles spokojnie sączył drinka. Na zewnątrz pięknie zachodziło słońce. Koralowy blask tańczył na ścianach sąsiednich domów. Zimą w Melbourne nie widuje się takich zachodów słońca. Czasem nie ma się nawet pewności, czy słońce w ogóle wzeszło.

– Jakiś facet. Dwa razy.

– To takie dziwne?

– Tak. Nawet bardzo. Zaglądałem tu codziennie po drodze z pracy, żeby podlać trawnik, bo inaczej dawno by usechł. Ronnie wracał bardzo późno, często więc odsłuchiwałem jego wiadomości i informowałem go o czymś, jeśli zaszła taka potrzeba. Z Melbourne dzwoniła do niego wyłącznie matka. Zawsze w niedzielę rano.

– Co powiedział ten facet?

– Że muszą pilnie pogadać. Za każdym razem przekazywałem wiadomość Ronniemu.

– Co on na to?

Charles milczał przez chwilę. Widać było, że zmaga się ze sobą, nie wiedząc, czy mi zaufać.

– Za pierwszym razem wyszeptał tylko „O Boże, nie!” czy coś w tym rodzaju.

– Czy gość z Melbourne podał nazwisko i zostawił swój numer, żeby do niego oddzwonić?

– Tak.

– Pamiętasz je?

– Niestety nie. Nie mam pamięci do nazwisk. Ale zachowało się nagranie.

Poczułem dreszczyk emocji.

– Masz je?

– Nie. Złodzieje zabrali wszystkie kasety i płyty CD, co akurat rozumiem. Ronnie nie wyrzucał kaset z automatycznej sekretarki. Wyciągał je, chował i wkładał nowe. Niektóre nagrania trwały

godzinę, albo i dwie. Ronnie gustował w dziwaczkach. Nie musiały z nim rozmawiać. Wylewały swoje żale albo chwaliły się zakupami na automatycznej sekretarce.

– Kasety przechowywał w domu?

– Tak. W szufladzie stolika, na którym stoi telefon. Złodzieje wyrzucili jej zawartość na podłogę. Kiedy wszedłem, wszędzie walały się pióra i notatki. Zabrali jednak kasety. Wyjęli też tę, która była w sekretarce.

Spytałem, czy kojarzy z czymś nazwisko McKillop.

– Nie jestem pewien. Wydaje mi się jednak, że nazwisko tamtego gościa brzmiało bardziej z irlandzka.

– Czy Ronnie kiedykolwiek rozmawiał z tobą o swojej przeszłości?

– Nigdy. Był jak sfinks. Równie dobrze mógłby urodzić się wczoraj.

Jak to ujęła jego matka? *Doug zawsze mówił, że byłby idealnym szpiegiem.*

– Wspominał jakieś nazwiska?

Charles podniósł szklankę i wsunął w nią język, żeby zlizać z dna ostatnie krople napoju. Spojrzał na mnie znad brzegu szkła.

– Nigdy. To samo powiedziałem gliniarzom, którzy przyszli w sprawie włamania. Zadali mi identyczne pytanie i usłyszeli tę samą odpowiedź. Ronnie nigdy o sobie nie mówił, chyba że coś mu się wymknęło.

– Co sądzili o włamaniu?

– Nic. To kmiotki z lokalnego posterunku. Nie byli nawet w mundurach i wyglądali dość niechlujnie. Przynajmniej jeden. Normalnie za drzwi bym takich nie wpuścił. – Zachichotał nerwowo.

– Pokazali legitymacje?

Przez chwilę zastanawiał się w milczeniu, obracając na małym palcu prawej dłoni złoty sygnet z pojedynczym czerwonym kamieniem.

– Nie – powiedział w końcu. – Przyszli do mnie do domu. Mieszkam niedaleko. Dochodziła dziewiąta wieczorem. Zalatywało od

nich alkoholem. Zwłaszcza od tego niechluja.

– Założyłeś, że to gliniarze?

– Tak się zachowywali. Niższy wyciągnął z kieszeni notes. Nie był niski, żebyś mnie dobrze zrozumiał, wręcz przeciwnie, ale nie dorównywał swojemu potężnemu kumplowi. Powiedział, że przyszli w sprawie zaginięcia Ronniego Bishopa i że chcą mi zadać kilka pytań.

Dopiłem swojego drinka.

– Pamiętasz, kiedy to dokładnie było? Przed włamaniem czy po?

– Dwa dni po. Cały dzień sprzątaliśmy z panią G. ten bałagan. Byłem wykończony. Po powrocie do domu wziąłem prysznic i przebrałem się w piżamę. Mniej więcej wtedy się zjawili.

– O co pytali?

– Naleję nam jeszcze. – Odebrał ode mnie szklankę, wziął swoją i podszedł do barku.

Wyjąłem notes, pełen notatek dotyczących wyścigów, i wpisałem kilka spostrzeżeń. Charles wrócił z nowymi drinkami. Usiadł na brzegu fotela, trzymając szklankę w obu dłoniach.

– Pytali, co powiedział mi Ronnie przed wyjazdem do Melbourne. Chcieli wiedzieć, czy podał mi jakieś nazwiska i czy rozmawiał ze mną o swojej przeszłości. – Spojrzał na mnie uważnie. – Naciskali i byli bezczelni. To mnie odstręczyło. Nie lubię arogantów. Pewnie złożyłbym na nich skargę, gdybym wierzył, że to coś zmieni.

– Bezczelni? Dlaczego?

– Ten mniejszy powiedział, że my, pedzie, o wszystkim sobie mówimy. Nazywał Ronniego moim chłoptasiem i dopytywał, co wiem o jego życiu w Melbourne. Niemal zionął nienawiścią. Tymczasem nic nas nie łączyło. Nic w sensie fizycznym, oczywiście.

Pokiwałem głową.

– Co odpowiedziałeś?

Wzruszył ramionami.

– Że Ronnie jest moim przyjacielem, nic nie wiem o jego

przeszłości i nigdy nie słyszałem z jego ust nazwisk ludzi, których byśmy obaj nie znali. A potem oświadczyłem, że chcę wezwać adwokata.

– Co on na to?

– Od razu zrobił się obrzydliwie serdeczny i zapewnił, że nie mają więcej pytań. Ale na odchodnym zadał jeszcze jedno: czy Ronnie dał mi coś na przechowanie. Odmówiłem odpowiedzi. Wtedy przyparł mnie do ściany i warknął: „Gadaj, cioto". Wyobrażasz sobie, tak mnie nazwał. Przestraszyłem się. Powiedziałem, że Ronnie nic mi nie zostawił i kulturalnie poprosiłem, żeby wyszli. Minęli mnie bez słowa.

– Nie wspomnieli ani słowem o procesie, w którym zeznawał Ronnie?

– Nie. Na pewno.

– Czy twój przyjaciel mówił, że ma dowody przeciwko komuś?

Charles zapatrzył się w głąb szklanki.

– Nie. Podejrzewasz, że ci dwaj nie pracowali w policji?

– Trudno powiedzieć. Na wszelki wypadek następnym razem ich nie wpuszczaj. Powiedz, że musisz się ubrać albo że coś się pali w kuchni, a potem zadzwoń na policję z informacją, że ktoś się do ciebie włamał. Wezwij też adwokata.

– Nie mam.

– To go sobie znajdź.

Dopiłem drinka. Wymieniliśmy się numerami telefonów. Odprowadził mnie do wyjścia. Przy furtce zatrzymałem się na chwilę.

– Czy uważasz, że Ronnie był osobą godną zaufania? – spytałem.

Charles zamknął za mną bramkę. Westchnął głęboko, wsadził ręce do kieszeni i wbił wzrok w słupek płotu.

– Niestety nie – powiedział ze smutkiem. – Niewiele o sobie mówił, a jeśli już, to kłamał jak z nut. Nawet gdy nie musiał. Uwielbiał zmiany. Nowych ludzi, nowe wrażenia. Facetów i dziewczyny. Nie robiło mu to różnicy. Często zbierał baty. Kiedyś we własnym domu pobił go jakiś fiutek, którego usiłował przywiązać do łóżka. Twarz

spuchła mu niczym bania. Koleś go skopał i oskubał z pieniędzy. Wyniósł cały sprzęt VCR i DVD. Zawiozłem wtedy Ronniego do szpitala. Gdy jego matka zadzwoniła po raz pierwszy, myślałem, że to samo przydarzyło mu się w Melbourne. I że leży pobity w jakiejś obskurnej toalecie.

– Potrzebował pieniędzy?

– Tak mi się wydaje. Pożyczył ode mnie pięć tysięcy. Dzień przed wyjazdem zabrali mu kartę we włoskiej knajpie. Zapłaciłem wtedy za kolację. Poza tym bank zamierzał zlicytować mu dom.

– Jakim cudem popadł w aż takie długi?

Charles pokręcił głową. Zmartwiony, wyglądał dużo starzej.

– Nie mam pojęcia. Nie zwierzał mi się, a ja nie śmiałem pytać.

Uścisnęliśmy sobie ręce na pożegnanie. Polubiłem go. Zasłużył na kogoś lepszego od Ronniego Bishopa. Przepraszam, Burdetta-Bishopa.

– Dlaczego przyjął nazwisko Burdett? – spytałem.

Westchnął i przewrócił oczami.

– Zamierzał zająć się handlem nieruchomościami. Uważał, że podwójne nazwisko brzmi lepiej.

Ruszyłem na poszukiwanie pensjonatu. Po raz pierwszy tego dnia ucieszyłem się, że kupiłem książkę.

* * *

Nad Melbourne świeciło blade słońce, ale jego ciepło nie kompensowało mroźnych podmuchów wiatru. Zadzwoniłem do biura ochrony. Przysłali po mnie busa.

– Już wróciłeś? – powitał mnie kierowca. – Czyżbyś dołączył do klubu miłośników seksu na wysokości?

Był byłym gliniarzem i nazywał się Col Boon. Posłano go na emeryturę, a wcześniej do wariatkowa, kiedy pod wpływem stresu zastrzelił podczas nalotu na plantację trawki w Coburg innego gliniarza. To była tragiczna pomyłka, jak wyraził się patolog. Pewnie można tak nazwać każdą sytuację, w której mąż odstrzeliwuje łeb kochankowi żony. Za co? Za to, że gość dyma ją we własnym łóżku za każdym razem, kiedy mąż ma nocną zmianę.

– Odrzucili moje podanie. Ponoć nie zniósłbym wysiłku, jaki wiąże się z kopulacją na stojąco.

Col poruszał nosem jak królik.

– Trzeba było powiedzieć, że zawsze robisz to na siedząco. – Zapuszczasz brodę?

Przesunąłem dłonią po dwudniowej szczecinie na policzku.

– Stewardesy lubią lekko zarośniętych.

– Lekko? – Col potrząsnął głową z niedowierzaniem. – Niektóre z nich mają mniej zarośnięte cipki. – Skręcił za róg z piskiem opon. – A skoro o tym mowa, nie trać czujności. Kiedyś mój kumpel wsunął takiej rękę między nogi i znalazł wielkiego ptaka. W dzisiejszych czasach nic już nie jest pewne.

Zastanowiłem się nad głębią tych słów. Moja babcia ze strony matki mówiła o stewardesach per „kelnerki". Pewnie nie zniosłaby dobrze wiadomości, że część z nich to w istocie „kelnerzy".

Kiedy dotarliśmy na podziemny parking, okazało się, że Col ma dla mnie jeszcze jedną wiadomość.

– Masz problem z autem. Dzwonił mechanik, ta tłusta małpa. Ponoć

rozebrał silnik i nie złoży go z powrotem, póki nie znajdzie potrzebnych części. Zabierze mu to co najmniej dwa tygodnie.

Jęknąłem głośno. Słono zapłacę za swój błąd. Nie zostawia się starego larka na podwórku mechanika, który kocha studebakery.

– To co mam teraz zrobić? Wracać do domu piechotą?

– Pożyczy ci starego chevy.

– Nie znoszę starych chevy.

– Mamy zniżki na nieodebrane auta. Dam ci ładną toyotę. Dwa tygodnie za sto pięćdziesiąt dolców.

– Obaj się na mnie uwzięliście?

Col wyglądał na urażonego.

– Zgoda – dodałem więc szybko. – Ale zatankuj do pełna.

– Nie przesadzaj. To uczciwa cena. – Obrzucił mnie uważnym spojrzeniem. – Ktoś dzwonił i pytał, czy jest tu twoje auto.

Czekałem.

– Dziewczyna z twojego biura.

Pokręciłem głową.

– Skoro tak, powiem, że nie widziałem cię od bardzo dawna.

– Dzięki, Col. Jak widzę, zapewniacie wszystkie możliwe usługi.

Podał mi kluczyki.

– Powiedziałbym, żebyś dbał o to auto jak o własne, ale to ostatnie, czego bym sobie życzył.

Jadąc do Fitzroy, myślałem o Ronniem. W Perth zajrzałem do jego dwóch mieszczących się na przedmieściach wypożyczalni wideo, których adres podał mi Charles. Jedna była zamknięta. Druga mieściła się w galerii niewielkiego centrum handlowego. Nie wyglądała najlepiej. Zza rzędów metalowych półek na kasety dobiegały jęki, stękania i okrzyki charakterystyczne dla filmu porno. Towarzyszyły im komentarze i śmiechy nastoletniej widowni. Po chwili za ladą pojawił się pryszczaty młodzian z włosami związanymi w kitkę.

– Czego? – rzucił.

Okazało się, że nie widział Ronniego na oczy, bo zastępował kumpla kumpla, który czasem pracował w wypożyczalni.

Charlie skończył już pracę w warsztacie, ale wciąż się w nim kręcił – tu wpuścił kropelkę oliwy, ówdzie przetarł dłonią zakurzony blat, nieco dalej delikatnie otworzył i domknął drzwi szafki albo dosunął uchyloną szufladę. Szedłem za nim krok w krok, popychając go ku drzwiom, jak pies pasterski upartą owcę. Pojechaliśmy do pubu Książę Pruski. Zwykle szliśmy tam piechotą, ale Charliego bolało biodro. Zaparkowałem za rogiem, blokując wjazd na zaplecze.

– Nie masz nawet krzty szacunku wobec prawa – utyskiwał Charlie. – Tak się właśnie zaczyna. A potem *du bist rechtsgelehrte*[2].

– Miej nade mną litość – jęknąłem. – Popełniam co najwyżej wykroczenie. A poza tym, po siedemnastej zakaz już nie obowiązuje.

Kiedy byliśmy sami, Charlie często wyrażał pod moim adresem słowa krytyki lub rozczarowania, posługując się językiem mojego prapradziadka – niemieckim.

Wilbur Ong i Norm O'Neill tkwili już na posterunku przy barze. Przed każdym z nich stał kufel piwa i talerz z zapiekanką. Pomiędzy nimi leżało najnowsze wydanie „Herald Sun". Gdy stanęliśmy na progu, obrzucili nas uważnym spojrzeniem.

– Na moje oko będzie jak w Kyneton dwa lata temu – zaczął Norman. Daszek jego cyklistówki opierał się na okularach osadzonych na potężnym nosie.

– Zwykle wierzę w twoje przeczucia – podjął Norman – ale tym razem się mylisz. Od tamtej pory zawsze był piąty lub siódmy.

– To prawda i dlatego tym razem pójdzie mu znacznie lepiej. Czuję to w kościach.

– Gdybyśmy polegali na twoich kościach, siedzielibyśmy w Salvos i jedli potrawkę z królika.

– Co nie byłoby takie złe, biorąc pod uwagę, jak podłą dają tu zapiekankę – podsumował Norm. Odwrócił się w moją stronę. – Zdradzisz nam, jak typujesz w gonitwie w Geelong?

– Ludzie z branży co prawda uważają, że nie znam się na koniach – odparłem. – Ale skoro chcecie mojej rady…

Charlie pociągnął nosem i odszedł, by pogadać o futbolu z emerytowanym motorniczym, Wallym Pollardem. Jedyny syn Wally'ego, Bantam Pollard, zrujnował sobie karierę w drużynie Collingwood tylko dlatego, że nie miał wyczucia czasu. W pewien piątkowy wieczór 1975 roku prezes klubu zaprosił do loży sześciu szanowanych obywateli miasta, by pochwalić się nowymi reflektorami. Białe, zimne światło zalało murawę i piegowaty tyłek Bantama. Czołowy zawodnik drużyny leżał na środku boiska pomiędzy białymi udami szesnastoletniej córki przewodniczącego klubu.

Omawialiśmy właśnie czwartą gonitwę, kiedy w drzwiach stanął kolejny gość. Miał koło pięćdziesiątki. Był łysy, średniego wzrostu, ale masywny. Opalona twarz przywodziła na myśl wściekłego buldoga. Oczy kryły się za ciemnymi okularami. Na oko jego ciuchy kosztowały ze trzy kawałki, z czego większość poszła na złote łańcuchy i skórzaną kurtkę, która opinała jego tors niczym kondom. Styl rodem z Sydney albo ze Złotego Wybrzeża. Chód jednak – szedł, jakby toczył między udami piłkę tenisową – wskazywał na gliniarza, najpewniej z obyczajówki.

Barman Stan stanął przy najdalszej części kontuaru. Zamienił kilka słów z panem Złote Wybrzeże, po czym ruszył w naszą stronę.

– Koleś pyta o Jacka – oznajmił. – Co mu powiedzieć?

– Że za chwilę do niego podejdę. – Odczekałem minutę lub dwie, po czym podszedłem do przybysza.

Pan Złote Wybrzeże siedział przy barze, sącząc dżin z tonikiem. Na mój widok odstawił szklankę i uśmiechnął się lekko, ukazując czubki lśniąco białych zębów. Jego mina zdradzała mniej więcej tyle emocji, co oko rekina. Wyciągnął do mnie rękę.

– Jack? Nazywam się Tony Baker. – Uścisnął moją dłoń, delikatnie i z wyczuciem. Nie zdziwiłem się. Łapa, która wygląda jak odlana

z brązu, nie musi udowadniać swojej siły. Wystarczy, że jest.

– Czym mogę służyć? – spytałem.

– Napij się ze mną.

– Mój drink czeka.

– Dotrzymujesz towarzystwa staruszkom. Jak miło. – Wychylił zawartość szklanki i kilkakrotnie postukał nią w bar. Odpowiadając na to nieme wezwanie, Stan wzruszył ramionami i ostentacyjnie wyszedł na zaplecze.

Tony Baker nachylił się w moją stronę. Czubek jego głowy znalazł się tuż przy moim policzku. Czułem się równie pewnie jak żyrafa, która spotkała na swojej drodze nosorożca. Znów błysnął białymi zębami.

– Nie lubicie tu obcych, co? – mruknął. – Spokojnie. Nie zamierzam się narzucać. Nie szukam towarzystwa. Wpadłem, żeby coś ci wyjaśnić.

– Co?

– Przeszkadzasz nam w oficjalnym dochodzeniu.

– W sprawie?

– W wielu sprawach. Jedna z nich dotyczy Ronalda Bishopa.

– W jaki sposób?

Tony Baker położył dłoń na muskularnym karku, potarł go, a potem kilkakrotnie poruszał głową w lewo i w prawo.

– Myślę, Jack – powiedział w końcu miękko – że nie chcesz tego wiedzieć. Jeśli jeszcze raz wejdziesz nam w drogę, zostanie z ciebie placek, tak cienki, że będzie można cię komuś wysłać.

– Kto mnie tak załatwi? – spytałem.

Jego spojrzenie stwardniało. Na prawej tęczówce zauważyłem złotą plamkę.

– Nie słuchasz mnie – wycedził. – Dobrze ci radzę: przestań węszyć. Ta sprawa sięga bardzo wysoko, zagraża bezpieczeństwu kraju. Więcej nie mogę powiedzieć.

– Pokaż legitymację. – Zdałem sobie sprawę, że należało poprosić

o to na początku rozmowy.

Tony zamknął oczy i westchnął teatralnie.

– Lepiej, żebyś nic o mnie nie wiedział. I uwierz mi na słowo. Mieszasz w oficjalnym dochodzeniu. Trzymaj się z daleka i zapomnij o Bishopie albo pożałujesz, że to nie ciebie odstrzelili wtedy na parkingu. Nie pakuj nosa w nie swoje sprawy.

Wyszedł. Wróciłem do pozostałych, ale nie umiałem się już skoncentrować na rozmowie. O wpół do siódmej usłyszałem klakson. Przyjechała Augustine, wnuczka Charliego. Odprowadziłem go do auta. Na zewnątrz panował przejmujący ziąb. W powietrzu unosił się smród spalin, charakterystyczny dla wielkiego miasta zimą.

Charlie wsiadł do samochodu i opuścił szybę.

– Zjedz coś porządnego – powiedział. – Ktoś powinien wreszcie o ciebie zadbać.

Położyłem mu dłoń na ramieniu.

– Namów swoją wnuczkę, żeby za mnie wyszła. Gwarantuję ciepły dom i dobre traktowanie.

– Zadzwoń, to omówimy warunki oraz wysokość stawki – zaśmiała się Gus. Pracowała w handlu, wiedziała więc, jak się targować.

– Jedź już – prychnął Charlie. – Niektórych lepiej nie przyjmować do rodziny.

Przez chwilę stałem na ulicy, zastanawiając się, czy wrócić do pubu, czy pojechać do domu. Wybrałem dom. Nauczyłem się już podejmować trudne decyzje.

W mieszkaniu panował ziąb, spaliła się żarówka w łazience, a lodówka śmierdziała zepsutą rybą. Na automatyczną sekretarkę nagrali się Cam, Wootton i moja córka. Wiadomość od Claire brzmiała: *Trochę się za tobą stęskniłam. Zamierzam cię odwiedzić. Być może przywiozę ze sobą Erica, żeby rozproszyć twoje obawy, bo w liście roztoczyłeś dość ponure wizje. Nie martw się o mnie. Kocham cię. Na razie.*

Znalazłem sobie whisky z wodą i zadzwoniłem do Lindy Hillier. Nie

zastałem jej w pracy.

* * *

Hardhills mieściło pod jednym dachem sklep, garaż i obskurny pub nieopodal czegoś, co szumnie nazywano skrzyżowaniem dróg. Najbliższe większe miasto leżało w odległości trzydziestu kilometrów. Wokół ciągnęła się wszechobecna pustka, nad którą ciężko wisiało niebo. Jedynymi jej mieszkańcami były mokre owce.

Przed pubem stały trzy pick-upy. Harry Strang zaparkował nieopodal sklepu. Wyłączył silnik i spojrzał na zegarek.

Kolejne pięć minut spędziliśmy w milczeniu. Myślałem o Ronniem Bishopie. Cam czytał gazetę sportową. Harry przymknął oczy. Odpoczywał.

– Ten gość, Rex Tie, miał się z nami spotkać punktualnie o dwunastej – powiedział wreszcie. – Założę się, że siedzi teraz w pubie ze swoim kumplem. Rozmawiają o koniach. Paru miejscowych tkwi przy barze. Zwilżają gardła. Właściciel kręci się w pobliżu. Zanim Rex do nas wyjdzie, zdąży się wstawić.

– Pewnie masz rację. – Zawsze podziwiałem u niego trzeźwość sądów.

– A nie powinien tego robić. Szkolę go po raz ostatni. Łatwiej tresuje się konia.

Kwadrans po dwunastej z pubu wyszło dwóch mężczyzn. Jeden z nich miał na sobie wytarty, krótki płaszcz. Kiedy podeszli, Harry wcisnął guzik. Szyba opadła. Facet pochylił się, by zajrzeć do auta. Miał długą, smutną twarz i wielki nos, który od razu rzucał się w oczy.

– Przepraszam, Harry. Liczyłem, że wpadniesz na jednego.

– Nie zapominaj się, Rex.

Facet wyprostował się, rozejrzał i znów wsadził głowę przez okno.

– Nie przesadzaj, Harry. To Hardhills. W środku siedzą ledwie cztery osoby.

– O cztery za dużo. Wskakuj do auta. Poprowadzisz nas.

Rex i jego kumpel wsiedli do pickupów. Ruszyli – najpierw kumpel, potem Rex. Pojechaliśmy za nimi, trzymając się w bezpiecznej odległości.

– Po co ci prawnik na tym zadupiu, Harry? – spytałem, bo od jakiegoś czasu nie dawało mi to spokoju.

Zerknął na mnie spod oka.

– Miejscowi czują respekt do prawników. Nie zaszkodzi więc przywieźć własnego. Gość, który jedzie pierwszy, ma konia o imieniu Dakota Dreaming, pięciolatka, którego nie wystawiał od dwóch lat. Wcześniej też go zresztą nie forsowano. Ile zaliczył gonitw?

– Siedem – burknął Cam. Wyglądał przez okno i podziwiał uroki krajobrazu.

– Pięć lat i siedem gonitw. To się nazywa lekki trening – parsknął Harry. – A dlaczego? Bo zwierzak kiepsko sobie radził. Ma szczęście, że nie skończył w rzeźni albo z kulką we łbie. Nasz koleś jest czwartym właścicielem. Dostał tego konia od właściciela numer trzy. Za darmo. Przez dwa lata próbował go trenować. Uznał, że ma w sobie potencjał. Opowiedz tę historię, Cam.

Cam się rozejrzał.

– Koń miał dobrą krew. Hodowca sprzedał roczniaka za trzecią co do wielkości kwotę w Nowej Zelandii. Swój pierwszy wyścig Dakota Dreaming wygrał o siedem długości. Wtedy kupił go dla syndykatu dentystów Edgar Charlton. Sporo za niego zapłacił. W pierwszej gonitwie koń był siódmy. Naciągnął sobie ścięgno na dobrej nawierzchni. Poszedł w odstawkę na siedemnaście tygodni. W grudniu wrócił na tor w Sandown. Poślizgnął się na resztkach gnijących liści. Znów odezwało się ścięgno i znów pauzował, tym razem dwadzieścia tygodni. W marcu biegł w Caulfield. Był dziewiąty na trzynaście koni. Trzy tygodnie później pojawił się w Ballarat. Dobiegł jako ostatni. Krwawił. Dentyści oczywiście wpadli w popłoch i szybko go sprzedali. Trzeci właściciel wystawił go na tor dwa razy. Za pierwszym razem był szósty, za drugim – ostatni.

– Ten właściciel miał stajnię niedaleko Colac – wtrącił Harry. – Nazywał się John Nisbet. Oddał konia z zerwanym ścięgnem i naroślami kostnymi na przednich nogach. Praktycznie na rzeź.

– Jak na razie, nie wygląda mi to na dobry interes – powiedziałem.

– Obejrzeć nie zaszkodzi. Rex nie jest wprawdzie znawcą, ale do idiotów też nie należy.

Pierwszy samochód skręcił w prawo, podskakując na wybojach. Zatoczył łuk przy łagodnym zboczu wzgórza o zaokrąglonym wierzchołku. U jego stóp stał dom. Po drugiej stronie podwórka wznosiły się stajnie i obory. Okryte derkami konie dreptały w sześciu padokach. Wyglądały na znudzone. Mniej więcej sto metrów od zabudowań właściciel posesji zatrzymał auto na środku drogi, wysiadł i otworzył bramę. Gestem pokazał nam, byśmy jechali dalej.

Rex zaparkował przy jednej z obór. Harry zatrzymał się tuż obok. Wysiedliśmy i szybko włożyliśmy płaszcze. Północny wiatr mroził do szpiku kości.

– Cholera, Rex – warknął Harry. – Naprawdę nie dało się z tym zaczekać do wiosny?

Nasz przewodnik podjechał pod drzwi domu. Z wyjątkiem stajni wszystkie budynki były stare, ale zadbane. Widać, że ktoś troszczył się o gospodarstwo. Wokół dostrzegałem ślady malowania, ponaciągane druty, świeżo wysypany żwir. Gdy wysiedliśmy, na progu domu stanął nastoletni chłopiec.

Harry przedstawił nas Rexowi. Po chwili dołączył do nas gospodarz.

– To Tony Ericson – odezwał się Rex. – Poznaj Harry'ego Stranga, Cama Delraya i Jacka Irisha, prawnika Harry'ego.

Uścisnęliśmy sobie dłonie. Tony był niski, w typie dżokeja, ale znacznie cięższy. Miał poznaczoną zmarszczkami twarz, krótko przycięte ciemne włosy i odstające uszy.

– Bardzo się cieszę, że pana poznałem – zwrócił się do Harry'ego. – Ojciec często mówił, że nie jestem Harrym Strangiem, gdy

szarżowałem na torze.

– Co u niego słychać?

– Pamięta go pan? Lubił się chwalić, że razem jeździliście.

– Jasne, że pamiętam Raya Ericsona. Żyje jeszcze?

Tony pokręcił przecząco głową.

– Przykro mi to słyszeć. Ray zmusiłby do skoku nawet wielbłąda. – Harry potarł ramiona, by się rozgrzać. – Mówcie, o co chodzi.

Tony zerknął pytająco na Rexa.

– Rex?

– Mów.

– Chodźmy do stajni – zadecydował Tony. – Wprowadziłem tam już konia. Zwykle trzymam go na zewnątrz. Za długo się z nim pieścili.

Ruszyliśmy wysypaną żwirem alejką w kierunku długiej stajni. Skręciliśmy za róg i weszliśmy do środka. Wewnątrz zbudowano osiem boksów, ale tylko w jednym stał koń. Odwrócił brązowy łeb, jakby na nas czekał. Nozdrza mu zadrgały.

– Nazywa się Dakota Dreaming – powiedział Tony. – Ale mówimy na niego Slim.

Koń parsknął na powitanie. Tony poklepał go po łbie i podał coś do zjedzenia.

– Poprzedni właściciel mówił, że jest narowisty. Że kopie i gryzie, ale tutaj nigdy się to nie zdarzyło. Wydaje się łagodny jak baranek. Dogląda go moja dziesięcioletnia córka. – Spojrzał na kogoś za naszymi plecami. – Przywitaj się, Tom – polecił. – To mój syn. Zarwał dziś szkołę. Przejedzie się na Slimie.

Chłopiec, którego widziałem wcześniej w drzwiach domu, podszedł do nas i z ociąganiem podał nam dłoń. Jego rodzice oszczędzali chyba na fryzjerze, bo jego bujnych włosów na pewno nie strzygła wprawna ręka. Był stanowczo za wysoki na dżokeja.

Mijając kolejne boksy, wyszliśmy na zewnątrz i stanęliśmy na niewielkim wzniesieniu. U jego stóp rozciągał się niewidoczny ze stajni tor treningowy. Zanim go jeszcze zobaczyliśmy, wyczułem

arbuzowy zapach świeżo skoszonej trawy.

– Dwa tysiące czterysta metrów – powiedział Tony. – Z tej strony tysiąc dwieście metrów spadku. – Wskazał na lewo. – Boksy startowe, trawa jak na Flemington. Tor zbudowano w latach sześćdziesiątych. Kiedyś wyglądał jak prawdziwy. Potem przez dwadzieścia lat pasły się na nim owce. Kiedy kupiłem ziemię, skosiłem trawę, ubiłem ją i znów wykorzystuję do treningów.

Zerknąłem na Harry'ego. Stał z rękami w kieszeniach wełnianego płaszcza lamowanego skórą. Patrzył przed siebie z nieobecnym wyrazem twarzy.

W pewnej chwili wyciągnął dłoń i w zamyśleniu potarł nią policzek.

– Pięknie. Sąsiedzi są pewnie dumni.

– Nie rozumiem. – Tony wyglądał na zaskoczonego.

– Trenują tu także inni?

Tony potrząsnął głową.

– Tu nikt nie zajmuje się końmi. Zresztą, doprowadziliśmy tor i stajnie do porządku dopiero rok temu.

Odwróciliśmy się, słysząc tętent kopyt. Tom podprowadził do nas konia. Sierść Dakoty lśniła brązowo, dowodząc, że dziesięcioletnia dziewczynka poświęciła mu wiele godzin swego życia. Jego nogi owijały nieskazitelnie białe bandaże. Wiedząc co nieco o wyścigach, mogłem pójść o zakład, że jest znakomicie przygotowany.

Tony przytrzymał łeb zwierzęcia. Podniósł głowę i spojrzał na syna.

– Pamiętaj, co ci mówiłem. Przytrzymaj go przez pierwsze tysiąc czterysta metrów. Dam ci znać gongiem. Nie popędzaj go. Jeśli po kolejnych trzystu metrach będzie miał dość siły, popuść wodze.

Chłopiec skinął głową i odjechał. Spokojnym kłusem wyprowadził konia na tor.

Poszliśmy do miejsca, w którym wielki, pomalowany na czerwono metalowy lizak wyznaczał linię mety. Cam zapalił papierosa. Trzymał go w kąciku ust, bawiąc się stoperem. Harry wyciągnął małą lornetkę

i zawiesił ją sobie na szyi. Tony Ericson załadował pistolet startowy.

– Wystrzał go nie spłoszy? – spytał Rex Tie.

– Na starcie ledwie go słychać – odpowiedział Tony. – Błysnęło światło. Są gotowi.

Uniósł pistolet i pomachał nim nad głową. Chłopiec uniósł prawą rękę. Padł strzał.

Tom utrzymywał dobre tempo, jakiego należało oczekiwać na pustym, wiejskim torze długości tysiąc czterysta, tysiąc sześćset metrów. Na zakrętach koń biegł bez wysiłku, spokojnie i gładko, ale nie wyglądał na szczęśliwego.

Spektakl zaczął się później. Przy znaku wyznaczającym trzysta metrów Tom popędził zwierzę, wbijając obcasy w jego boki. Dakota Dreaming zareagował natychmiast. Wyraźnie zadowolony, przyspieszył, opuścił głowę i pognał do mety. Minął nas, wyciągnięty jak struna.

W milczeniu patrzyliśmy, jak chłopak zwalnia, a potem staje w strzemionach, czekając na naszą reakcję.

Harry zdjął kapelusz i podrapał się w głowę. Cam zaczął szukać papierosów. Ich oczy spotkały się na jakieś trzy sekundy.

– Co ty na to? – spytał Harry.

Cam znalazł papierosy. Zapalił.

– Długodystansowiec – powiedział, zaciągając się głęboko.

* * *

Drew nalał do kieliszków czerwonego wina, zapadł głębiej w fotel i oparł na stoliku stopy z samych skarpetkach.

– Chcesz rady?

Harry i Cam zostawili mnie przed domem, ale nie wróciłem do siebie. Przez całą drogę z Hardhills myślałem o sprawie Bishopa i nagle poczułem gwałtowną potrzebę spotkania z Drew. Co jakiś czas opowiadaliśmy sobie o wszystkich swoich problemach, żeby przewietrzyć umysł.

Kiedy przyszedłem, Drew jadł zamówioną pizzę, siedząc nad stosem akt przed kominkiem swojego domu w Kew. Dzieci nigdzie nie było widać.

– Tak – odparłem.

– Odpuść sobie. Zapomnij, że Danny zostawił ci wiadomość. I weź sobie do serca radę goryla z pubu. Wszedłeś komuś w drogę, to z niej zejdź.

– Gdybym wtedy choć na godzinę wytrzeźwiał i wypytał Danny'ego, co robił w noc wypadku, nie spędziłby ośmiu lat za kratkami.

Drew jadł przez chwilę w milczeniu, zapatrzony w ogień.

– Nie pieprz – mruknął w końcu. – Nawet gdybyś był trzeźwy i w swojej najlepszej formie, i tak byś nic nie wskórał. Gość milczał jak grób. Żaden adwokat nie szukałby innych dowodów niż te, które dostał na talerzu. Nie oszukujmy się. Niczego nie zaniedbałeś i niczego nie jesteś winien Danny'emu.

Zapadła cisza. Siedzieliśmy obok siebie, obserwując trzaskające wesoło płomienie. Zerwał się wiatr i co jakiś czas pogwizdywał głucho w kominie.

– Pamiętasz, jak pojechaliśmy wędkować do Delatite? – spytał nagle Drew. – To były najlepsze wakacje w całym moim dorosłym życiu.

– Nigdy mi tego nie mówiłeś. Poza tym, złapaliśmy wtedy ze trzy ryby.

– To nie miało znaczenia. Liczyła się dobra zabawa. Dzieci zapamiętają ją na resztę swoich dni. Przez większość czasu nie poświęcam im aż tyle uwagi.

Nigdy nie wracałem pamięcią do tamtej wycieczki. Zrobiłem wszystko, żeby o niej zapomnieć; to było ostatnie lato spędzone z Isabel.

– Czułem się wtedy tak, jakbym znów był dzieciakiem – powiedziałem.

– Fantastyczne uczucie. – Drew poprawił się w fotelu. – A co do Danny'ego… Pewnie wplątał się w jakieś lewe interesy, więc go odstrzelili. Z twoich opowieści wynika, że są do tego zdolni. Co więcej, jeśli w sprawę zamieszani są gliniarze, a ty będziesz dalej węszyć, wkrótce i tobie przytrafi się nieszczęście.

Pokiwałem głową. Wiedziałem, że ma rację. Dla Danny'ego McKillopa i tak już było za późno. Wyrzuty sumienia na próżno zagnały mnie do Perth. Poczułem się tak, jakby Drew zdjął mi z ramion ogromny ciężar. Z ulgą wychyliłem kieliszek do końca.

– Dokończmy butelkę – ponaglił mnie Drew. – W piwniczce mam coś lepszego. Czerwone wino, które dostałem od klienta w 1978 roku. Miało wtedy dziewięćdziesiąt lat.

Tej nocy nie wróciłem do domu. Spałem u Drew, w pokoju gościnnym.

Następnego dnia Charlie Taub powierzył mi ważne zadanie: toczyłem i dokręcałem nogi stołu konferencyjnego, zamówionego przez nafciarzy. Dla kogoś, kto się na tym nie znał, było to ponoć zajęcie wyjątkowo odprężające. Charlie nie znosił robić stołów, chyba że nie miał innego wyjścia. Fakt, że mu pomagałem, oznaczał, że to wyjście miał.

– Stół to stół – powiedział. – Nic się nie da w nim zepsuć.

Zacząłem pracować w stolarni, żeby nie zwariować. Praca była dla mnie terapią, odwrotem od samozniszczenia. Teraz widziałem to wyraźnie. Wtedy po prostu dałem się ponieść ciekawości. Zajrzałem tu po drodze do starego zakładu krawieckiego, w którym zamierzałem urządzić sobie biuro. Wszedłem pod wpływem impulsu. Słońce wpadało do środka przez wysokie okna. Wokół unosił się zapach świeżych trocin i oleju lnianego. Charlie stał przy ławce do heblowania i pogwizdując, szlifował rzeźbione oparcie mahoniowego krzesła w stylu Jerzego III, które miało zastąpić zniszczony oryginał należący do zabytkowego kompletu jadalnego. Na ten widok natychmiast zapragnąłem zostać stolarzem. Nigdy wcześniej nie przyszło mi to do głowy. Nic nie wiedziałem ani o drewnie, ani o stolarce. Podszedłem jednak do Charliego i oznajmiłem:

– Zapłacę panu, jeśli nauczy mnie pan robić meble.

Charlie przyjrzał mi się z zainteresowaniem.

– Powiem tak – mruknął. – Po pierwsze, radzę pogadać z lekarzem. Po drugie, jestem za stary, by szukać czeladników, a po trzecie, nie starczyłoby panu forsy.

Kiedy już się urządziłem w nowym biurze, zacząłem się kręcić w pobliżu warsztatu. Próbowałem pomagać Charliemu i wyręczać go w prostych pracach. Polubił moje towarzystwo. Nie mógł się powstrzymać i co jakiś czas pokazywał mi, jak zrobić to czy tamto.

Tuż przed szesnastą zadzwonił telefon. Ktoś próbował skontaktować się ze mną w biurze, a centrala przekserowała rozmowę do stolarni. Podniosłem słuchawkę. Po chwili usłyszałem w niej głos pani Bishop, matki Ronniego.

– Bardzo przepraszam, że zawracam panu głowę, ale boję się o Ronniego – powiedziała. – Po pana wyjeździe długo o nim myślałam i przypomniałam sobie, że do kogoś dzwonił. Poszłam do przedpokoju, bo tam stoi telefon, i jeszcze raz przejrzałam notatki. Znalazłam kartkę, na której syn zapisał dwa numery.

– To wspaniale – ucieszyłem się. – Czy te numery z kimś się pani

kojarzą?

– Nie. Nie znam ich. Zamierzałam zadzwonić i sprawdzić, do kogo należą, ale pomyślałam, że najpierw spytam pana o zdanie.

– Sam je sprawdzę. Policji zabierze to zbyt dużo czasu.

Zapisałem numery i wróciłem do biura. Pierwszy z nich wydawał mi się znajomy. Przy telefonie na biurku leżał mały notatnik. Na pierwszej stronie widniało kilka cyfr otoczonych kółkiem.

Pierwszy numer od pani Bishop należał do Danny'ego McKillopa.

Usiadłem i wykręciłem drugi. Telefon zadzwonił dwa, trzy razy. W słuchawce rozległ się głos:

– Dom ojca Gormana, słucham.

Nadszedł kolejny pochmurny dzień, wietrzny i dżdżysty. Wiedziałem, że podróż przez miasto do budynku, którego adres podał mi wczoraj ojciec Rafael Gorman, zajmie mi sporo czasu. Urbaniści znacznie utrudnili ruch w mieście, zmieniając Swanston Street, niegdyś główną arterię Melbourne, w niewydarzoną galerię handlową dla pederastów. A wszystko przez to, że zawsze wiedzą lepiej. Za karę wszyscy powinni żenić się z pracownicami socjalnymi.

Tkwiłem w korku, słuchając Claude'a Haynesa z wiadomości ABC, który przeprowadzał wywiad z panią premier. Jak większość reporterów tej stacji, zamierzał zostać duchownym, ale odrzucił koloratkę po kilku rundkach z Bogiem w seminarium. Nie mam pojęcia, czy pod wpływem głębokich przeżyć religijnych ludzie tacy jak on stają się bardziej uduchowieni. Wiem za to co innego – na pewno nabierają przekonania, że są mądrzejsi od innych.

– Pani premier… – W wykonaniu Claude'a tytuł ten zabrzmiał jak jej nazwisko. – Liderzy opozycji utrzymują, że pod rządami pani i ministra planowania Pitmana nasz stan staje się rajem dla pozbawionych skrupułów oszustów i naciągaczy. Co pani na to?

– Zwykle mnie to bawi – odparła doktor Marcia Saunders, choć w jej głosie próżno by szukać śladów wesołości. – Pan Kerr nie ma za

grosz doświadczenia w sprawach ekonomii. Nie odróżniłby naciągacza od prezesa Banku Rezerwy.

– Mimo to przesłał dziś do mediów listę „Projektów dla kolesi", jak je określił. Znalazły się na niej projekty rozbudowy nabrzeża zatoki Yarra, budowy hali sportowej w Footscray, prywatnego schroniska dla bezdomnych i kilku innych obiektów. Ponoć zarobią na tym głównie firmy należące do krewnych i znajomych ministra. Czy pani to również dotyczy?

– Pan Kerr doskonale wie, jak odwdzięczać się przyjaciołom – odparowała pani premier. – Zawdzięcza im przecież swoje stanowisko. Gdyby polegał wyłącznie na swoich umiejętnościach, nadal uczyłby geografii w szkole podstawowej.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie. – Claude przybrał entuzjastyczny ton kogoś, komu udało się przyłapać Wittgensteina na pomyłce logicznej. – Czy deweloperzy to pani kolesie?

Zapadła długa cisza. Kiedy Marcia znów się odezwała, w jej głosie pobrzmiewała groźba.

– Panie Haynes, nie powinien pan powtarzać takich bzdur. Jeśli pan Kerr dysponuje jakimkolwiek dowodem na poparcie swoich tez, niech go pokaże albo zamilknie. Zapewniam mieszkańców stanu, że rząd niczego nie załatwia po znajomości. Organizujemy przetargi i realizujemy projekty zgodnie z literą prawa. Wybieramy najlepszych wyłącznie na podstawie analizy warunków, jakie nam oferują. Wspomniani przez pana deweloperzy zaproponowali najkorzystniejsze rozwiązania. Dysponują ogromnym doświadczeniem i zespołem znakomitych specjalistów. Czy twierdzi pan, że jest inaczej?

Claude odchrząknął.

– Część z tych deweloperów wspiera pani partię.

Teatralne westchnienie Marcii pełne było jednocześnie niedowierzania i wzgardy.

– Czyżby podobnie jak Kerr uważał pan, że przedsiębiorcy nie mają

prawa do sympatii politycznych wobec partii rządzącej? – spytała, a każde jej słowo ociekało ironią.

– Proszę nie karać posłańca za złe nowiny. – Claude wyraźnie spuścił z tonu. – Zasugerowałem jedynie…

– Proszę nie chować głowy w piasek – parsknęła Marcia. – Dziennikarze, którzy karierę zaczynali w latach sześćdziesiątych, mają obrzydliwy zwyczaj opierania się tylko na plotkach. Mogliby jednak przynajmniej spróbować to ukryć.

I tak dalej, i tak dalej. Claude usiłował owinąć się płaszczem godności, a Marcia próbowała mu ów płaszcz rozedrzeć. Bawiła mnie jego nieporadność, ale w głosie Marcii Saunders, doktor wychowania fizycznego Uniwersytetu Kansas i byłej pracownicy giełdy, słyszałem coś, co mroziło mi krew w żyłach. Nie wydawała się już tą samą kobietą, która uśmiechała się ciepło z plakatów wyborczych.

Po półgodzinie przedzierania się przez korki miałem dość. Skręciłem gwałtownie w lewo i przejechałem kawałek pod prąd w jednokierunkowej uliczce. Jedno wykroczenie ciągnęło za sobą kolejne. Kilka razy musiałem gwałtownie hamować, by uniknąć stłuczki, ale w końcu cały i zdrów dotarłem pod adres, który podał mi ojciec Gorman. Jego dom stał w pobliżu Albert Park Lake.

Zaparkowałem w niedozwolonym miejscu. Skoro Col Boot zastrzelił kumpla gliniarza, a mimo to dostał emeryturę, poradzi sobie i z mandatem dla toyoty.

Budynek, w którym mieszkał ojciec Gorman, był nowy, ale zadziwiająco wąski. Jego lokatorzy nie narzekali jednak na brak miejsca. Przy bramie widniało sześć przycisków, to zaś oznaczało, że ośmiopiętrowy budynek zamieszkuje ledwie sześć rodzin. Przy guziczku szóstego piętra widniała tabliczka z napisem: Fundacja Bezpieczne Ręce.

Nazwa ta z czymś mi się kojarzyła. Z czym, przypomniałem sobie jednak dopiero, dochodząc do przeszklonych drzwi. Dla tej fundacji pracował Ronnie Bishop. Pomagał bezdomnym dzieciom, jak

powiedziała jego matka. Albo próbował je zerżnąć, jak twierdził były sąsiad z Morton Street.

Mieszkańcy domu chyba nie lubili gości. Ochroniarz i portier w jednej osobie, potężny facet z zadartym nosem, jasnymi oczami i twarzą koloru brudnego prześcieradła, trzymał mnie w przejściu pomiędzy dwojgiem szklanych drzwi, póki nie zanotował wszystkich moich danych. Spod zegarka na jego ręce wystawał fragment tatuażu. Pisanie nie szło mu najlepiej.

Na koniec zażądał, żebym mu pokazał prawo jazdy.

– Nie zamierzam realizować u was czeku, słonko – parsknąłem. – Dzwoń, do kogo trzeba.

Uśmiechnął się lekko.

– Muszę ściśle przestrzegać procedur – oznajmił beznamiętnie. – Proszę pana – dodał po chwili znaczącej pauzy.

– Nie jesteśmy w Pentridge. Nie przeszkolili cię do tej roboty? Dzwoń.

Zerknął na mnie szybko. Spokojnie popatrzyłem mu w oczy.

– Zaraz wracam – powiedział.

Zadzwonił, wrócił do drzwi, wpuścił mnie i odprowadził do windy. Potem wsiadł ze mną, zawiózł mnie na szóste piętro, nacisnął guzik dzwonka przy jednych z dwojga drzwi w korytarzu i zaczekał, aż otworzy nam przystojny młodzian. Przez ten czas nie odezwał się ani słowem, choć od czasu do czasu rzucał mi pełne nienawiści spojrzenia.

– Tędy, proszę. – Młodzian gestem zaprosił mnie do środka. Miał ciemne włosy związane w kitkę i wyszukane, acz irytujące maniery kelnera z Melbourne.

Poprowadził mnie przez obszerny, elegancko urządzony salon do mniejszego korytarza, na którego ścianach wisiały oprawione w ciemne ramy rysunki. Stanęliśmy przed ciężkimi, panelowymi drzwiami z teku. Mój towarzysz popchnął je lekko do wewnątrz.

– Dziękuję, Francis. – Z wnętrza pokoju odezwał się męski głos,

głęboki, ciepły i nawykły do wydawania poleceń. – Następnym razem zapukaj. Proszę wejść, panie Irish. A ty, Francis, przynieś nam, chłopcze, dzbanek kawy.

Ojciec Gorman ruszył w moją stronę, zręcznie omijając okrągły stół z drewna różanego, stojący na jednej toczonej nodze. Na blacie leżało kilka teczek, obok stało pióro w obsadce i osuszacz do atramentu. Mój gospodarz był potężnym mężczyzną po sześćdziesiątce. Miał szerokie ramiona, gęste siwe włosy zaczesane starannie do tyłu, tak by nad czołem powstała niewielka fala, i wyrazistą twarz, opaloną na kolor mlecznej krówki. Jej zdrowy wygląd podkreślała jeszcze śnieżna biel koszuli zestawionej z granatową dwurzędową marynarką. Wąski krawat zdobił wzór przypominający uciekające wielbłądy.

Wyciągnął do mnie rękę, dużą i silną, zaskakująco twardą jak na kogoś, kto spędził życie za biurkiem.

– Miło mi pana poznać. Proszę usiąść.

Poprowadził mnie w głąb pokoju, gdzie wokół niskiej skrzyni stały klubowe fotele oraz dwie kanapy. Barek na kółkach zastawiony butelkami i karafkami przesunięto pod ścianę, zawieszoną obrazami przedstawiającymi głównie krajobrazy. Na wprost duże francuskie okna prowadziły na taras. Z okien na przeciwległej ścianie roztaczał się widok na most Westgate. Widoczne dalej niebo zasnute było deszczowymi chmurami.

– Pięknie tu, prawda? – spytał, wskazując rękami pokój i widok za oknami. – Codziennie dziękuję za to Bogu. I Josephowi Kwitny'emu, donatorowi fundacji, którego hojność pozwala mnie, słudze Pana, mieszkać i pracować w takim luksusie.

Miałem nieodparte wrażenie, że nieraz już powtarzał tę kwestię, ale trzeba mu przyznać, że się starał. Zaczekał, aż usiądę, po czym przysunął sobie fotel bliżej. Tak blisko, że w każdej chwili mógł się pochylić i mnie dotknąć.

– Z jakiej części Irlandii pan pochodzi, panie Irish? – zagadnął żartobliwie, nawiązując do mojego nazwiska, które brzmiało wszak:

irlandzki.

– Z tej wyjątkowo mało znanej. Z getta w Hamburgu. Mój prapradziadek nazywał się Izydor Reich. Uciekł nad morze i wsiadł na statek płynący do Melbourne. U pierwszego pracodawcy zapisał się jako I. Reich. Wkrótce potem wołano już na niego Irish. Zastanawiam się teraz nad powrotem do jego nazwiska.

Ojciec Gorman roześmiał się w głos. Dźwięk ten sprawił, że i mnie ogarnęła wesołość. Miałem ochotę do niego dołączyć. Mimo woli poczułem podziw. Popatrzyłem mu w oczy, roześmiane, otoczone siateczką zmarszczek. Wtedy pochylił się i dotknął mojego ramienia.

– Proszę tego nie robić, bo pańska historia jest naprawdę urocza. Poza tym, uraziłby pan na pewno innych przodków, noszących nazwisko Irish. – Wyprostował się i wsunął ręce do kieszeni. – A teraz proszę powiedzieć, co chce pan wiedzieć o Ronniem Bishopie.

Uprzedziłem go telefonicznie o celu swojej wizyty. Powiedziałem też, że Ronnie zaginął.

– Dlaczego do ojca dzwonił?

– Chciał mnie odwiedzić. Nie widzieliśmy się od lat, a przecież znamy się kawał czasu.

– Słyszałem, że pracował w fundacji.

– Bardzo krótko. Nie był stworzony do tego zajęcia. Nie mówię tego z wyrzutem. Po prostu kontakt z trudną młodzieżą wymaga szczególnych predyspozycji. Nie każdy je ma.

– Spotkaliście się?

– Oczywiście. Spędziliśmy razem mniej więcej godzinę. Później poszedłem na spotkanie. To było… – Wzniósł oczy do sufitu, próbując sobie przypomnieć. – W zeszły piątek.

– Jak się czuł?

– A co pan już o nim wie? – Obrzucił mnie pytającym spojrzeniem, jakby się zastanawiał, czy można mi zaufać.

– Wiem, że był seropozytywny.

Wyciągnął ręce z kieszeni, oparł się wygodniej i złożył opuszki

palców, tworząc z dłoni wieżyczkę na wysokości ust. Paznokcie miał wypiłowane i lśniące, na nadgarstku lśnił wąski złoty zegarek, spod którego wystawały ciemne włosy. Zapatrzył się na widok za oknem.

– Powiedział mi o tym. Czułem jego ból, złość i strach.

Odwrócił się do mnie i spojrzał mi prosto w oczy.

– Zastanawiam się, dlaczego przyjechał do Melbourne – powiedziałem. – Wspomniał coś o tym?

– Myślę, że chciał odwiedzić matkę. Zatrzymał się u niej.

Rozległ się trzask otwieranych drzwi i do pokoju wszedł ciemnowłosy młodzieniec z tacą, na której stał wysoki srebrny dzbanek. Małe filiżanki zagrzechotały, kiedy postawił tacę na stoliku, spuszczając ją z wysokości mniej więcej pięciu centymetrów.

– Mój drogi, widzę, że trzeba cię posłać do szkoły dla kelnerów. Może w twoim rodzinnym kraju. – Ojciec Gorman uśmiechnął się szeroko, ale w jego głosie pojawił się odrobinę chłodniejszy ton, jakby w ciepły powiew wiatru wkradła się jesień.

Francis obrzucił go spojrzeniem pełnym jawnej złośliwości, potrząsnął kitką i wyszedł. Ojciec Gorman odprowadził go spojrzeniem.

– Znał tylko życie pełne przemocy i biedy – wyjaśnił. – Nadal jednak nie wiemy, jaką rolę Bóg mu wyznaczył.

Pomyślałem, że Bóg pewnie chętnie wymierzyłby hardemu chłopakowi solidnego kopa w tyłek, ale ugryzłem się w język. Ojciec Gorman napełnił filiżanki kawą. Obaj piliśmy czarną i bez cukru. Uczciwie mówiąc, była podła. Wróciłem do tematu Ronniego.

– Pracując dla fundacji, zeznawał w pewnym procesie. Rzecz dotyczyła wypadku, w którym zginęła kobieta.

Ojciec Gorman pociągnął solidny łyk kawy.

– Pamiętam. To była straszna tragedia. Taka młoda, zdolna dziewczyna…

– Czy Ronnie wspominał o tych zeznaniach?

– Słucham?

– Czy Ronnie rozmawiał z ojcem o tym, co się wtedy wydarzyło?

Odstawił filiżankę i obrzucił mnie uważnym spojrzeniem.

– Wtedy na pewno o tym rozmawialiśmy. Wydawało się to oczywiste. Nie rozumiem jednak, dlaczego miałbym pamiętać szczegóły.

– Nie wiem, po prostu spytałem. A czy Ronnie wspomniał, że kierowca, którego wtedy sądzono, wyszedł z więzienia i że do niego dzwonił?

Zamiast odpowiedzieć, ojciec Gorman wyciągnął przed siebie lewą rękę i ostentacyjnie spojrzał na zegarek.

– Wielkie nieba! – zawołał. – Zapomniałem przygotować kazania. Proszę wybaczyć, ale musimy zakończyć tę uroczą pogawędkę. A co do Ronniego, nie przypominam sobie, żeby coś takiego mówił. Czy ten mężczyzna chciał się zemścić?

– Nie sądzę. Zależało mu na czymś innym.

– Na czym?

– Nie jestem pewien. Do kogo zwróciłby się Ronnie, gdyby chciał się ukryć?

Ojciec Gorman podniósł się, wyraźnie ponaglając mnie do wyjścia.

– A po co miałby się ukrywać? To dość dziwaczny pomysł.

– Zanim zniknął, bał się o swoje życie.

Uniósł brwi w wyrazie zdziwienia. Wyglądał na szczerze zmartwionego.

– Bał się o życie? Mówił pan, że tamten kierowca nie szukał zemsty. Poza tym, mam wrażenie, że Ronnie po prostu martwił się swoim zdrowiem. Nie sprawiał wrażenia kogoś, kto szuka kryjówki.

Odprowadził mnie do drzwi, mocno trzymając przy tym mój łokieć. Czułem się jak eskortowany więzień.

– Zaczekam, aż pan zjedzie windą. Proszę dzwonić, gdyby okazało się, że potrzebuje pan mojej pomocy. Przykro mi, że nie mam dla pana więcej czasu. Moja praca wymaga ciągłej krzątaniny. Próbuję wszystkim poświęcać tyle samo uwagi, ale to chyba niemożliwe. Pan

jako prawnik na pewno świetnie mnie rozumie. Każdy klient oznacza nowe wyzwanie, prawda? Marzyłem kiedyś o karierze adwokata, ale ktoś tam na górze miał wobec mnie inne plany.

Przy drzwiach nie oparłem się pokusie i zadałem ostatnie pytanie.

– Kiedy ostatnio rozmawiał ojciec z Ronniem? To znaczy, zanim zadzwonił z propozycją spotkania?

Potarł dłonią idealnie gładki podbródek.

– Mniej więcej siedem, osiem lat temu. Byłem zaskoczony, słysząc jego głos, ale od razu go skojarzyłem. Zawsze zapamiętuję głosy. Bóg wynagradza mi widać w ten sposób fakt, że zapominam wszystko inne.

Odprowadził mnie wzrokiem do windy. W hallu na dole były więzień urządził spektakl, wypuszczając mnie z budynku.

* * *

Szczerze mówiąc, stary – podsumował następnego dnia Wootton – sprawa wyglądałaby inaczej, gdybyś od czasu do czasu powołał się na mnie.

Znalazłem go w barze hotelu Windsor, mieszczącego się w wiktoriańskim budynku w pobliżu parlamentu. Wiedziałem, że go tam zastanę, bo wcześniej, po drodze od ojca Gormana, zadzwoniłem do jego biura. Pasował do otoczenia jak ulał – ściany baru wyłożone były boazerią i zawieszone starymi zdjęciami drużyn krykieta.

Siedzieliśmy przy oknie, spoglądając na przechodniów mijających Spring Street. Była siedemnasta trzydzieści, do baru schodziło się więc coraz więcej tłustych młodych ludzi w drogich garniturach i klubowych krawatach. Wootton miał na sobie ciemną marynarkę w jodełkę i takąż kamizelkę, a do tego koszulę w cienkie prążki oraz krawat w fale. Rzednące włosy starannie zaczesał do tyłu, tak aby ściśle przylegały do jego okrągłej głowy. Gęste czarne wąsy ufarbował i przyciął równo nad ustami. Wyglądał jak bankier z rycin z lat dwudziestych i bardzo mu to odpowiadało.

Poznałem go w Wietnamie. Był sierżantem i gaciowym w wojskowych magazynach, a przydział ten nie należał wtedy do najwdzięczniejszych. Zamiast czekać na podziękowania, dogadał się więc z właścicielami dwudziestu okolicznych barów i zaopatrywał ich w niezbędne żołnierzom towary, od piwa poczynając, a na słodkiej paście Vegemite kończąc. Wróciłby do domu bogaty niczym krezus, gdyby na dwa dni przed odlotem dwaj żandarmi nie znaleźli jego skrytki z dolarami. Nie stanął jednak przed sądem, bo tamci uznali, że odebranie mu pieniędzy będzie dostatecznie dotkliwą karą. Nigdy nie upomniał się o tę forsę, a i oni woleli zachować milczenie.

– Mam dość środków, żeby odwdzięczyć ci się za tę przysługę, jeśli jednak proszę o zbyt wiele…

– Spokojnie, Jack. Nie puszczę cię z torbami.

Pociągnął spory łyk whisky z wodą i przez chwilę trzymał ją w ustach, delektując się jej smakiem. Potem westchnął głęboko.

– Poszukam tu gdzieś telefonu. Podaj mi numery i daty. – Wziął ode mnie kartkę i wyszedł.

Czekając na niego, piłem piwo i czytałem gazetę, którą zostawił na stoliku. Na pierwszej stronie znalazłem informację o kolejnej strzelaninie z udziałem policji. Tym razem pewna młoda policjantka zastrzeliła mężczyznę, który rzucił się na nią z nożem, gdy interweniowała podczas domowej awantury w Reservoir. Nowy minister policji, Garth Bruce, skomentował sprawę w następujący sposób: *Jako były policjant doskonale wiem, jak wymagająca jest ta praca i z jak dużym wiąże się ryzykiem. Nie zlekceważę jednak żadnej opinii dotyczącej tego zdarzenia. Na razie czekam na raport z sekcji zwłok. Zapewniam, że zrobię wszystko, by zakończyć trwający w policji od dziesięciu lat kult przemocy i tendencję do nadużywania uprawnień*. Pod tekstem oświadczenia widniała fotografia ministra: krótko ostrzyżonego, potężnego faceta w okularach bez oprawek.

Wootton wrócił mniej więcej po kwadransie. Wchodząc, strzepywał z rękawów marynarki krople deszczu.

– Ciekawe, kto przyznał tej norze pięć gwiazdek. Żaden automat nie działa. Musiałem szukać telefonu na ulicy.

Przed wejściem zatrzymał się czarny mercedes. Z tylnego siedzenia wysiadło dwóch Japończyków w przemoczonych ubraniach do gry w golfa. Stali na deszczu, tak blisko siebie, że dotykały się daszki ich czapek, i bacznie obserwowali kierowcę, który wyciągał z bagażnika wielkie golfowe torby na kółkach pełne kijów.

– Synowie Nipponu – mruknął Wootton, ocierając mokre wąsy. – Nie wiem, czy miałbym dość odwagi, by wałęsać się po Tokio, gdybym podczas wojny wykończył tysiące Japońców.

– Ci dwaj są chyba zbyt młodzi. Założę się, że żaden z nich nie widział wojny na oczy.

– Nie rozśmieszaj mnie. Mają to w genach. – Wootton podniósł się

z krzesła. – Muszę coś zjeść.

Podszedł do kontuaru. Barman natychmiast przyjął zamówienie. Widać Wootton był tu stałym gościem. Wrócił z paczką solonych chipsów.

– Chcesz? – Podsunął mi ją pod nos.

Potrząsnąłem głową. Wziął garść chipsów i wepchnął ją sobie do ust. Kilka okruchów przylepiło mu się do wąsów.

– Za jakieś dziesięć minut znów zadzwonię i dowiem się wszystkiego, na czym ci zależało.

Spędziliśmy te dziesięć minut na sprzeczce o wysokość odszkodowania, jakie powinienem dostać za to, że Eddie Dollery wziął mnie na muszkę.

Kiedy Wootton wrócił, wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki starą kopertę i podał mi ją bez słowa. Na odwrocie znalazłem ponad tuzin numerów telefonów, z którymi łączono się z telefonu pani Bishop podczas trzech dni, kiedy mieszkał u niej Ronnie. Obok każdego z nich swoim starannym pismem Wootton zanotował nazwisko i adres.

– Mam nadzieję, że pomoże ci to znaleźć tego katamitę.

– Prędzej sodomitę – poprawiłem. – Katamitów miał na pęczki. Musiałem się do ciebie zwrócić, bo jako adwokat przysiągłem przestrzegać prawa.

Mój towarzysz wepchnął sobie do ust kolejną garść chipsów.

– Bla, bla, bla. Dawno wyrosłem z krótkich gaci skauta.

– Niektórych z nich nazywa się wilczkami, więc uważaj.

Wróciłem do domu i od razu sięgnąłem po telefon. Zadzwoniłem do redakcji „Pacific Rim News”, żeby pogadać z Lindą Hillier. Odebrał jakiś facet i powiedział, że wyjechała do Sydney i wróci jutro. Nalałem sobie białego wina z otwartej butelki stojącej w lodówce, usiadłem na kanapie i zacząłem studiować numery telefonów od Woottona. Od razu rozpoznałem numery Danny’ego McKillopa i ojca

Gormana. Pozostało dziewięć innych. Zadzwoniłem do pani Bishop i odczytałem jej listę. Rozpoznała tylko jeden numer, ostatni. Widniało przy nim nazwisko P. Gilbert i adres: Long Gully Road, Daylesford. Ronnie zadzwonił tam o szesnastej siedem w dniu, w którym zniknął.

– Naturalnie, to Paul Gilbert – oświadczyła pani Bishop po chwili namysłu. – Od lat o nim nie słyszałam. Doktor Gilbert chodził z Ronniem do szkoły. Bystry, uroczy chłopak. Pracował jako chirurg w St. Georges Road.

– Mieszka w Daylesford.

– Bo zrezygnował z praktyki. Miał problemy z narkotykami. Zwolniono go dyscyplinarnie. Zaczął studia w tym samym czasie co Ronnie. Czasem widuję się z matką Paula. Była z niego bardzo dumna, zanim zaczął ćpać.

Dwa razy próbowałem dodzwonić się do Paula Gilberta, ale nikt nie podnosił słuchawki. Położyłem się do łóżka. Zasnąłem, myśląc o Lindzie Hillier. Pewnie miała ze mnie niezły ubaw. Ciekawe, dlaczego Gavin Legge wspomniał, że wdzięczyła się do szefa i że uganiała się za gwiazdami rocka? Miałem nadzieję, że nie unikała mnie z rozmysłem.

* * *

Wśród nagich gałęzi drzew na Wombat Hills English snuły się jeszcze pasma mgły, kiedy tuż po dziewiątej rano dojechałem do Daylesford. Ci, którzy pracowali w mieście, wyjechali skoro świt, reszta bez pośpiechu zaczynała dzień. Zaparkowałem przy głównej ulicy i spytałem u rzeźnika, jak dojechać do Long Gully Road. Rzeźnicy zawsze są najbardziej uczynni i mili dla swoich klientów. Pewnie dlatego że na co dzień mają do czynienia z padliną.

– Rany! Long Gully Road! To chyba w samym środku lasu. Ale niech pan zaczeka. Les! – wrzasnął mój rzeźnik. – Wiesz, gdzie jest ta Long Gully Road?

Do sklepu wyjrzał z zaplecza wysoki, rudowłosy chłopak. Wycierał ręce w kawałek papieru.

– Gdzie jest długopis? – spytał. – Narysuję panu mapę. Inaczej pan nie trafi. To kawał drogi stąd.

Wcześniej tego ranka znów dwukrotnie próbowałem dodzwonić się do Paula Gilberta i znów nikt nie podnosił słuchawki. Jedząc odgrzaną w mikrofalówce owsiankę, postanowiłem więc pojechać do Daylesford. Przez myśl mi nie przeszło, że przecież nie ma sensu tłuc się godzinę do domu, w którym nikt nie odbiera telefonów. Pomyślałem o tym dopiero po drodze i omal nie zawróciłem.

Dwadzieścia minut po wyjściu od rzeźnika zabłądziłem na dobre. Przez las wokół miasteczka wiodły setki opuszczonych, krętych dróg donikąd. Wystarczyło raz skręcić w niewłaściwym kierunku i mapa Lesa okazywała się bezużyteczna. Zamierzałem właśnie zawrócić, znaleźć rzeźnika i jeszcze raz przejechać całą trasę, kiedy dostrzegłem faceta w roboczym kombinezonie. Stał nieopodal drogi i naprawiał dziurawy płot. Za jego plecami zauważyłem drewnianą chałupę, a przy niej wysoki stos drewna. Byłem pewien, że usłyszał warkot silnika, ale nie odwrócił się, póki nie zatrzymałem toyoty tuż przy nim.

– Dzień dobry! – zawołałem. – Szukam Long Gully Road.

Przez chwilę patrzył na mnie w milczeniu. Widziałem każdy włos w jego wielkiej brodzie, wąskie szparki oczu, żółte zęby, którymi przeżuwał tytoń.

– Trzeba wrócić do skrzyżowania, skręcić w lewo, a potem znów w trzecią w lewo.

Znalazłem właściwy skręt. Stojący tuż przy wjeździe znak oznajmiał, że jest to ślepa uliczka. Obok leżała drewniana, pomalowana na zielono tablica ze strzałką, na której wielkimi białymi literami ktoś napisał: *Sanatorium Koolanja, spa i masaże*. Przyjrzawszy się bliżej, zauważyłem ślady po kulach. Przez mniej więcej kilometr jechałem wśród niskich, niedawno posadzonych drzewek, nim zauważyłem drugi, bliźniaczo podobny znak, tym razem wiszący na drewnianym słupku. Strzałka wskazywała wąski trakt.

Na jego końcu stał płot, a za nim zabudowania: długi, niski kryty sidingiem dom z dużą werandą, kwadratowy budynek o wąskich oknach, wzniesiony z pustaków, a na lewo od niego prowizoryczna szopa, której stalowy dach wspierał się na kilku słupach. Brama była zamknięta. Wisiała na niej przekrzywiona tablica z napisem *Zamknięte*.

Auto – stare BMW – stało przed budynkiem z pustaków. Nagle zdałem sobie sprawę, że nigdy nie spytałem, czym jeździł Ronnie. Pod dachem szopy zauważyłem jeszcze dwa pojazdy: starego holdena i quada.

Zostawiłem samochód przed bramą i wszedłem na teren posesji. Od razu wiedziałem, że nie trzymają tu psów, bo psy pojawiają się błyskawicznie albo wcale. Droga prowadziła prosto jeszcze jakieś trzydzieści metrów, po czym kończyła się żwirowym podjazdem tuż przy domu. Po obu jego stronach ktoś kiedyś próbował założyć ogród, ale dawno już o nim zapomniał. Resztki roślinności trzymały się wyłącznie dzięki zimowym deszczom.

Dotarłem do podjazdu. Obsadzono go osikami, które uschły, nim

zdążyły wyrosnąć. Z domu dobiegały dźwięki muzyki klasycznej, granej na fortepianie. Drzwi od frontu stały otworem. Zapukałem głośno i zawołałem:

– Jest tu ktoś?

Nikt nie odpowiedział. Zapukałem jeszcze raz. Nadal słyszałem wyłącznie muzykę. Po chwili ucichła, a męski głos powiedział:

– Wysłuchaliście państwo jednego z najpiękniejszych utworów Szopena. Teraz czas na muzykę o zupełnie innym charakterze…

Drzwi prowadziły do długiego, wąskiego salonu z sosnowymi meblami w stylu rustykalnym. Pokój był zimny i zaniedbany, jakby od dawna nikt w nim nie sprzątał. W kamiennym kominku zalegała gruba warstwa popiołów. Wszędzie walały się gazety, puste puszki po piwie i napojach oraz brudne talerze.

– Jest tu ktoś? – spróbowałem jeszcze raz, po czym wszedłem do dużej kuchni. Włączone radio stało na półce nad blatem, zawalonym naczyniami z resztkami posiłków sprzed kilku dni.

Reszta domu mnie nie interesowała. Wyszedłem i pomaszerowałem w kierunku budynku z pustaków. Znów zapukałem i zawołałem to, co zwykle. I znów na próżno.

Kiedy otworzyłem drzwi, owiała mnie fala gorącego powietrza. W powietrzu unosił się zapach wilgoci, chloru i czegoś jeszcze. Wewnątrz panował półmrok, bo wszystkie okna zasłonięto roletami weneckimi. Znalazłem włącznik światła. Dwie jarzeniówki zamigotały, po czym zalały białym światłem pomieszczenie, które wyglądało na coś w rodzaju poczekalni. Tapicerowane krzesła stały wokół szklanego stolika zawalonego kolorowymi czasopismami.

Znów zawołałem. Odpowiedziała mi cisza. Poszedłem w stronę na wpół otwartych drwi w głębi pomieszczenia. Wewnątrz panowały ciemności. Pomacałem ścianę i tuż za framugą znalazłem kolejny włącznik. Zobaczyłem krótki korytarz, a po obu jego stronach po dwoje zamkniętych drzwi i jeszcze jedne drzwi na wprost. Wyraźniej czułem tu ten dziwny zapach i wilgoć powietrza.

Szara wykładzina dywanowa na podłodze tłumiła dźwięki moich kroków. Otworzyłem pierwsze drzwi na lewo.

Znajdujący się za nimi pokój był pusty, jeśli nie liczyć prostego sosnowego krzesła i wielkiej, przypominającej trumnę tuby pod przeciwległą ścianą. Na drzwiach umieszczono sosnowe kołki na ubrania. Powietrze pachniało solą. Domyśliłem się, że ta dziwaczna trumna to w istocie wanna napełniana słoną wodą, w której pacjenci doświadczali odprężającego uczucia unoszenia się bezwładnie.

Pokrywa wanny była opuszczona. Bez zastanowienia podszedłem i otworzyłem ją gwałtownym ruchem. Wanna świeciła pustkami. Poczułem się jak dureń.

W pokoju na prawo zastałem kolejną wannę. Tym razem nie zajrzałem do środka. W następnym pokoju po tej stronie mieścił się gabinet masażu, a w nim duży stół i kilka półek wypełnionych butelkami olejków. Na ścianach wisiały obrazy przedstawiające widoczki z Norwegii: sosnowe lasy, zaśnieżone pola, zamarznięte jeziora.

Nie wszedłem do środka. Odwracając się w stronę drzwi naprzeciwko, kątem oka dostrzegłem smugę pary unoszącej się ze szczeliny pod drzwiami na końcu korytarza.

Podszedłem do nich i położyłem dłoń na gałce. Potem coś kazało mi zapukać. Nikt nie odpowiedział. Zapukałem jeszcze raz. Podświadomie czekałem na zaproszenie.

Nie nadeszło, obróciłem więc gałkę i pchnąłem drzwi.

Wypełniająca pokój para miała dziwaczny zapach, przywodzący na myśl woń rosołu zmieszanego z chlorowaną wodą. Ostry, chemiczny smród drażnił nozdrza i sprawił, że oczy zaszły mi łzami.

Zawróciłem do poczekalni. Stojąc w drzwiach korytarza, patrzyłem, jak kłęby pary ulatniają się powoli. Jakiś głos w mojej głowie kazał mi jak najszybciej stąd wyjść i jechać do domu. Wyjdź – powtarzał, wsiądź do auta, znajdź gościa w kombinezonie i podziękuj mu pięknie za wskazówki. Powiedz, że nie znalazłeś Long Gully Road, dałeś więc

sobie spokój i wracasz do domu. Po drodze wstąp do rzeźnika i kup kilka kiełbasek. Lesowi podziękuj za mapę, która na nic ci się nie przydała, bo i tak nie znalazłeś tego miejsca. W domu weź długi, gorący prysznic. Zapomnij o Dannym, Ronniem i każdym innym facecie, którego imię zdrabnia się w podobny sposób.

Nigdy nie słuchałem głosu rozsądku, kiedy więc chmura nieco się rozrzedziła, wszedłem w głąb korytarza.

Drzwi zostawiłem na wpół otwarte. Pchnąłem je teraz mocniej i otwarłem na oścież.

W pokoju wciąż unosiła się gęsta para, tym razem jednak widziałem, co znajduje się w środku. Znalazłem się w gabinecie kąpielowym, wyłożonym kafelkami aż po sufit. W prawym rogu zauważałem wpuszczoną w podłogę dużą wannę z hydromasażem.

Dałem krok w jej stronę.

Na podłodze obok, oparty plecami o wykafelkowaną ścianę, siedział mężczyzna w luźnym różowym dresie. Jego lewa dłoń spoczywała na podłodze, prawą trzymał na kolanach, tak że długa lufa pistoletu opierała się na udzie.

Z początku myślałem, że ma na twarzy maskę. Dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, że jego głowa zamieniła się w krwawo-siną, wielką miazgę.

Poczułem wzbierające w gardle wymioty, ale dzielnie postąpiłem jeszcze krok do przodu.

W wannie dostrzegłem coś, co przyciągnęło moją uwagę. Nie widziałem tego wyraźnie, bo nad powierzchnią unosiła się gęsta para. Wyglądało na to, że woda jest zdecydowanie bardziej gorąca niż zazwyczaj.

Wytężyłem wzrok. Coś bezkształtnego unosiło się wśród bąbelków. Wziąłem to za jakiś fragment odzieży.

Kiedy znów zbliżyłem się o krok, jeden z większych bąbelków obrócił materiał. Wtedy zrozumiałem, na co patrzę. W wodzie pływała czaszka, w której wrzątek oddzielił mięso od kości.

W wannie bulgotał rosół ugotowany z ludzkich szczątków. Zrobiło mi się niedobrze. Poczułem, że zaraz zemdleję. Zataczając się, dotarłem do wyjścia. Zaczekałem, aż zimne powietrze przegoni z moich nozdrzy trupi odór, a potem spojrzałem ku bramie. Przez chwilę stałem w bladych promieniach słońca, zastanawiając się, co dalej. W końcu wziąłem głęboki oddech i zacząłem szukać czegoś, czym dało się wytrzeć odciski palców.

Od dziecka kładziono mi do głowy, że zbrodnie należy zgłaszać na policję. Tym razem jednak nie zamierzałem się wychylać. Zamiast tego pojechałem do faceta, który naprawiał płot. Gdy się przy nim zatrzymałem, wbijał właśnie kolejny słupek. Opuściłem szybę i wyjrzałem z auta. Dopiero wtedy zaszczycił mnie spojrzeniem.

– Na skrzyżowaniu miałem skręcić w prawo, zgadza się? – spytałem bez zbędnych wstępów.

Popatrzył na mnie jak na idiotę.

– W lewo – mruknął.

– Szlag by to trafił. – Potrząsnąłem głową. – Chyba sobie odpuszczę. Dość czasu zmarnowałem na tym zadupiu. Znam ciekawsze zajęcia niż błądzenie po dziurach.

Ruszyłem z piskiem opon. Dwa kilometry dalej natknąłem się na drogowskaz do Daylesford. Tym razem Les stał przed sklepem. Miałem szczęście, bo po tym, co widziałem, wejście do pomieszczenia pełnego mięsa byłoby chyba ponad moje siły.

– Dzięki za mapę! – zawołałem. – Nie przydała się, bo zabłądziłem. Mam dość. Wracam do domu.

Les wyglądał na przybitego.

– Starałem się narysować ją dokładnie – sapnął.

– Wiem. To ja nawaliłem. Zamiast skręcić w drugą w lewo, dojechałem do trzeciej.

Les wzniósł oczy do nieba i pogrążył się w zadumie.

– To by się zgadzało – powiedział wreszcie. – W ten sposób dotarł

pan do Kittelty's Lane i dalej ani rusz.

– Fakt. Ani rusz – zgodziłem się skwapliwie. – Zresztą, i tak wiedziałem, że nie sprzedam tam ani jednej kserokopiarki. Następnym razem pojadę na King Island.

Kupiłem od Lesa kilka kiełbasek i z ulgą opuściłem miasteczko. W Bacchus Marsh zatrzymałem się przy poczcie. Znalazłem numer Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami w Daylesford. Zadzwoniłem. Odebrała kobieta.

– W sanatorium przy Long Gully Road ktoś znęca się nad zwierzętami – powiedziałem. – Są w tak marnej kondycji, że jeśli nikt się nimi nie zajmie, wkrótce pozdychają.

– Jak tam trafić?

– Znajdziecie drogowskaz. Sprawdźcie budynek z pustaków.

Byłem pewien, że Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami nie rejestrują rozmów przychodzących. Wszyscy inni dawno już wprowadzili ten zwyczaj.

W drodze do domu wspominałem Wietnam. W czasach, kiedy tam byłem, wokół często ginęli ludzie. Widziałem trupy, rannych i umierających. To sprawiło, że się uodporniłem. Ktoś inny na moim miejscu doznałby szoku i dał się ponieść panice. Ja poczułem tylko niesmak. Instynkt mnie nie zawiódł – trafiłem do kryjówki Ronniego. Jeśli wszystko odbyło się tak, jak wskazywały dowody, jedno z ciał z pewnością należało do niego. Drugą ofiarą był pewnie jego kumpel, eks-lekarz, Paul Gilbert. Pomyślałem o broni w ręce nieboszczyka. Czyżby popełnił samobójstwo, zastrzeliwszy wcześniej tego drugiego? Przez chwilę próbowałem przypomnieć sobie kolor wody w wannie. Miałem wrażenie, że była stosunkowo czysta. Pewnie gdyby ktoś w niej zginął, zabarwiłaby się na czerwono. Co z kolei oznaczało, że być może ugotowany facet zginął wcześniej, a ktoś wrzucił do wanny jego zwłoki.

Nawet gdybym znalazł Ronniego w dobrym zdrowiu, niewiele by mi pomógł. Teraz wiedziałem jednak, że świadek, który winą za

śmierć Anne Jeppeson obarczył Danny'ego McKillopa, został brutalnie zamordowany. Wcześniej zginęła ofiara jego oskarżeń. Danny wierzył, że jest niewinny, a dowód obiecała mu dostarczyć kobieta, która zadzwoniła do niego w imieniu konającego męża. Po tym telefonie McKillop zostawił wiadomość na sekretarce Ronniego Bishopa, Bishop zaś przyjechał do Melbourne i próbował się z nim skontaktować.

Oczywiste było, że wszystko to ma związek ze śmiercią Anne Jeppeson, która łączyła ze sobą zamordowanych mężczyzn. Równie oczywista wydawała się myśl, że pora zrobić sobie wakacje w Queensland. Oderwać się od dotychczasowego życia. Od wspomnień o prywatnej szkole, do której posłał mnie dziadek. Od oczekiwań matki, które pchnęły mnie w objęcia armii. Od śmierci żony, od wspólnika i zobowiązań wobec klientów. Miałem prawo o tym wszystkim zapomnieć. Przewartościować priorytety i inaczej spojrzeć na świat.

Nigdy nie jest za późno na zmiany. Ledwie wszedłem do biura, od razu sięgnąłem po telefon. Zadzwoniłem do Mike'a Drake'a z prokuratury generalnej. Studiowaliśmy razem, a potem omal nie został wspólnikiem Drew i moim.

Wydawał się zmęczony.

– Mam popytać w agencji federalnej do spraw bezpieczeństwa, czy znają kogoś o nazwisku Tony Baker? Wiesz chyba, że to karkołomna sprawa. Zazwyczaj to oni zadają pytania. Ale zgoda, spróbuję.

Oddzwonił po piętnastu minutach. NCA odżegnała się od znajomości z Bakerem.

– Być może to prawda – podsumował. – A może wcale nie.

– Racja – przyznałem. – Dzięki, stary.

Zbyt późno przyszło mi do głowy, że należało podać Mike'owi rysopis Tony'ego: sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, sto kilo żywej wagi, czterdziestkapiątka za pazuchą skórzanej kurtki.

Przyszła pora na telefon do Lindy Hillier.

– Dzwoniłam do ciebie. Nie masz automatycznej sekretarki?

– Zapomniałem włączyć.

– Pamiętasz, o czym ostatnio rozmawialiśmy? Popytałam tu i ówdzie. Spotkajmy się przy Smith Street.

* * *

Gerry Schuster była gruba, oględnie mówiąc. Jej wielkie cielsko spoczywało na dziwacznym niby krześle bez oparcia, przy czym cały jego ciężar utrzymywało coś, co wyglądało jak klęcznik. Przed wzrokiem innych zasłaniały ją dwie szafy z serwerami, tworzące zaciszną wnękę. Ubrana była w zadziwiająco jaskrawą kieckę, tak wielką, że mogłaby służyć za namiot czterem drobnym Beduinom.

– Jack Irish – przedstawiła mnie Linda. – Też interesuje się tą sprawą.

Spod tłustych frędzli zwanych szumnie grzywką Gerry posłała mi spojrzenie, jakie szefowie kuchni rezerwują dla nieświeżych ryb.

– Bry czór – bąknęła. Pomiędzy jej zaciśniętymi wargami nie zmieściłaby się nawet leżąca na płasko moneta.

Siedzieliśmy w dużym pokoju na trzecim piętrze zabytkowego budynku przez Smith Street w Collingwood, znalazłem się więc niedaleko warsztatu Charliego Tauba. Wisząca na drzwiach plastikowa tabliczka głosiła: UrbanDane. Niskie, pokryte jutową plecionką ścianki dzieliły pomieszczenie na trzy części. Największą zajmowała Gerry. Zdążyłem już zauważyć, że wszystko miała największe. Nieopodal przy komputerach pracowało pięć innych kobiet. W rogu brodaty mężczyzna w nieokreślonym wieku, co najmniej dwie kategorie wagowe lżejszy od Gerry, wpatrywał się w monitor, na którym widniały słupki w dziesięciu kolorach.

– Firma UrbanDane zbiera i sprzedaje dane dotyczące wszystkiego, co dzieje się w mieście – wyjaśniła mi po drodze Linda. – Wiedzą, ile zdechło tu kotów, ilu zginęło rowerzystów, ile sprzedaje się gumek. Rejestrują również niektóre rozmowy.

Gerry poruszyła się na dziwacznym klęczniku, westchnęła i oznajmiła:

– Wpisałam dane dotyczące sprzedaży i kupna nieruchomości w Melbourne w latach 1976–1980. Co was interesuje? – Jej

upierścienione paluchy wyglądały na klawiaturze jak pomarszczone parówki.

– Transakcje na wybrzeżu Yarra – powiedziała zdecydowanie Linda.

Gerry nacisnęła kilka klawiszy. Na monitorze pojawiła się mapa Melbourne z nałożoną na nią siatką.

– Strefa 14 – uznała Gerry i znów postukała w klawiaturę, wybierając cyfry 1 i 4.

Mapa zniknęła, zastąpiona przez kolejną. I znów w jej rogach pojawiły się numerki.

– Podstrefa 12. – Tym razem Gerry nacisnęła klawisze z cyfrą 1 i 2.

Na ekranie wyświetliła się kolejna mapa. Widać było na niej nabrzeże zatoki Yarra, rzekę oraz fragment wybrzeża po drugiej stronie.

– To tutaj. – Linda wskazała palcem interesujący ją obszar.

– Dwanaście łamane przez sześć – mruknęła Gerry i postukała w wybrane klawisze.

Tym razem mapa szczegółowo pokazywała nabrzeże Yarra. W samym jego środku leżało osiedle Hoagland.

– Spójrzmy na zdjęcie. – Gerry najechała kursorem na pasek widoczny w górze ekranu i wybrała właściwą ikonkę. Po kilku sekundach mapę zastąpiło satelitarne zdjęcie tej samej okolicy.

– Fantastyczne – pochwaliłem.

Gerry obrzuciła mnie spojrzeniem pełnym pogardy. Paróweczki znów zatańczyły na klawiaturze. Zamiast zdjęcia satelitarnego na ekranie migotał teraz różnokolorowy obraz układanki przypominającej puzzle.

– Nieruchomości leżące w granicach obszaru 14/12/6 – wyjaśniła Gerry. – Każda to osobny rekord.

Znów najechała na pasek narzędzi i wybrała jedną z komend. Pojawiło się okienko, a w nim dziesięć opcji. Wcisnęła „numer”. Pojawiła się cyfra 27.

– Liczba rekordów w obszarze 14/12/6.

– Powiedzmy, że chciałabym wiedzieć, kto jest właścicielem tej działki. – Linda wskazała na niewielki trójkąt na brzegu rzeki.

Gerry najechała na niego kursorem i kliknęła dwa razy. Z menu o nazwie „dane” wybrała pasek „właściciele”. Ekran przygasł, a potem pojawiła się na nim lista nazwisk, adresów, dat i numerów.

Ostatnim właścicielem wybranej działki była firma Tilsit Holdings, która kupiła ją 14 lutego 1984 roku.

– Możemy też odszukać konkretne nazwisko – podsunęła Gerry. Wybrała komendę „szukaj”, wcisnęła „nazwisko”, a kiedy pojawiła się ramka, wpisała w nią „Tilsit Holdings”.

Na ekranie pojawiła się lista ośmiu nieruchomości. Gerry nacisnęła kilka klawiszy, przywołała mapę przypominającą puzzle i wybrała jedną z komend w menu. Osiem kawałków mozaiki zabarwiło się na czerwono. Wszystkie leżały na brzegu rzeki, tuż przy granicy Hoagland.

– To działki Tilsit – powiedziała Gerry.

Linda wyjęła z torby notes, otworzyła go, zaginając okładkę do góry i pod spód, po czym przesunęła palcem w dół strony.

– Poszukaj Muscanda Developments – poprosiła i na wszelki wypadek szybko przeliterowała nazwę firmy.

Spojrzałem na nią pytająco.

– Później ci to wyjaśnię.

Parówki przystąpiły do działania. W okolicach Hoagland pojawiło się pięć, sześć czerwonych punktów. Większość była maleńka, dwa wydawały się całkiem spore.

– Bingo! – ucieszyła się Linda.

Spojrzałem na nią. Oczy jej jaśniały.

– Mam jeszcze kilka nazw takich firm – powiedziała. – Możesz wydrukować nam mapy i dane?

– Jasne. Biznes to biznes.

Całość zajęła kwadrans. Wydruki i foldery zabraliśmy ze sobą do

baru U Meakera. Zamówiliśmy po dużej kawie. Usiedliśmy naprzeciwko siebie, ja – plecami do ściany. Linda miała na sobie biały golf i czarną skórzaną kurtkę. Bardzo szykowne zestawienie.

– O co w tym chodzi? – spytałem.

Upiła łyk kawy.

– Po naszej kolacji długo myślałam o Anne Jeppeson. Wspomniałam o niej koledze z pracy, który w czasach, gdy zginęła, pisał o polityce w „Herald". Zaprosiłam go na drinka i wypytałam. Przypomniał sobie o awanturze, do jakiej doszło w gabinecie na tle sprzedaży Hoagland. Ministrem planowania był wtedy Kevin Pixley. Pamiętasz go?

Skinąłem głową.

– O zamknięciu osiedla zdecydował Lance Pitman, ówczesny minister budownictwa. Zamierzał je sprzedać, nie pytając mieszkańców o zdanie, w dodatku poza przetargiem. Pixley ostro się sprzeciwił. Poparło go wielu członków rządu. Premier Harker dokonał jednak pewnych zmian. Pixley został ministrem transportu, a Pitman zajął się planowaniem. Oczywiście od razu zatwierdził decyzję o sprzedaży Hoagland.

– Kto tak bardzo chciał je wtedy kupić?

– Też zadałam sobie to pytanie. Zastanowiłam się również, dlaczego Pitmanowi tak zależało na sprzedaży bez przetargu. Nieruchomość kupiła firma Hexiod Holdings, spółka uśpiona, z dwoma dyrektorami i księgowym o nazwisku Norman Jovanovich. Niedawno, bo trzy miesiące temu, sprzedała ją firmie Charis Corporation, deweloperom biorącym udział w projekcie rozbudowy zatoki Yarra. Dzień po tym, jak Pitman i spółka wrócili do władzy.

– A co z działkami tuż przy wodzie, o które pytałaś?

Wyciągnęła wąską dłoń i położyła mi ją na przedramieniu.

– W grę wchodzi około siedemdziesięciu działek. Jeśli dobrze zrozumiałam dokumenty od UrbanDane, przynajmniej siedem firm zaczęło kupować ziemię na nabrzeżu Yarra na pół roku przed tym,

nim rząd ogłosił decyzję o zamknięciu Hoagland. W którymś momencie, nie wiem jeszcze kiedy, do gry włączyła się firma Niemen PL. Sześć lat temu okazało się, że połączyła wszystkie grunty nad wodą w jedną działkę i wystąpiła o nadanie jej charakteru działki budowlanej.

Przerwała, bo do baru weszła wyglądająca na członkinię gangu kobieta, która wrzeszczała coś do ucha koleżanki. Po drugiej stronie ulicy biały holden o przyciemnionych szybach zatrzymał się przed sklepem meblowym. Od strony miasta nadszedł wysoki, łysiejący mężczyzna w szarym płaszczu i wsiadł po stronie pasażera.

– Rząd odrzucił tę prośbę – podjęła Linda. – Niemen złożyła więc apelację. Wygrała. Wtedy wtrącił się minister planowania i anulował decyzję Rady Apelacyjnej.

– Dlaczego?

Kierowca białego holdena wysiadł, przeszedł na naszą stronę ulicy i wmieszał się w tłum.

– Ponoć zmiana przeznaczenia terenu kolidowała z długoterminowymi planami gabinetu.

Za ciemną szybą holdena rozbłysnął płomień. Facet, który wsiadł od strony pasażera, siedział teraz za kierownicą. Uchylił okno i wyrzucił przez nie zapałkę.

Linda spojrzała na zegarek i dopiła kawę.

– Muszę lecieć – oznajmiła. – Powiem ci tylko, jak wyglądał ostatni akt dramatu. Sześć tygodni temu właściciele Niemen sprzedali grunty firmie Charis.

– Do której należy teraz całe nabrzeże?

– Właśnie. Działki nad wodą dzieliła od Hoagland droga. Rząd sprzedał ją naszej firmie kilka dni po tym, jak dobiła targu z Niemen. Niedługo później Charis wystąpiła z planem rozbudowy zatoki Yarra.

– Część moich szarych komórek zjadły wiek i alkohol. Powiedz mi więc, co z tego wynika.

Uśmiechnęła się do mnie leniwie.

– Zamknięcie Hoagland zaplanowano, żeby połączyć w całość trzydziestoakrową działkę nad brzegiem zatoki. O takim kąsku marzą wszyscy deweloperzy. Sprawa odwlekła się w czasie, bo w 1984 roku gabinet Harkera przepadł w wyborach. Pitman i jego kolesie potrzebowali dziesięciu lat na powrót do władzy.

Potrzebowałem chwili, by to przemyśleć.

– A gdyby osiedla nie zlikwidowano?

Linda pochyliła się nad stołem.

– Wtedy ktoś zostałby ze sporym kawałkiem bezwartościowej, zatrutej chemią ziemi i setką rozwalających się magazynów, stojących nieopodal najbardziej kryminogennego osiedla komunalnego miasta.

Kierowca holdena znów zapalił zapałkę.

– Czyli zgadzamy się, że śmierć Anne była komuś bardzo na rękę.

– Postaram się lepiej poznać zaangażowane w sprawę firmy, ale odpowiedź brzmi: tak. Warto by pogadać z Kevinem Pixleyem.

– Co porabia?

– Jest na emeryturze. Mieszka w Brighton. Mój kolega z pracy często umawia się z nim na popijawy. Może uda mu się namówić Pixleya na rozmowę z nami.

– Zjemy razem kolację? Opowiem ci coś o Ronniem.

Spojrzała na mnie z zaciekawieniem.

– Zadzwoń przed wpół do dziewiątej wieczorem. Do tego czasu siedzę w pracy.

Po jej wyjściu spokojnie dopiłem kawę. Potem przeszedłem się jeszcze Brunswick Street, z zainteresowaniem przyglądając się panującej wśród młodych modzie. Przeciąłem Johnson Street i wróciłem do auta.

Biały holden zniknął.

* * *

Pojechałem do biura i zadzwoniłem pod ostatni numer, jaki zostawił mi Cam. Często zmieniał numery i nigdy nie wracał do tego samego. Kobieta mówiąca z francuskim akcentem powiedziała, że go nie ma, ale chętnie przekaże mu wiadomość. Zerknąłem w stronę telefonu komórkowego leżącego przy monitorze. Kupiłem go kiedyś, ciekaw nowinki technicznej, ale skorzystałem z niego nie więcej niż cztery razy. Podałem swój numer francuskiej damie i poszedłem do stolarni Charliego.

– Mam nadzieję, że zjadłeś śniadanie – powiedział. – I jesteś gotów na ciężką pracę.

Przygotowywał do gięcia kawałek drewna, przycinając małą piłą jego końce na skos. Dzięki temu drewno nie pękało. W kącie na brzuchatym piecyku podskakiwał stary czajnik.

– Od świtu jestem na nogach – zapewniłem. – Szukałem kogoś.

– Za dużo pracujesz. – Pokiwał smutno głową. – A potem tracisz forsę na wyścigach i szukasz ludzi, którzy chcieli się zgubić.

Telefon komórkowy zadrgał w mojej kieszeni, a po chwili wydał z siebie naglący, elektroniczny dźwięk. Dzwonił Cam.

– Stary organizuje jutro śniadanie. Piszesz się? – zapytał.

– Tak.

– Wpadnę po ciebie za kwadrans ósma.

Wkładając telefon do kieszeni, czułem na sobie ciężki wzrok Charliego.

– Widzę, że wielki dziś z ciebie biznesmen – zagadnął. – Szef pełną gębą. Jesteś tak zajęty, że nie masz czasu iść do telefonu, więc go ze sobą nosisz. Wkrótce nie będziesz miał czasu się wysrać. Lepiej już teraz zamów sobie taki mały kibelek na kółkach.

– W mojej pracy trzeba nadążać za techniką.

– Jasne – mruknął z niedowierzaniem. – Kiedy dokończysz stół, panie Chodzący Telefonie?

– W piątek. Nie. W niedzielę – poprawiłem się od razu.

– Dostałem wczoraj dużą robótkę. Gość zamówił bibliotekę do domu w Toorak. Wielkie, rzeźbione regały. Nie wiem, czy podołam.

– Nie podołasz. Umów się z kumplami na kręgle, a tę robotę zostaw komuś, kto się na tym zna.

– Może i tak zrobię. Albo zatrudnię pomocnika. Jakąś bystrą dziewczynę, która nie boi się pracy i na której można polegać.

– Dobry pomysł – pochwaliłem, zmierzając w stronę stołu, nad którym ostatnio pracowałem. – Każdy chętnie spędzi pięć lat w warsztacie tylko po to, by zobaczyć, jak się robi połączenia czopowe i jak gra się w kule.

Charlie popatrzył na projekt, po czym wziął swoje deski i poszedł do skrzyni parownicy. Sam ją zbudował, wykorzystując do tego celu kawałek rury hydraulicznej długości dwóch i pół metra i średnicy czterdziestu centymetrów z zatyczkami na obu końcach. Poklepał ją pieszczotliwie.

– Powiem ci coś, Jack. Można dać durniowi przenośny telefon. Nadal będzie durniem, tyle że z przenośnym telefonem.

– Rany, Charlie – odgryzłem się. – Tyle ci zawdzięczam. Gdyby nie ty, nie poznałbym wielu prawd życiowych.

Dzień upłynął mi spokojnie w ciepłym od pary warsztacie. Za kwadrans szósta skończyliśmy robotę i poszliśmy do Księcia. Członkowie Klubu Młodzieży Fitzroy, jak zjadliwie nazywał ich Charlie, tkwili już na posterunku przy barze.

– Jack, chłopcze! – zawołał Wilbur Ong. – Trafiłem osiem z ośmiu wyników trzy tygodnie z rzędu. Moja wnuczka, pracuje niedaleko punktu zakładów. Typuję dla niej wyniki w czwartki, kiedy wpada na herbatę.

Wielki nos Norma O’Neilla powędrował powoli do góry jak działo na USS Missouri w czasach wojny w Wietnamie.

– Byłoby to możliwe – wycedził z pogardą jego właściciel – gdybyś typował przegraną Lionsów.

Wilbur posłał mu współczujące spojrzenie.

– Gdybyś miał czterdzieści lat mniej, zaprosiłbym cię na zewnątrz, żebyś to odszczekał. Nadal wiernie kibicuję tej drużynie, ale moja mała nie. Wszystko obstawiła tak jak chciałem, z tym jednym wyjątkiem. Pamiętała, że ostatnio kiepsko im szło.

– Widać, że źle ją wychowałeś – wtrącił się Eric Tanner.

Stan wyszedł zza baru i włączył wiszący w rogu na ścianie telewizor. Nadszedł czas na wiadomości. Kiedy Stan go kupił, chciał, żeby pudełko chodziło przez cały czas. Członkowie Klubu Młodzieży ostro zaprotestowali, oficjalnie włączano go zatem tylko na wiadomości i mecze.

Na ekranie pojawiły się zdjęcia z helikoptera. Rozpoznałem na nich sanatorium doktora Paula Gilberta. Przed wejściem stało co najmniej dziesięć pojazdów.

– Na usytuowanej w głębi lasu stanowego Wombat posesji nieopodal miasteczka Daylesford znaleziono ciała dwóch zastrzelonych mężczyzn – obwieściła kobieta prowadząca wiadomości. – Jedno z ciał pływało w gorącej kąpieli. Według policji stan zwłok wskazuje, że ofiary zginęły mniej więcej przed tygodniem.

Helikopter zniżył lot, żeby widzowie dokładniej obejrzeli miejsce zbrodni. Przed domem stało dwóch mężczyzn w cywilnych ubraniach. Niemal równocześnie unieśli głowy. Usta tego z lewej ułożyły się w kształt słowa: Szlag!

– Obu mężczyzn udało się zidentyfikować – podjęła kobieta. – Ich nazwiska podamy państwu dziś wieczorem. Posiadłość należała do doktora Paula Gilberta, znanego w Melbourne chirurga, który w roku 1987 został pozbawiony prawa wykonywania zawodu ze względu na związek z licznymi przestępstwami narkotykowymi. W więzieniu spędził dwa i pół roku z sześciu, na które został skazany. Mieszkał w wiejskim domu. W miasteczku nie widziano go od ponad tygodnia.

Na tym koniec. Pojawiły się kolejne zdjęcia dotyczące innych wydarzeń. Dopiłem piwo i wróciłem do domu. Miałem wrażenie, że

wokół aż roi się od białych holdenów. Czy takie samo auto pojechało za mną do Daylesford? Poczułem, że jeżą mi się włoski na karku.

* * *

Zaraz po wejściu do mieszkania zadzwoniłem do Lindy Hillier. Nie ma jej przy biurku, usłyszałem od jakiegoś faceta. Zostawiłem jej wiadomość. Patrzyłem właśnie smutno w głębiny pustej lodówki, kiedy zabrzęczał telefon.

– Musimy pogadać – zaczęła bez wstępów Linda.

– I to długo – odparłem i postanowiłem spróbować. – Możesz do mnie wpaść? Tak byłoby najlepiej.

– Gdzie mieszkasz?

Poszedłem za róg do greckiej tawerny pana Papy. Kupiłem świeży chleb, oliwki, gołąbki z liści winogron i niezidentyfikowaną rybę nadziewaną tymiankiem i liśćmi bazylii wprost z kuchni pani Papy. Cena z karty z pięćdziesięcioprocentowym rabatem, jak zawsze.

Ledwie wyszedłem spod prysznica, rozległ się dzwonek do drzwi. W pośpiechu wciągnąłem na siebie bieliznę, dżinsy i koszulkę.

– Cześć – powiedziała. Na jej włosach lśniły krople deszczu.

– Zmokłaś – zauważyłem niezbyt bystrze.

– Ty też. Ja przynajmniej mam na nogach buty.

Zdążyła się przebrać. Tym razem miała na sobie płaszcz, szare spodnie, kremową bluzkę i tweedową marynarkę. Odbierając od niej okrycie, poczułem jej zapach. Coś ścisnęło mnie w gardle.

– Ładnie tu. – Rozejrzała się dokoła.

Staliśmy przez chwilę naprzeciwko siebie. Powietrze wibrowało oczekiwaniem. Wreszcie obróciłem głowę i zajrzałem w głąb pokoju. Wszędzie walały się stosy książek, płyty kompaktowe, kasety i niezawieszone obrazy. Poczułem się tak, jakbym zobaczył to miejsce po raz pierwszy.

– Wygląda jak skrzyżowanie klubu dla dżentelmenów z mieszkaniem studentów – podsumowała tymczasem Linda.

Odchrząknąłem, zażenowany.

– Chodźmy do kuchni. Czego się napijesz? – Wiedziałem, że

kuchnia zasługuje na aprobatę. Niedawno w niej sprzątałem.

– Whisky z wodą, jeśli masz.

Kiedy przygotowywałem drinka, obejrzała dokładnie zawartość otwartych półek i regałów. Obserwowałem ją kątem oka, snując opowieść o wizycie u ojca Gormana. Sobie nalałem pinot noir z butelki, którą zacząłem wczoraj.

– Na zdrowie – wzniosłem toast.

– Na zdrowie – odparła. – Spotkałam Gormana kilka razy. Robi w towarzystwie za żigolaka. Ma w sobie coś obleśnego.

– Za żigolaka?

– Zabiera bogate babki na przyjęcia i do teatru, kiedy ich mężowie zajmują się swoimi sekretarkami.

– Sporo wiesz o życiu – zauważyłem. – Przygotowałem rybę. Zjesz?

– Rybę…? – powtórzyła z namysłem. Nasze spojrzenia się spotkały. Nie odwróciłem wzroku. Nigdy tego nie robię.

– Chyba że wolisz coś innego.

Przygryzła dolną wargę.

– A co masz?

Chętnie też bym ją ugryzł.

– Steki wołowe. Zmrożone na kość.

Nagle znaleźliśmy się bliżej siebie, mimo że nie zauważyłem, by któreś z nas się poruszyło. Wyciągnęła dłoń i dotknęła lekko zagłębienia u podstawy mojej szyi.

– Wołowe? – Odłożyła okulary na blat i wolno założyła ręce pod biustem. Gest ten wydał mi się bardzo erotyczny. – Coś jeszcze?

– Gołąbki.

Patrzyliśmy na siebie w milczeniu. Czułem pulsującą erekcję. Chętnie bym ją zasłonił, ale stałem jak sparaliżowany. Jej spojrzenie zatrzymało się na moich spodniach.

– A masz gumki?

Z trudem przełknąłem odrobinę wina.

– Jeśli powiem tak, uznasz, że to zaplanowałem.

– Możliwe.

Odstawiłem kieliszek na szafkę. Opuszkami palców przesunęła po mojej wardze. Pocałowałem jej dłoń. Przysunęła się bliżej. W jej oddechu wyczułem dymną woń whisky. Położyłem dłonie na jej pośladkach i powoli przyciągnąłem ją do siebie. Pod palcami wyczułem brzegi jej bielizny.

Nasze usta się spotkały. Wsunęła między nas prawą dłoń i pogładziła nią mój rozporek. Miałem wrażenie, że zaraz eksploduję.

– Zaraz zemdleję.

– Wobec tego powinieneś się położyć.

Wziąłem ją za rękę i poprowadziłem do sypialni. Rozbieraliśmy się w pośpiechu, jakbyśmy zdejmowali z siebie płonące ubrania.

– Cholerne guziki – mruknęła i ściągnęła bluzkę przez głowę. Rozpięła biustonosz. Przez chwilę stała przede mną naga do pasa i mogłem do woli podziwiać duże piersi nad wąską talią. Potem pochyliła się, by zdjąć spodnie, rajstopy i białe figi. Miała ciało biegaczki: długie kości i pięknie ukształtowane mięśnie.

Pościel była zimna jak lód. Ale tylko przez chwilę.

Koło północy zjedliśmy kanapki z wołowiną i wypiliśmy resztę wina. Na rybę było już za późno.

– Mieszkałeś tu z żoną? – spytała neutralnym tonem Linda.

– Tak. Ale spaliśmy gdzie indziej. Sypialnię urządziłem w dawnym pokoju dla gości. Do starej długo nie wchodziłem.

– Wiedziałeś, o czym pomyślałam. Dużo dziewczyn o to pyta?

– Sto procent.

Popatrzyła w sufit, a potem skinęła głową.

– Rozumiem, jedna dziewczyna, jedno pytanie. I zgadza się. Mamy sto procent. – Uśmiechnęła się szeroko. – Czułam, że to się tak skończy od dnia, w którym przyszedłeś do redakcji z tym kurduplem Legge'em.

Leżeliśmy na sofie. Linda opierała się plecami o moją pierś, nogi

spletliśmy, jedząc. Miała na sobie jedwabne kimono mojej córki. Była jakieś trzydzieści centymetrów wyższa od Claire, widziałem więc całe jej uda. Ja włożyłem stary szlafrok.

– Wiem, co ci chodziło po głowie – zachichotałem. – Oto nadchodzi metr osiemdziesiąt pięć czystej erotycznej przyjemności.

– Nie trafiłeś. Pomyślałam: oto idzie kolejny zmęczony życiem i napalony na młodsze babki facet w średnim wieku. Taki, z jakim zawsze kończę.

– Mówiłaś, że nie będziesz wytykać mi gumek w szufladzie.

– Niczego nie obiecywałam. Poza tym, dziś dałam ci taryfę ulgową. Miałeś leżeć i czekać.

– I to mi się bardzo podobało. Urodziłaś się w siodle.

– I miałam świetnego wierzchowca. – Przesunęła stopą po mojej łydce. – Skąd masz tę dziwną bliznę na brzuchu?

– Liczyłem, że oto spytasz. Ktoś mnie postrzelił.

– Dlaczego?

– Wszedłem na jego teren.

– Gdzie?

– W Wietnamie. A jak ty się dorobiłaś takich mięśni na nogach?

Wygięła głowę do tyłu i spojrzała na mnie spod spuszczonych powiek.

– Czy to komplement? Nie odpowiadaj od razu. Najpierw pomyśl. Pomyśl, że mój obcas wgniata się w twoje klejnoty.

– Wyżej. Jeszcze trochę. Ostrożnie – mruknąłem, czując, że przesuwa stopę wzdłuż mojej nogi.

– Przez kilka lat biegałam. A potem poszłam na uniwerek. Jeden skręt, jeden kubek taniego wina, jedna noc w areszcie… I koniec kariery sportowej.

– Przynajmniej na bieżni. Znam ciekawsze miejsca, w których liczy się twój talent.

Linda odstawiła talerz na podłogę i usiadła po drugiej stronie sofy. Kimono rozchyliło się, ukazując jej włosy łonowe. Wyciągnęła długą,

silną nogę i oparła mi ją na ramieniu.

– Co powiesz na trening na skórzanej kanapie?

– Zostaną mokre plamy.

– Plamy? Wobec tego przepchniemy ją do kuchni.

Następnie opowiedziałem jej o wyprawie do sanatorium doktora Gilberta.

– Chryste, Jack! I mówisz to tak spokojnie? Trzeba było iść na policję.

– Nie. Za dużo wokół tego smrodu – powiedziałem, ale zacząłem wątpić w słuszność swojej decyzji.

Harry wyszedł po mnie i po Cama aż do frontowych drzwi. Miał na sobie marynarkę w szarą kratkę, szare spodnie, jasnożółtą bawełnianą koszulę i jedwabny krawat ze wzorem o odcieniu szarości i lawendy. Razem przeszliśmy do jadalni. Deszcz moczył francuskie okna prowadzące na taras, ale światło rozjaśniało kwadratowy pokój, sprawiając, że jego cytrynowożółte ściany lśniły jak słońce. W całym domu było tak ciepło, że zdjęliśmy marynarki.

Nałożyliśmy sobie owsiankę i płatki. Ja i Harry wzięliśmy dodatkowo rodzynki, Cam natomiast łyżkę stołową müsli. Potem pani Aldridge przyniosła jajka sadzone, grillowaną szynkę, cieniutkie jak ołówek kiełbaski wołowe i zapiekane pomidory. Ponoć wcześniej gotowała dla jakiegoś angielskiego trenera. Kiedy Harry ją podkupił, dając jej pięć funtów tygodniowo więcej, facet tak się wściekł, że przez dwa lata nie wpuszczał go na siodło.

– Co z tego, skoro jadłem jak książę? – chwalił się Harry. – Rzadko, bo rzadko, ale za to jak!

Nasz gospodarz pociągnął solidny łyk kawy pani Aldridge, czarnej i gęstej jak atrament.

– Chcemy wystawić Dakota Dreaming – oświadczył.

– Po tym, co widzieliście? – spytałem.

Harry podrapał się po uchu.

– Tony Ericson nie puści go na tor. Trudno mieć do niego pretensje. To zbyt ryzykowne, biorąc pod uwagę historię konia. – Powąchał płyn w filiżance. – Chętnie jednak popatrzy, jak radzi sobie jego pupil. Na błotnistym torze niewiele chabet mu sprosta.

– Możliwe, że ten koń nigdy nie odzyska formy i zawsze będzie się plasował w ogonie.

– Istnieje takie ryzyko. – Harry znów pociągnął łyk kawy. – Ericson uważa jednak, że wytrzyma ze dwie gonitwy. Cam go popiera.

Popatrzyłem na Cama. Po pokazie zniknął w stajni z chłopakiem i koniem.

– Pociągnąłem małego za język – powiedział. – Przyznał, że na tym torze przytrzymał ogiera. Szedł na dwie trzecie swoich możliwości. Tylko nie mów tego Tony'emu, bo przetrzepie chłopakowi tyłek.

Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że opinia Cama miała dla Harry'ego kluczowe znaczenie. Nasz szef zawsze dobierał dżokejów, ale na koniach najlepiej znał się Cam.

– Ma dobre oko – pochwalił go kiedyś Harry. – Niewielu dostaje od Boga taki dar. Nie można się tego nauczyć. To wielki talent.

Gospodarz uniósł srebrny dzbanek z kawą i popatrzył na nas pytająco.

– Takie tempo przy dwóch trzecich możliwości, w dodatku na pastwisku, to całkiem niezły wyczyn. Nawet jeśli doda się kilka sekund do wyniku, tak na wszelki wypadek. – Dolał kawy do filiżanki Cama. – Najlepiej byłoby zacząć na wiosnę, ale nie da się długo utrzymać sprawy w tajemnicy.

– Kto już w tym siedzi? – spytał Cam.

– Według Ericsona tylko Rex Tie. Możliwe, że to prawda. Powiedziałem mu więc, że jeśli piśnie słówko, choćby we śnie, do końca będzie szkolił na Syberii białe niedźwiedzie. – Rozkołysał krzesło i przez chwilę patrzył przez okno na zalany deszczem ogród. – Tym razem mamy większe szanse, że uda się dochować sekretu. Koń nie stoi w naszej stajni, więc nikt o nim nie wie. Widziało go co

najwyżej paru miejscowych kmiotków. – Wyprostował się i potarł czoło. – Niepokoi mnie jednak coś innego. Po pierwsze: czy na pewno chcemy się wychylić już podczas pierwszej gonitwy?

Zapadło milczenie. Nie miałem sprecyzowanego zdania na temat zakładów, przezornie trzymałem więc język za zębami.

– Tak. – Cam nie wytrzymał pierwszy. Rozprostował nogi. Widać było, że ma ochotę zapalić.

– Dlaczego? – naciskał Harry.

Cam uśmiechnął się krzywo, jak to on.

– Z dwóch powodów. Po pierwsze, jak zauważył Jack, może nie być drugiej okazji. A po drugie, przypomnijcie sobie historię tego konia. Dwukrotnie, u dwóch właścicieli, podczas pierwszej gonitwy radził sobie całkiem nieźle. Dopiero w drugiej dawał ciała. Postawmy na niego i prośmy Boga, żeby i tym razem tak było.

Harry zaczął bazgrać coś piórem w notesie.

– A ty jak myślisz, Jack? – Wreszcie spojrzał wprost na mnie.

– O jakiej kwocie mówimy? – Choć raz chciałem to wiedzieć.

Harry potrząsnął głową.

– Powiem ci później, żeby w żaden sposób nie wpływać na twój osąd. Koń ma dla nas zarabiać. Pytanie tylko, czy warto inwestować w pierwszej gonitwie.

– Wpuszczając go na tor, pokazujemy go całemu światu. Jeśli skończy bieg, w dodatku w przyzwoitym czasie, ktoś na tym zyska. Warto, żeby padło na nas.

Harry odstawił na stół filiżankę i spodek. Podszedł do biurka, po czym otworzył stojące na nim nabijane mosiądzem cedrowe pudełko. Wyciągnął z niego jedno z trzech przewidzianych na ten dzień kubańskich cygar.

Cam też sięgnął do kieszeni. Zaciągnął się i wydmuchał nosem dym z gitane'a, zanim Harry zdążył rozerwać opaskę cygara.

– To nie jest takie proste – mruknął nasz szef.

Przyjrzał się cygaru podejrzliwie, rolując go między kciukiem

i dwoma palcami lewej dłoni. Wziął gilotynkę i sprawnie odciął zaokrągloną końcówkę. Włożył cygaro do ust, pociągnął kilka razy, próbując smak tytoniu, po czym zapalił. Zaciągnął się. Zapadł głębiej w fotel i zerknął na mnie spod oka.

– Na pewno nie chcesz spróbować, Jack? Naprawdę warto.

Pokręciłem głową. Chętnie posmakowałem romansu. Na cygara nie dam się już skusić.

– Koń i tak trafi na tor. Z nami albo bez nas. Jeśli się nie zdecydujemy, Rex i Tony zrobią z tego sprawę. Zaczną szukać sponsorów i element zaskoczenia diabli wezmą.

Przez chwilę znów siedzieliśmy w milczeniu. Dym z cygara unosił się ku sufitowi, mieszając się po drodze z dymem papierosa Cama. Na zewnątrz wiatr szarpał gałęziami wiązu, zrywając z niego ostatnie liście.

Harry cmoknął językiem.

– Zgoda. Stawiamy na pierwszą gonitwę.

Otworzył szufladę i wyciągnął z niej żółty notes.

– W grę wchodzi duża forsa, Jack, dlatego trzeba rozproszyć ryzyko i szybko obstawić zakłady. Wpuścimy trochę pięćdziesiątek i zaczekamy, aż stawki skurczą się jak fiutek w zimnej wodzie. Jeśli się piszesz, każdy z nas wnosi dwadzieścia pięć kawałków. Wyścigi zrujnują każdego. – Spojrzał badawczym wzrokiem na Cama, a potem znów na mnie. – Co wy na to?

Cam wypuścił z ust idealne kółeczko dymu.

– Wchodzę w to.

– Jack?

Dwadzieścia pięć kawałków. W tej chwili byłem spłukany, jak zawsze. Wygraną z Ballarat podzieliłem między dłużników. Jak to ujął Charlie Taub? A tak, już pamiętam: *Wyścigi zrujnują każdego*. Fakt. A jeśli coś pójdzie źle i koń się przewróci, zapłaci za to głową. Strzał w łeb poza zasięgiem wzroku publiczności.

– Do kiedy mam dokonać wpłaty? – spytałem.

Harry nie spieszył się z odpowiedzią. Uważnie obejrzał cygaro i leniwie strzepnął z niego popiół.

– Ufam ci. Wystarczy, jeśli dostanę forsę dzień przed gonitwą. – Spojrzał mi w oczy i uśmiechnął się lekko. – Chętnie udzieliłbym ci pożyczki, ale mój ostatni ojciec mawiał, że nie pożycza się pieniędzy na zakłady. Ponoć wtedy diabeł siada człowiekowi za kołnierzem.

– Mądry ojciec wart jest więcej niż bystre dziecko – podsumowałem.

Przeszliśmy do sali kinowej i obejrzeliśmy filmy z gonitw Dakota Dreaming. Tylko pierwsza dawała nam jakieś szanse.

* * *

Kevin Pixley, były członek parlamentu z Peterslee i minister rozwoju przestrzennego, mieszkał w jednej z rezydencji stojących nad zatoką, do której schodziły tutejsze trawniki. Z pewnością miejsce to w niczym nie przypominało Peterslee, zbieraniny niskich domków o drewnianych fasadach i betonowych podjazdach, przycupniętych przy wylotówkach z Tullamarine.

Linda musiała odpuścić sobie spotkanie z Pixleyem, bo została wezwana na dywanik do szefa, do Sydney.

– Cholerny angielski kurdupel – warknęła. – Jego żona siedzi w Singapurze, więc odkąd się pojawił, próbuje dobrać mi się do majtek.

– Ciekawe dlaczego?

– Policzę się z tobą wieczorem, gdy wrócę. Powiedziałam Pixleyowi, że zajmujesz się prawnymi aspektami sprawy, o której piszę. Zacznij od pytań ogólnych. Niech się nie domyśla, o co tak naprawdę ci chodzi. Nie naciskaj. Spytaj, na przykład, co myśli na temat rady apelacyjnej albo czy Melbourne przyciąga deweloperów. Pozwól mu powspominać. Niech wróci pamięcią do 1984 roku. Zaczekaj, co sam powie.

– Mogę włożyć kapelusz z napisem „prasa” zatkniętym za otok?

– Tylko pod warunkiem że więcej nic już nie będziesz miał na sobie. Ponoć jego druga żona lubiła takie zabawy. Pewnie i kolejna nie byłaby od tego daleka.

Przy bramie w dwumetrowym murze musiałem nacisnąć dzwonek i podać nazwisko, mówiąc do mikrofonu ukrytego za metalową kratką. Stalowe wrota otwarły się natychmiast z cichym szczęknięciem. Za nimi zaczynała się wybrukowana ścieżka biegnąca między drzewkami kumkwatu o koronach przyciętych w kształt kul. Prowadziła do dziwacznej dwupiętrowej budowli pomalowanej tak, aby wyglądała na nadgryziony zębem czasu rzymski pałac.

Drzwi otworzyły się, nim jeszcze do nich doszedłem. Na progu stanęła kobieta. Dobiegała czterdziestki. Była opalona i pełna energii. Gwałtowne ruchy zdradzały pewną nerwowość. Miała na sobie strój w stylu marynarskim: białe tenisówki, białe spodnie do połowy łydki, pasiastą bluzkę i apaszkę na szyi.

– Dzień dobry – powiedziała, uśmiechając się służbowo, jak stewardesa albo recepcjonistka w wypożyczalni samochodów. – Jackie Pixley. Zapraszam. Kevin pije właśnie drinka przed obiadem. Choć nie powinien, bo ma bypassy.

Była jedenasta trzydzieści.

Przeszliśmy przez hall do ogromnego salonu, którego francuskie okna wychodziły na wyłożony marmurem taras. Zadbany ogród przyciągał wzrok. Za nim, w oddali rozciągały się wody zatoki. Do domu zaglądała szara, bura jesień.

Wokół dwóch stolików o granitowych podstawach i szklanym blacie stały wyścielane skórą krzesła. Minęliśmy je, idąc do kolejnego dużego pokoju. Ten od podłogi po sufit wyłożony był ciemnym drewnem. Już od progu w oczy rzucał się wielki stół bilardowy o nogach stylizowanych na pnie drzew. Pod przeciwległą ścianą umieszczono bar na mniej więcej dwadzieścia osób. Przeszklone półki z lustrem wypełniały setki butelek i lśniących kieliszków. Na najwyższej zgromadzono chyba wszystkie istniejące na świecie gatunki whisky.

Kevin Pixley siedział za barem. Zapamiętałem jego fotografię sprzed dziesięciu lat. Miał wtedy muskulaturę robotnika portowego, wyrazistą, kwadratową twarz, ciemne, zaczesane do tyłu włosy, a do tego zadziwiająco delikatne, niemal kobiece nos i usta. Facet siedzący przy kontuarze był skurczoną, rozlazłą wersją tamtego olbrzyma. Mimo że równie opalony jak żona, sprawiał wrażenie chorego. Choć w pokoju było duszno, miał na sobie gruby wełniany sweter. Wyciągnął do mnie rękę.

– Jack Irish? Znałem pańskiego ojca. W drużynie Fitzroy nikt mu

nie podskoczył.

Uścisnęliśmy sobie dłonie. W młodości często słyszałem takie teksty. Zawsze wprawiały mnie w zakłopotanie.

– Proszę usiąść. – Wskazał mi krzesło. – Napije się pan czegoś? – W kąciku jego lewego oka zadrgał mięsień.

– Chętnie. Piwo, proszę.

Odepchnął się rękami od baru i przesunął w stronę profesjonalnego dystrybutora. Jego stołek poruszał się na kółkach. Kątem oka dostrzegłem w rogu za kontuarem wózek inwalidzki.

– Coś dla pani? – spytał Pixley. Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że jego żona nadal stała w drzwiach.

– Jeszcze nie, dziękuję – odparła. – Pamiętaj, że obiad podaję za dwadzieścia trzecia. Idę na zakupy. Do widzenia, panie Irish.

– Nieźle się złożyło, co? – zaśmiał się, przyciągając do piersi dźwignię dystrybutora. Nalał mi piwa. – Ja dostałem instrukcje od żony, a pan od Lindy. – Pociągnął łyk ciemnego napoju z własnej szklanki. Zauważyłem, że jego dłoń leciutko drży. – Czy istnieje powód, dla którego Linda tu pana przysłała? O ile pamiętam, zajmował się pan obroną rzezimieszków.

– Pomyślała, że przyda jej się pomoc prawnika i dlatego poprosiła mnie o przysługę. Nie do końca wiem, o co chodzi. Może panu to zdradziła?

– Wspomniała coś o artykule na temat rozbudowy miasta. Jak dla mnie to ściema.

Dokończył drinka i odwrócił się w stronę półek.

Sięgnął po butelkę dżinu. Napełnił szklankę do połowy. Dolał nieco toniku i zamieszał płyn wielkim palcem.

– Zdrowie – powiedział. – Nie wolno mi pić, ale mam to gdzieś. Co więcej mi zostało? – Pociągnął solidny łyk i oblizał usta. – Linda pomyślała, że przyda się prawnik, co? Może wreszcie któryś z was zrobi coś pożytecznego. Za moich czasów w gabinecie roiło się od prawników. Wszystkim wydawało się, że są lepsi od innych.

– Zajmujemy się kontrowersyjnymi decyzjami rządu, między innymi tą o zamknięciu osiedla Hoagland. Był maj 1984 roku. Ciekawi nas, co się wtedy działo.

Pixley odstawił szklankę, oparł łokcie na barze, pochylił się i spojrzał mi prosto w oczy.

– Chodzi o nabrzeże Yarra, prawda? Co za gówno znowu wygrzebaliście?

– Projekt budowy Yarra Cove.

– I tylko to was interesuje?

– Tak.

– Co zamierzacie napisać?

– Artykuł o planach rozbudowy miasta. Linda pana uprzedziła.

Uśmiechnął się z niedowierzaniem.

– Nie wciskaj mi kitu, Jack – zaczął mi mówić po imieniu, przyjmując dobrotliwy ton. – Od czterdziestu lat użeram się z dziennikarzami. Linda pomyślała, że uśpisz moją czujność i łatwiej wyciągniesz ze mnie wszystkie informacje. – Pochylił się jeszcze bardziej. Jego twarz znalazła się tuż przy mojej. – Ale przejrzałem was. Bez trudu.

Poprawiłem się na stołku. Wyglądało na to, że plan Lindy diabli wzięli – nie pogadamy niezobowiązująco o planach rozbudowy miasta.

– Pewnie na tym polega służba publiczna. Trzeba rzucać właściwe światło na wszystko, co jest tego warte.

Parsknął śmiechem.

– Owszem. A znam sporo spraw wartych wyjaśnienia. Pytaj.

Wyjąłem notes.

– Kto podjął decyzję o zamknięciu Hoagland?

Pokiwał głową z kpiącym wyrazem podziwu.

– Masz świetne wyczucie czasu, Jack. Nie dalej jak wczoraj przeglądałem pamiętniki z 1984 roku. Odpowiedź brzmi: Lance Pitman. Przekonał do swojego pomysłu premiera, argumentując, że

położy to kres pogłoskom o dokonywanych tam gwałtach, podpaleniach i wymuszeniach. Wydawało mu się, że dobrze to przemyślał, postanowił więc postawić wszystkich przed faktem dokonanym. Na posiedzeniu gabinetu okazało się jednak, że niektórzy mają inne zdanie.

– Premier zdusił protest w zarodku?

– Nie. Harker nigdy nie naciskał. Decyzję odłożono. Pitman wyglądał jak zbity kundel. Nie mógł uwierzyć, że się nie udało. – Przerwał i napił się dżinu. – Czas na scenę drugą. Po posiedzeniu ktoś rozpuścił wieści, że rząd przyjął projekt Pitmana. Następnego dnia przed parlamentem pojawiły się tłumy. Wszyscy wrzeszczeli: Ratujmy Hoagland! Związkowcy wystąpili z pogróżkami, a jakiś gliniarz idiota z konnej stratował gościa na wózku.

– Wystarczyłoby chyba, żeby premier zaprzeczył pogłoskom o zamknięciu osiedla.

– I tak zamierzał zrobić. Sam mu to doradziłem. Słyszałem, jak uprzedzał Pitmana. Był wściekły. Nie znosił protestów, zwłaszcza gdy się ich nie spodziewał. Krążył nerwowo po gabinecie, powtarzając: „Pieprzona dziwka!”. Zbliżały się wybory. Po aferze z pracownikami elektrowni spece od wizerunku wydzwaniali bez przerwy, każąc nam złagodzić wizerunek rządu. Do pełni nieszczęść brakowało nam tylko strajku pracowników sektora socjalnego i urzędników. Po czymś takim nie miałby szans. Bał się, że partia straci poparcie, bo spadnie na niego odpowiedzialność za zamknięcie Hoagland. Gryzło go to tym bardziej, że wcale nie zamierzał go zamykać.

– Ale w końcu to zrobił.

– Wszystko się zmieniło, gdy Jeppeson zginęła w wypadku.

– Co się wtedy stało?

– Nie wiedzieliśmy, że stała za wszystkimi protestami. Wystarczyło, że zniknęła, a skończyły się jak nożem uciął. Ludzie Pitmana zaczęli gadać, że w grę wchodzi autorytet premiera, że inaczej straci decydujący głos w gabinecie i takie tam.

– I co?

– Harker postawił się przeciwnikom zamknięcia osiedla. Na kolejnym posiedzeniu oznajmił, że nie możemy zachowywać się jak gangsterzy walczący o władzę, że powinniśmy popierać swojego premiera i dla dobra ogółu zlikwidować gniazdo złodziei i potencjalnych zabójców.

– Czyli Pitman postawił na swoim.

– Zgadza się. Rozegrał to pokazowo. Jedyna przeszkoda, Anne Jeppeson, zniknęła jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, w chwili gdy mu to pasowało. – Zaczął kaszleć. Pociągnął kolejny łyk dżinu. – Jak nie urok, to sraczka – mruknął. – Nawet wyszczać się nie mogę, żeby nie pochlapać sobie butów.

– Kolejna awantura rozpętała się, gdy Hoagland zostało sprzedane, prawda?

Przez chwilę przyglądał mi się badawczo.

– Można tak powiedzieć – przyznał wreszcie. – W dużym uproszczeniu.

– Pitman chciał się go pozbyć bez przetargu.

– Zgadza się. Sprawa śmierdziała jak padlina sprzed tygodnia.

– Dlaczego?

– Ludzie, którzy znali Pitmana, nie wierzyli w jego gadkę, że choćbyśmy czekali do usranej śmierci, nie dostaniemy w przetargu korzystniejszej oferty.

– Co o nim wiedzieli?

Znów mi się przyjrzał i znów dostrzegłem nerwowe drżenie w kąciku jego oka. Dopił drinka i zaczął przygotowywać kolejnego. Bez pytania wypełnił piwem kolejną szklankę. Odebrał mi poprzednią.

– Powiem ci coś o sobie, Jack. – Znów siedział dokładnie naprzeciwko mnie. – Wstąpiłem do partii razem z ojcem, zaraz jak wrócił z wojny. Miałem siedemnaście lat. Bilet na front ominął mnie o włos. Marzyłem o wyjeździe. Chciałem zostać bohaterem i dać

łupnia Japońcom, ale matka nie zamierzała nigdzie mnie puścić. A bez jej pozwolenia nie ośmieliłbym się wyjechać.

Napił się dżinu i popatrzył w głąb szklanki.

– Na wojnę poszło czterech moich kumpli z klasy. Wrócił tylko jeden. Nie poznałem go. Została z niego sama skóra i kości. Nazywał się Bobby Morrisey, mówiliśmy o nim kurdupel. Przez pieprzonych Japońców do końca życia miał kłopoty ze zdrowiem. Wielu takich mieszkało w okolicy. Myślisz, że miejscowi członkowie parlamentu cokolwiek dla nich zrobili? Nie. Nigdy. Byli zbyt zajęci wojenkami o stołki, żeby martwić się o wyborców. Dlatego pewnego dnia odebrałem im jeden taki stołek. Nikt nie wierzył, że mi się uda, bo o naszej partii niewielu wtedy słyszało. W parlamencie dałem z siebie wszystko, żeby pomóc Bobby'emu Morriseyowi i takim jak on. Czułem, że jestem im to winien. Za to, że pojechali walczyć zamiast mnie. To bzdura, wiem, ale tak to widziałem.

Skinąłem głową. Nie miałem pojęcia, dokąd zaprowadzą nas jego wynurzenia. Bałem się, że zabraknie mi czasu i że lada chwila wróci pani Pixley. Kevin znów zakaszlał.

– Przydałby się solidny dymek – powiedział. – Masz przy sobie fajki? Nie? Ta cholerna kobieta przeszukuje dom jak gestapo. Niech ją szlag. – Westchnął ciężko. – Próbuję ci wyjaśnić, że wtedy wielu z nas naprawdę myślało o ludziach, którzy nas wybrali. Oczywiście, zdarzały się wyjątki, paru fiutków, chcących się wzbogacić, ale tych szybko usadziliśmy. Dlatego właśnie nie rozumiałem ludzi pokroju Pitmana. Przynajmniej póki nie zdałem sobie sprawy, czego gość oczekuje od polityki.

Spuścił głowę i przez chwilę siedział ze wzrokiem utkwionym w lśniący blat baru.

– Niezła chata, co? – zapytał w końcu. – Sporo warta. Pitman, niech go cholera, puścił plotkę, że wystawiłem ją za łapówki. I nadal to powtarza przy każdej okazji. A ja ci powiem, skąd ją mam. Matka zapisała mi ją w testamencie. Dostała ją od wujka Lesa, który umarł

w Queensland. Nie twierdzę, że stary dureń nie miał nic na sumieniu i że wszystkiego dorobił się w pocie czoła. Różnie o nim gadają, ale dla mnie najważniejsze jest to, że dom przeszedł do mnie przez najczystsze ręce na świecie.

Kolejny atak kaszlu sprawił, że musiał się odsunąć. Oczy zaszły mu łzami. Zegar nad barem wskazywał kwadrans po dwunastej. Pora się zbierać. Uniosłem się, żeby wyjść. Gestem nakazał mi usiąść.

– Nie skończyłem. Rozmawialiśmy o Pitmanie. Chciałeś się jak najwięcej o nim dowiedzieć. Po to tu przyszedłeś, prawda?

Skinąłem głową.

– Wszystko, co ci powiem, zostanie między nami. Jeśli gazeta choć raz o mnie wspomni, zrozumiesz, że mam jeszcze wielu przyjaciół. Czy to jasne?

Znów potwierdziłem skinięciem.

– A zatem Lance Pitman… Szczęściarz, jak o nim mówiliśmy. W życiu nie widziałem takiego niewdzięcznika. Partia znaczyła dla niego mniej niż psie gówno na podeszwie buta. Był agentem nieruchomości w Allenby. Widział, jak zmieniło się miasto, kiedy wszyscy koszykarze, garncarze i bezrobotni architekci lepiący domki z piasku wrócili do Carlton. Ich miejsce zajęli młodzi ludzie z dziećmi i wielkimi kredytami hipotecznymi. Ledwie wstąpił do partii, stworzył sobie z nich grono popleczników, zyskując poparcie setek księgowych i sprzedawców komputerów. Marzył o parlamencie. Barwy polityczne nie robiły mu różnicy. Zapisałby się do nazistów, gdyby gwarantowało to sukces.

Z plecami usłyszałem panią Pixley.

– Obiad na stole. Pan wybaczy, panie Irish. – Jej głos był lodowato zimny, jak wiatr na dworcu.

Pixley zmrużył oczy.

– Zostaw nas, kobieto – rzucił pogardliwie. – Skończę, kiedy sam zechcę. Przynieś mi pamiętnik z 1980 roku.

Pani Pixley odwróciła się na pięcie tak gwałtownie, że aż

zapiszczały na drewnie gumowe podeszwy jej butów. Czekaliśmy w milczeniu. Wróciła po kilku minutach, bez słowa rzuciła na bar gruby, oprawiony w skórę tom, po czym wyszła, znów piszcząc podeszwami.

– Miła dziewczyna – powiedział Pixley. – Poznałem ją w samolocie już po tym, jak Ellen strzeliła sobie w łeb. Była moją drugą żoną. Mówiła, że nie umie znieść samotności. Puszczała się z hydraulikami, elektrykami i innymi takimi – ważne, żeby mieli kombinezon i torbę z narzędziami. Teraz Jackie ma pretensje, że wciąż siedzę w domu. Sąsiedzi nie chcą nas znać. Cholera wie, o co im chodzi.

– Może wrócę innym razem – zasugerowałem nieśmiało.

– Daj spokój. Dopiero się rozkręcam. Wypiłeś już? Naleję ci jeszcze jedno.

Nalewając drinki, wrócił do tematu Pitmana.

– Ledwie wstąpił do partii, zaczął się podlizywać członkom zarządu. Kiedy w 1976 doszliśmy do władzy, znalazł się w gabinecie jako minister policji. To była kpina, bo pierwszy powinien trafić za kratki. Ale gliniarze go lubili. Miał wśród nich wielu przyjaciół. Tacy jak on od razu się zwąchają. Wył jak dingo, kiedy Harker przeniósł go do departamentu budownictwa.

Nie miałem czasu na opowieści o dziejach gabinetu Harkera.

– A co z zatoką Yarra? – ponagliłem.

Udał, że nie słyszy.

– Drań myślał już o planowaniu. Tak mu na tym zależało, że chętnie pomalowałby usta i obciągnął wszystkim członkom zarządu, byle tylko dostać wymarzoną tekę. Ale nawet Harker nie był aż takim durniem. Przynajmniej wtedy. Bo później jedli sobie z dzióbków.

– Dlaczego aż tak mu na tym zależało? – spytałem.

Pixley popatrzył na mnie smutno.

– Gdzieś ty się uchował, Jack? Tam dostaje się największe łapówki. Najłatwiej się obłowić.

– A to była twoja działka.

– Tylko cztery lata, od roku osiemdziesiątego do osiemdziesiątego czwartego. Potem Harker zastąpił mnie Lancem Szczęściarzem, żeby szybko sprzedać Hoagland. A chwilę później wyborcy wszystkich nas posłali na zieloną trawkę. Jako minister nie wziąłem od nikogo złamanego centa, nie skusiłem się na kielicha ani kolacyjkę. Tymczasem pieprzony Lance obsmarowywał mnie na prawo i lewo. Popełnił mnóstwo błędów. Puścił w obieg nieruchomości, których do dzisiaj mi żal. Przeciągnął na swoją stronę członków rządu, którzy byli naiwni jak dzieci. Dawali się wodzić za nos. Szli za nim jak stado owiec. Drań miał czelność przyjść do mnie jeszcze w roku osiemdziesiątym.

Podniósł tom z wytłoczoną na złoto datą „1980” i przerzucił kilka kartek.

– Mam. Posłuchaj. *Rano przyszedł Pitman. Oślizgły jak zawsze. Powiedział, że znacznie lepiej nadaję się do tej roboty, choć przyznaje, że miał na nią chrapkę. Okazało się, że wie o Ellen. Wyraził ubolewanie, że niektóre kobiety nie rozumieją obowiązków spoczywających na żonach wysoko postawionych urzędników. Ględziłby tak pewnie godzinami, gdybym nie spytał wprost, po co przyszedł. Odparł, że chciał mnie tylko zapewnić o swoim poparciu. Spytał, czy nie potrzebuję towarzystwa, bo jeśli tak, zna pewną młodą wdowę, która rozumie, co znaczy rozpacz. Podziękowałem, ale nie miałem ochoty skorzystać. Pokręcił się jeszcze przez chwilę, po czym zagadnął, co zamierzam w sprawie Baygate. W tym czasie trwały procedury związane z otwarciem projektu. Napomknął, że gdyby nic z tego nie wyszło, miałoby to zły wpływ na wizerunek partii. Co więcej, znał związanych z projektem deweloperów, którzy chętnie wspomogliby nas podczas wyborów. Nie wyraziłem zainteresowania. Potem spytał, czy dotarły do mnie wieści, że firma ColdRoads rozważa możliwość wybudowania nowej ubojni w moim okręgu wyborczym. Zaprzeczyłem, bo myślałem, że wybrali już Orbison. To jeszcze nic pewnego, odparł Lance. Przerwała nam Raelene. Przyszła powiedzieć, że jedno z moich spotkań zostało odwołane. Lance podniósł się do wyjścia.*

Przy drzwiach odwrócił się jeszcze i spytał, czy wiem, że część akcjonariuszy Baygate zasiada też w zarządzie ColdRoads. Nie miałem wątpliwości, do czego zmierzał, ale nie chciałem biec do Harkera po byle wzmiance.

Przerwał i spojrzał na mnie uważnie.

– Wiesz, co się wtedy stało?

Potrząsnąłem głową.

– Osiedle Baygate zostało zbudowane. Nie zdobyłem się na to, by utrącić projekt na złość Pitmanowi, choć pewnie należało to zrobić. Miałem dość powodów, ale chciałem być uczciwy. Moja decyzja podzieliła członków departamentu. Na szczęście poparł mnie jeden z ważniejszych wówczas ludzi – Malcolm Bleek, który też uważał, że to dobry pomysł. Nadeszły wybory. Część szefów firmy wsparła mnie głosami, inni wpłacili hojne datki na rzecz partii.

– Czysty zysk.

– Nie pieprz. Słuchaj dalej. Peterslee było dziurą, stanowisko jego reprezentanta niewiele znaczyło. Utrzymałem je, bo ludzie mi ufali, ale gdyby zmienili zdanie, byłoby po mnie. A to robota, do której się nie wraca. Na dziesięć dni przed wyborami ColdRoads Australia ogłosiła, że buduje nową ubojnię w moim okręgu wyborczym. Oznaczało to, że ludzie będą mieli pracę, legalną, i to na długo. Wszyscy reprezentanci małych okręgów marzą o czymś takim.

– Pitman uznał, że dobrze się spisałeś.

– Być może. Przyszedł do mnie po wyborach. Nim zdążył otworzyć usta, wygarnąłem mu wszystko, co leżało mi na wątrobie. Powiedziałem, że jeśli choć raz wspomni przy mnie nazwę jakiegoś projektu, utrącę go dla zasady, bo jest małym, nic niewartym gnojem. I nie będzie miało dla mnie znaczenia, co dostałbym, gdybym go poparł. Przyjął to w milczeniu. Po prostu odwrócił się i wyszedł.

Pixley zapatrzył się w szklankę.

– Jak mówiłem, Jack, masz świetne wyczucie czasu. Trzy miesiące temu kazałbym ci spadać. Założyłem, że nie uda mi się pozbyć

Pitmana, nie szkodząc przy tym partii. A tego bym nie zniósł. Partia była i jest całym moim życiem. Kosztowała mnie dwa nieudane małżeństwa. Przez nią dzieci nie chcą mnie znać. Ale takiego dokonałem wyboru.

Dopił drinka.

– Jeszcze jeden, na drogę – powiedział i zabrał się do przygotowania kolejnego.

Cierpliwie czekałem, aż skończy. Postawił przede mną kolejną szklankę piwa.

– Zmieniłem zdanie, kiedy zdałem sobie sprawę, że jestem tak samo śmiertelny jak wszyscy. Leżałem w Epworth, czekając na operację, i myślałem o tym, że jeśli umrę, pieprzony Lance Pitman przyjdzie na mój pogrzeb. Obiecałem sobie wtedy, że jeśli z tego wyjdę, powiem całemu światu, jaki z niego drań. Nawet jeśli zaszkodzę tym partii, bez względu na wszystko. Jeśli nikt go nie zdemaskuje, z czasem będzie coraz gorzej.

– Istnieją jakieś dowody na to, że bierze łapówki?

– Pewnie tak, ale będziecie musieli je znaleźć na własną rękę. Pozwól mi dokończyć.

Wyglądało na to, że nieźle się już wstawił. Powieki same mu się zamykały. Potrząsnął głową, aby odpędzić senność.

– Mniej więcej rok po Baygate gość z departamentu, który mi wtedy pomógł, namówił mnie, żebym uchylił decyzję niekorzystną dla firmy o nazwie Hexiod Holdings. Zamierzali zbudować centrum handlowe w Apsley. Zainwestowali kilka milionów. O to samo błagał tamtejszy reprezentant do parlamentu, który niemal sypiał w moim gabinecie, i facet o nazwisku Massey. Dix Massey. Znasz?

– Hoduje konie wyścigowe.

– To też. Poza tym jest przydupasem i gorylem szefa Charis Corp. Wróćmy do sprawy. Kilka miesięcy później ten sam gość, Bleek, przyszedł do mnie na rozmowę. Pocił się jak mysz. Chciał powierzyć mi jakąś tajemnicę, w zamian jednak żądał nietykalności.

Pixley wypił jednym haustem resztę dżinu.

– Powiedziałem, że pomyślę o tym, kiedy się już dowiem, z czym przyszedł. Odmówił. Drań domagał się rozgrzeszenia, zanim jeszcze wyznał grzechy. Przez jakiś czas przerzucaliśmy się argumentami, w końcu odesłałem go do domu. Miał przemyśleć sprawę i wrócić następnego dnia. Wrócił, owszem, ale z przeprosinami. Mówił, że bierze jakieś leki i że czasem ponosi go wyobraźnia, bo jest przepracowany i żyje w ciągłym stresie. Wziął urlop zdrowotny. Nigdy już nie wrócił do pracy. Przeszedł na wcześniejszą emeryturę. Jego noga nie postała więcej w budynku departamentu. Dziś nie żyje. Zabił się mniej więcej sześć miesięcy po naszej rozmowie.

– Coś go łączyło z Pitmanem?

Wzruszył ramionami.

– Sam sobie odpowiedz. Pamiętasz, która firma nie mogła się doczekać, żeby kupić Hoagland?

– Hexiod Holdings.

Skinął głową.

– Zgadza się. A następnego dnia sprzedała ziemię firmie Charis Corporation.

– Postawmy sprawę jasno – powiedziałem. – Z tego wynika, że Pitman zamknął Hoagland, żeby sprzedać je Hexiod, która z kolei przekazała ją Charis?

– Myśl, co chcesz. – Pochylił się do przodu. – A pamiętasz, kto w końcu zbudował Baygate?

– Charis?

– Szybko się uczysz. Zgadza się. Pojawiła się dosłownie znikąd, a po dziesięciu latach była już jedną z największych w tym stanie firm deweloperskich. Cuda i dziś się zdarzają. Zwłaszcza, że teraz Pitman jest ministrem planowania. Chłopcy starego Joego Kwitny'ego nieźle się obłowią. Charlesowi i Andrew musi się udać. Założę się, że jeszcze trochę, a wcisną do parlamentu tego starego pedała, ojca Gormana.

Przypomniało mi się, jakie peany wygłaszał ojczulek na cześć

hojnego donatora, Josepha Kwitny'ego.

– Coś ich łączy?

– Kwitny wspiera tę jego bzdurną fundację. A Dix Massey jest jednym z jej dyrektorów, czy jak ich tam nazywają.

Pixley znów się rozkaszlał. Kiedy wreszcie udało mu się uspokoić oddech, odepchnął od siebie szklankę. Wyglądał na wykończonego.

– Dość się nagadałem, Jack. Pora zjeść sałatę i grzecznie się zdrzemnąć w łóżeczku.

Wstałem.

– Jeszcze jedno – przypomniałem sobie. – Co ze śmiercią Anne Jeppeson?

– Szczęściarz Pitman miał fart, co? A może trochę szczęściu dopomógł? Tego sam musisz się dowiedzieć. Wpadnij jeszcze kiedyś.

Wychodząc, podziękowałem mu za rozmowę. Po drodze do bramy zobaczyłem Jackie Pixley. Stała nad zatoką i patrzyła w wodę. Powiedziałem jej do widzenia. Odburknęła coś, nawet nie odwracając głowy.

* * *

Siedzieliśmy przed kominkiem w domu, w którym wychowała się Anne Jeppeson, i piliśmy herbatę z chińskich porcelanowych czarek ze wzorem w różyczki. Pokój sprawiał wrażenie bardzo wygodnego – wypełniały go znakomitej jakości meble, które kupuje się raz na całe życie. Na zewnątrz padało. Typowa dla Melbourne mżawka moczyła duży ogród i wypełniała serce swoim szarym smutkiem.

– Przykro mi, że poruszam tak bolesny dla pani temat – powiedziałem. Mówiłem poważnie. Wiedziałem, że ten rodzaj żalu i strachu żywią tylko ci, którzy sami mają dzieci.

Pani Jeppeson potrząsnęła głową.

– Gorzej i tak już nie będzie.

Miała sześćdziesiąt kilka lat, krótkie włosy i nieobecne spojrzenie. Była szczupła i nadal piękna. Wyglądała tak, jakby za chwilę miała wyjść i zająć się ogrodem. Dżinsy, koszula i kamizelka leżały na niej jak ulał. Całość dopełniały krótkie kozaczki.

– Czasem nawet cieszę się, że mogę z kimś o tym pomówić – podjęła po chwili. – Mąż unika rozmów. Ale myśl o śmierci Anne i tak zawsze nam towarzyszy.

– Często ją pani widywała?

– Nie tak często, jakbym sobie tego życzyła. Miała własne sprawy i własnych przyjaciół. Ale zawsze przyjeżdżała na niedzielne obiady, jeśli nie na każdy, to przynajmniej na co drugi. Tutaj albo do naszego domu nad morzem w Portsea. Tamtego lata spędziła tam z nami kilka dni. Był też syn z rodziną. Mieszkali wtedy w Hongkongu. Pracuje w bankowości, jak ojciec.

Spojrzała w okno. Kilka przemoczonych wróbli stukało dziobami o płytki tarasu.

– Czy zima pana przygnębia?

– Bardzo. Nie rozgrywa się wtedy meczów. Anne też lubiła futbol. Kibicowała drużynie Richmond. Tygrysom. W naszej rodzinie tylko

ona się tym interesowała. Mąż zawsze udawał przy znajomych. Do dziś nie wiem dlaczego. Pewnie większość mężczyzn tak robi. Zimą staram się jak najczęściej przebywać na świeżym powietrzu. Nie przeszkadza mi zła pogoda.

– To pomaga?

– Nie jestem pewna. Musiałabym się zatrzymać, żeby to sprawdzić. Dlaczego pyta pan o śmierć Anne?

– Istnieje możliwość, że kierowca, który został skazany, wcale jej nie potrącił.

Nie zareagowała.

– Napije się pan jeszcze trochę herbaty? Chętnie sobie doleję.

– Bardzo proszę. Jest wyjątkowo smaczna.

Nalała herbaty do dwóch filiżanek.

– Proszę wziąć jeszcze ciastko. Domowej roboty. Co prawda sama ich nie piekę, ale kupiłam je podczas kościelnego festynu. Nie potrafię się zmusić, żeby chodzić na msze, staram się jednak bywać na takich imprezach i nadal wspierać Kościół. Zwykle kupuję mnóstwo jedzenia, które się potem marnuje.

Poczęstowałem się ciastkiem.

– Pamięta pani, co się działo na krótko przed…

– Śmiercią Anne? Nie widziałyśmy się przez dwa tygodnie. W niedzielę zadzwoniła aby powiedzieć, że nie przyjedzie na obiad. O sprawie tego osiedla komunalnego zrobiło się głośno, więc często oglądaliśmy ją w telewizji. Mąż był z niej dumny, choć to ukrywał. Kiedy organizowała squaty w pustostanach, nie sądziliśmy, że wyrośnie z niej coś dobrego.

– Nie rozmawialiście z nią o Hoagland?

– Przez telefon wspomniała o nim kilka razy. Zaledwie parę słów. Może trochę więcej. Była bardzo gadatliwa. Szybko zapalała się do pomysłów, nie wchodząc w szczegóły. Kiedy miała trzynaście, czternaście lat, wiedziała wszystko na temat każdej represjonowanej grupy etnicznej na świecie. Męża doprowadzało to do szału. Złożył

nawet skargę na nauczyciela, który jego zdaniem, zaszczepiał dziewczętom niewłaściwe idee. Toczył z córką zażarte spory polityczne, bo mieli skrajnie różne poglądy. Kiedy zaś Anne nie kłóciła się z ojcem, wdawała się w spór z bratem. Uwielbiała go drażnić. Syn bardzo przypomina męża. Ma dość konserwatywne poglądy. On z kolei nazywał Anne anarchistką. To zabawne, jak różne są dzieci z jednego domu. Ma pan dzieci, panie Irish?

– Jedno.

– Żałuję, że nie mam dziesięciorga, z których najstarsze i najmłodsze dzieliłoby dwadzieścia lat różnicy. Niecodzienny pomysł, prawda?

– Nie.

Uśmiechnęła się.

– Dyplomata z pana.

Uznałem, że nadszedł właściwy moment.

– Czy zna pani powód, dla którego ktoś chciałby zabić Anne?

Odstawiła spodek i filiżankę. Przez chwilę patrzyła na mnie twardo. Miała w sobie siłę kogoś, komu na niczym już nie zależy.

– Sugeruje pan, że moja córka została zamordowana?

– Tak. Istnieje taka możliwość.

Uciekła spojrzeniem w bok.

– Nie wiem już, co myśleć. Kto posunąłby się do takiej zbrodni? Policja nigdy nie…

– Jak wspomniałem, to tylko jedna z możliwości. Niestety, zarówno kierowca, jak i główny świadek w jego procesie zostali ostatnio zastrzeleni. Ich śmierć dzieli zaledwie dziesięć dni.

– Czy wszczęto dochodzenie?

– Nie w sprawie śmierci Anne.

– Czyli jej zabójstwo to pański pomysł?

– Najpierw zainteresowała mnie zagadkowa śmierć mojego klienta. Po drodze trafiłem na inne fakty. Możliwe, że śmierć pani córki jest kluczem do szeroko zakrojonej intrygi.

Popatrzyła na mnie z powątpiewaniem.

– Nie wiem, jak panu pomóc, panie Irish. Mam wrażenie, że to zadanie dla policji.

– Jeszcze nie. Czy jest ktoś, komu Anne szczególnie ufała? Ktoś, komu by się zwierzyła, gdyby bała się o swoje życie albo gdyby ktoś jej groził?

– Pewnie ludzie, z którymi tworzyła program „Mieszkanie dla każdego". Bardzo się z nimi zżyła, choć żadne z nas nigdy ich nie poznało. – Przez chwilę o czymś myślała. – Tak. Pamiętam, że kiedyś rozmawiałyśmy o jej poczuciu bezpieczeństwa. Chyba na przyjęciu z okazji naszej rocznicy ślubu. Anne powiedziała wtedy, że wszędzie czuje się bezpieczna, bo zawsze chodzi za nią ktoś ze specjalnych.

– Ze squatów, które tworzyła?

– Myślę, że po prostu użyła takiej przenośni. Wspomniała też wtedy o właścicielach kopalni, którzy oszukują Aborygenów, ale przyznam szczerze, że puściłam to mimo uszu. Anne zawsze bardzo przejmowała się prawami innych. Mąż uważał, że w ten sposób buduje swoją legendę.

Na tym skończył mi się zapas pytań. Podziękowałem pani Jeppeson za jej czas. Odprowadziła mnie do wyjścia. Korytarz był dość szeroki, szliśmy więc obok siebie. Na jednej ze ścian zauważyłem obrazy australijskich malarzy z lat trzydziestych i czterdziestych: krajobrazy, sceny rodzajowe, spalone słońcem twarze mieszkańców wnętrza kraju. Rozpoznałem dzieła Grunera i Tidmarsha. Naprzeciwko nich wisiały rodzinne fotografie.

Stojąc przy frontowych drzwiach, przyjrzałem się jednemu ze zdjęć. Uwieczniono na nim cztery piętnasto-, szesnastoletnie dziewczyny w szkolonych mundurkach. Wszystkie miały buzie pełne powagi, dwie były blondynkami, a dwie brunetkami. Podpis głosił: Grupa dyskusyjna „Coniston Ladies", 1976.

Odczytałem nazwiska. Anne Jeppeson stała pierwsza z prawej. Miała jasne, buntowniczo potargane włosy i zadarty nosek. Obok niej

stała jedna z brunetek.

Nazywała się Sarah Pixley.

– Anne uwielbiała dyskusje – powiedziała pani Jeppeson. – Mąż nigdy nie chodził na jej debaty.

– Czy to przyjaciółka Anne? – Wskazałem na Sarah Pixley.

Pani Jeppeson pogładziła fotografię.

– Sarah Pixley. Przyjaźniły się w szkole. Miały wiele wspólnego. Jej ojciec był politykiem. Nienawidziła go. Kiedy skończyła szkołę, zmieniła nazwisko na panieńskie matki. Życie bywa okrutne wobec rodziców.

– To prawda, pani Jeppeson. Święta prawda.

Odjechałem ulicą, nad którą splatające się ze sobą nagie gałęzie wiązów i dębów tworzyły ażurowy namiot. Pomiędzy krzewami widziałem kolorowe karoserie bmw i saabów stojących na brukowanych podjazdach. Trochę trwało, nim udało mi się znaleźć miejsce, w którym serwowano hamburgery. Byłem głodny jak wilk.

Hamburger przyrządzano tu w starym stylu: spłaszczona mocno bułka, na niej przypalony kotlet z plastrem zimnego pomidora i zwęglona cebula. Co ciekawe, przygotował go świeżo przybyły obywatel naszego pięknego kraju – młody Wietnamczyk z kilkoma kolczykami w jednym uchu, w czapce w kolorach Richmond. Nieźle mu to wyszło. Zza chmur wyjrzało nieśmiało słońce. Kładło mi się na kolanach jasną plamą, kiedy siedziałem w samochodzie, jedząc hamburgera i obserwując, co się dzieje w miejscowym parku. Dwaj chłopcy w mundurkach miejskiej szkoły podstawowej odliczali pieniądze, kładąc je na dłoń młodziana o długich włosach zaczesanych w kitkę, ubranego w za dużą skórzaną kurtkę. Pewnie tak dziś wyglądają zadania z matematyki, pomyślałem kwaśno.

Skończyłem jeść. Nagle poczułem dziwaczną potrzebę, by sprawdzić, co słychać w Hoagland. Ruszyłem Malvern Road w kierunku St. Kilda Road. Przy parku Alberta skręciłem w Kings Way, a potem King Street dojechałem do granic dzielnicy handlowej.

Zatrzymałem się na światłach, czekając na skręt w Dudley Street. Nagle podbiegł do mnie włóczęga w fioletowym dresie z poliestru, z klubowym szalikiem FC Fitzroy owiniętym wokół szyi. Zapukał w okno po stronie pasażera. Odchyliłem się na siedzenie, żeby je otworzyć.

– Wspomóż nędzarza, który szuka pracy – poprosił. Miał długą, wąską twarz, głęboko osadzone oczy i wielki nos. Wyglądał jak chłopak ze wsi, który zagubił się w wielkim mieście na czterdzieści lat.

Wyciągnąłem pięć dolarów i podałem mu.

– Do boju, Roysi.

– Jesteś pan księciem pośród śmiertelników! – zawołał. – Do boju, Roysi!

Przyszłe centrum handlowe Yarra Cove wydawało się znacznie większe, niż to wynikało ze zdjęć w komputerze Gerry Schuster. Zaparkowałem przy drewnianej platformie obserwacyjnej nieopodal jednej z trzech bram prowadzących na plac budowy. Stał przy niej krzepki facet w ciemnym kombinezonie z czerwoną naszywką „straż" na ramieniu i rozmawiał z kierowcą pick-upa, który pewnie chciał wjechać dalej.

Ponure zwały szarego błota przemierzało ze dwadzieścia koparek, przypominających żółte insekty. Przynajmniej tyle samo ciężarówek krążyło wokół po tymczasowo wytyczonych drogach. Koła grzęzły w gliniastej ziemi, w powietrzu czuło się smród spalin.

Po osiedlu Hoagland nie został nawet ślad. Patrzyłem na plac budowy z wysokości dziesięciu metrów kładki. Po pewnym czasie zacząłem dostrzegać prawidłowości, z jakimi poruszały się maszyny. Większość żłobiła głębokie koleiny szerokości ulic, spychając nadmiar ziemi od nabrzeża w głąb lądu. Wszystkie zagłębienia prowadziły do owalnego placu, nieco większego od boiska futbolowego, wyznaczonego przez żółte nylonowe taśmy przewleczone przez ucha metrowej wysokości stalowych igieł, wbitych w glinę w regularnych

odstępach. W samym środku tego placu wznosiło się małe miasteczko baraków dla budowlańców. Możliwe, że w przyszłości będzie się tu mieścić owalna marina dla jachtów połączona z zatoką kanałami wytyczanymi teraz przez spychacze. Budynki Hoagland stały zapewne tam, gdzie drobny robotnik odkopywał teraz rury kanalizacyjne.

Poruszony ogromem inwestycji, stałem i obserwowałem krążące po placu maszyny, które wyły i warczały, jechały naprzód i zawracały, ryły i kręciły się w kółko. Lekki wiatr znad rzeki rozwiewał kłęby szarych spalin. Wszystko to dowodziło potęgi człowieka i jego narzędzi, które brutalnie zmieniały krajobraz.

O to w tym chodziło.

O pokaz siły.

Anne Jeppeson myślała, że zdobyła władzę nad bezduszną biurokracją. Pokonała ją natomiast siła pieniędzy.

Zginęła, żeby ktoś mógł zbić fortunę, realizując marzenia bogaczy, którzy chcieli cumować łodzie tuż pod drzwiami własnych rezydencji.

Nagle z przerażającą jasnością zrozumiałem, że moje prywatne śledztwo w sprawie śmierci Danny'ego McKillopa i Anne Jeppeson nie ma absolutnie żadnego znaczenia. Nic już nie zmieni tego, co się wydarzyło, nikt za to nie zapłaci. Anne, Danny, Ronnie Biskop, doktorek i ja – wszyscy byliśmy zaledwie nieistotną przeszkodą.

Miałem ochotę zakląć siarczyście na wiatr, na platformie jednak był ktoś jeszcze. Szczupły mężczyzna z krótką siwą brodą i rzadkimi kosmykami siwych włosów, wymykającymi się spod czapki. W dłoni trzymał otwartą puszkę piwa. Patrząc na mnie, opróżnił ją i wyrzucił przez ramię.

– Pieprzona dziura – mruknął. – Dawno powinni byli zrównać ją z ziemią. – Wyciągnął zza pazuchy kurtki drugą puszkę i otworzył ją z sykiem.

Zapadał zmierzch, kiedy wreszcie zaparkowałem na ulicy przed biurem. Wsuwałem właśnie klucz do zamka, kiedy wyczułem, że ktoś

za mną stoi.

– Pan Irish? – usłyszałem przyjazny głos.

Odwróciłem się. Dwóch mocno zbudowanych facetów w ciemnych garniturach. Ten, który się odezwał, wyciągnął przed siebie odznakę w skórzanej oprawie.

– Sierżant wydziału śledczego James. Komisarz chciałby zamienić z panem słowo, jeśli to możliwe.

– Nie dzisiaj. Niech umówi się na spotkanie.

– Jeśli pan odmówi, będę musiał pana aresztować – wyjaśnił mi, nadal przyjaźnie.

– Pod jakim zarzutem?

– Jest ich kilka, w tym utrudnianie śledztwa.

– W jakiej sprawie?

– Dwóch zabójstw.

Wyszło na to, że w moim napiętym kalendarzu znajdzie się chwila dla komisarza. Potulnie wsiadłem na tylne siedzenie ich szarego forda. Żaden z nas się nie odezwał. Dopiero gdy zrozumiałem, że nie jedziemy na komisariat, przerwałem milczenie.

– Dokąd mnie wieziecie?

– Na Collins Street.

Stanęliśmy przed hotelem Hyatt. Kierowca pokazał strażnikowi kartę. Pojechaliśmy na parking podziemny. Auto zatrzymało się w zarezerwowanej strefie tuż obok windy.

– Idziemy – rzucił James.

Wjechaliśmy windą na dwunaste piętro. Drzwi się otworzyły. Kierowca wyszedł pierwszy.

– Proszę – zachęcił mnie James. – Pokój numer siedem.

Ruszyłem śladem pierwszego gliniarza szerokim korytarzem utrzymanym w uspokajających tonacjach szarości i różu. Gość minął drzwi, wskazując mi je palcem, po czym poszedł dalej. Zapukałem, patrząc w górę na lśniący numer siedem. Gliniarz uszedł jakieś dziesięć metrów w głąb korytarza. Odwrócił się i zaczął mnie

obserwować. James czekał przy windzie, rozglądając się po ścianach.

Drzwi otworzył facet w jasnej koszuli, od której wyraźnie odcinały się czerwone szelki. Krawat miał poluzowany, w ręku trzymał drinka.

– Proszę wejść, panie Irish – powiedział. W tym momencie skojarzyłem twarz. Stałem oko w oko z ministrem policji, Garthem Bruce'em.

Apartament, tak jak korytarz, utrzymany był w kolorach szarości i różu. Niewielki przedpokój prowadził do obszernego salonu umeblowanego replikami mebli z epoki rewolucji francuskiej. Na stole pod ścianą stały butelka whisky Johnny Walker w srebrnym kubełku z lodem, karafka wody i kieliszki z rżniętego kryształu. Pomiędzy szczelnie zasłoniętymi oknami na niewielkim biurku leżała otwarta teczka na dokumenty.

– Dziękuję, że zechciał się pan zjawić – powiedział Bruce. – Przepraszam za tę eskortę. Napije się pan whisky?

Podziękowałem uprzejmie.

Odstawił szklankę na stolik. Obrócił się w moją stronę. Był wielki, znacznie wyższy i potężniejszy, niż się to wydawało w telewizji. Uprawiał kiedyś boks. Wokół oczu miał niewielkie blizny, których nie było widać na ekranie. Charakteryzatorki znały się na swoim fachu.

– Zachowujmy się jak kulturalni ludzie, Jack. – I znów polityk mówił mi na ty, żeby uspokoić moje obawy. Na próżno zresztą. – Napij się ze mną. Nie pożałujesz. Co ci podać?

Poprosiłem o whisky z wodą. Przygotował dwa drinki – dla mnie i dla siebie. Podał mi szklankę. Usiedliśmy w odległości metra od siebie. Pociągnął solidny łyk alkoholu.

– Tak lepiej. – Westchnął. – Miałem dziś ciężki dzień. Wykończą mnie ci politycy. Wygrywam jedno starcie, przegrywam dziesięć.

Wyciągnął papierosa i podsunął mi zmiętą paczkę. Pokręciłem przecząco głową.

Bruce zapalił, zaciągnął się i wypuścił ustami długą, cienką smużkę

dymu. Strzepnął papierosa mniej więcej w kierunku popielniczki. Popiół opadł powoli na dywan. Bruce rozsiadł się wygodniej w fotelu i opuścił luźno ramiona.

– Ponoć rozpytujesz o stare sprawy. O to, co się wydarzyło dziewięć, dziesięć lat temu. To prawda?

– Kto tak twierdzi?

Znowu pociągnął tęgi łyk whisky. Nie spuszczał ze mnie oka. W jego źrenicach dostrzegłem bezgraniczny smutek.

– Powiem ci coś. Mam niewiele czasu. Nie zamierzam się z tobą cackać. Kiedy dostałem tę robotę, mianowałem nowego komisarza i jego zastępcę. Od razu też oświadczyłem im, że żarty się skończyły. – Pochylił się w moją stronę. – Przez prawie dwadzieścia lat byłem gliną. Wiem, jak działa system i co się w nim dzieje. Nic się przede mną nie ukryje. Nowi szybko zdają sobie sprawę, że nie rzucam słów na wiatr. Gliniarze od lat wciskają kit politykom. Mnie nie, bo nie pozwalam się wodzić za nos. Dlatego właśnie premier dał mi ten stołek.

Znów zaciągnął się papierosem. Przyjrzał mi się uważnie. Cisza i jego ciężki wzrok działały mi na nerwy. Doskonale o tym wiedział. Nie na darmo przez dwadzieścia lat był gliną.

– Kiedy Danny Mckillop zginął za Trafalgarem – podjął – pogrzebałem w aktach. Po uszy mam kolesi, którym się wydaje, że są Brudnym Harrym. Wiesz, tym gościem z filmu. Ja przez dwadzieścia lat służby strzeliłem trzy razy. Tylko do fiutków, którzy we mnie mierzyli.

Rozparł się w fotelu, zgasił papierosa i włożył ręce do kieszeni.

– Czytałem zeznanie żony McKillopa o tym, że kilka dni przed śmiercią ktoś go nastraszył i że ktoś już ją o to pytał. Pogadałem z komisarzem. Dostałem od niego akta sprawy Jeppeson, protokoły procesu i raport o zaginięciu Bishopa.

Wstał. Wyjął kolejnego papierosa. Zapalił i podszedł do okna.

– Zaraz będę musiał się zbierać, przejdźmy więc do rzeczy.

Wszędzie, gdzie dotarli ludzie komisarza, trafiali na twój ślad. Dałeś forsę Vinowi McKillopowi, pojechałeś do Perth, gadałeś z ludźmi, do których i oni dotarli.

Obrócił głowę i popatrzył mi w oczy.

– Bardziej jednak martwi mnie fakt, że pojechałeś do lasu pod Daylesford – powiedział cicho. – Wytarłeś do czysta wszystkie odciski. Być może również te, które należały do zabójcy Bishopa i jego kumpla ćpuna.

Popatrzył w ciemność za oknem.

– Sprawa zrobiła się poważna. I wiesz o tym bardzo dobrze, Jack.

Wiedziałem, że ta chwila nadejdzie, co wcale nie oznaczało, że się na nią przygotowałem. Nie miałem pojęcia, jak się zachować. Bruce się odwrócił. Blask światła sprawił, że zalśniła mu skóra na czole, a spomiędzy rzednących włosów ukazała się łysinka.

– Nie dojechałem do domu doktora – zaryzykowałem. – Zgubiłem się.

Posłał mi wszechwiedzący uśmiech gliniarza.

– Bzdura, Jack. Jeśli zamierzałeś trzymać się tej wersji, powinieneś był zmienić opony auta, które pożyczył ci Col Boon. Zostawiły sporo charakterystycznych śladów.

Podszedł do fotela i usiadł ostrożnie.

– Zachowałeś się jak idiota. Komisarz chce cię postawić w stan oskarżenia. Na szczęście, najpierw zasięgnął mojej opinii. Dlatego właśnie siedzisz tutaj, a nie w miejskim areszcie.

Patrzyliśmy na siebie w milczeniu. Stojący na kominku niewielki zegarek odmierzył pół godziny. W pokoju rozległ się srebrzysty dźwięk.

Bruce podniósł szklankę, przyjrzał się jej pod światło, po czym obrócił ją kilka razy między wielkimi owłosionymi dłońmi.

– Znałem gnoja, który zabił ci żonę – powiedział, nie podnosząc głowy. – Nazywał się Wayne Milovich. Znaliśmy go od lat. Zawsze był śmiertelnie groźny. Nie należało spuszczać go z oczu.

Nie miałem pojęcia, co odpowiedzieć, więc znów zapadła cisza. Bruce nadal obracał szklankę.

– Kiedyś jeden drań strzelił do mojej córki. Stała w kuchni przy lodówce. Kula musnęła jej włosy, przeszła przez szafkę i ścianę. Nie mogłem go za to przyskrzynić. Nazywał się Freely. Mimo że wiedziałem, że to on, cała jego rodzina, pięćdziesiąt osób, oświadczyło, że w tym czasie siedział z nimi i oglądał telewizję. Nie udało mi się nic z nich wydusić, choć bardzo chciałem.

– Nigdy o tym nie słyszałem.

– Trzymaliśmy to w tajemnicy. Żeby nie zachęcać innych.

Wstał, odebrał mi szklankę i zrobił nam po jeszcze jednym drinku. Kiedy się odwrócił, szorstkim głosem powiedział:

– Miała wtedy szesnaście lat. Bardzo to przeżyła. Zmieniła się. Straciłem z nią kontakt. Jej matka też. Zaczęła ćpać i pić na umór. Co jakiś czas lądowała na odwyku. Podcięła sobie żyły, łykała co popadło. Znaleziono ją na plaży dzień przed świętami. Następnego dnia obchodziłaby urodziny. Dwudzieste pierwsze. To była moja wina, przynajmniej żona tak uważała. Nigdy mi tego nie wybaczyła.

Popatrzyłem na jego potężne ramiona, na sposób, w jaki je teraz trzymał.

– Nie można winić się za postępki szaleńców. Z takimi nigdy nic nie wiadomo. – Miałem wrażenie, że powiedziałem to o wiele za głośno.

– Ja wiedziałem, co się wydarzy – powiedział bez emocji. – Facet mnie uprzedził. Staliśmy przed gmachem sądu. Kazał mi pilnować rodziny, bo coś im się może przytrafić. Odparłem, że taki tchórzliwy gnojek jak on nie miałby dość jaj, żeby im zagrozić. Wyśmiałem go. Był mały i chudy. W życiu nie posądziłbym go o taką mściwość.

Podał mi szklankę. Wstałem i przyjąłem ją. Staliśmy naprzeciwko siebie. Żaden z nas nie wiedział, jak się zachować. Nie patrzyliśmy sobie w oczy. Mieliśmy jednak wrażenie, że coś nas łączy. Teraz już wiedziałem, dlaczego nie trafiłem do aresztu.

– Zdrowie – powiedział.

– Zdrowie.

Napiliśmy się.

– Milovich nigdy się nie odezwał?

– Nie. A nawet gdyby, wziąłbym to za zwyczajowe pogróżki szaleńca. Nie przejąłbym się. I nic bym z tym nie zrobił.

– Ostrzegłbyś żonę?

Potrząsnąłem głową.

Bruce przytaknął w milczeniu. Dopił resztę drinka i otarł usta wierzchem dłoni.

– Widziałeś się z McKillopem po tym, jak wyszedł z pudła po odsiadce?

– Nie.

– Usłyszałeś o strzelaninie i tak po prostu zacząłeś węszyć?

– Nie. Kilka dni spędziłem poza miastem. Kiedy wróciłem, na automatycznej sekretarce czekała na mnie wiadomość od niego. Nie pamiętałem nawet jego nazwiska. Powiedział, że będzie na mnie czekać przed Trafalgarem. Niestety, odsłuchałem to dopiero następnego dnia.

– Co mówił?

– Że ma kłopoty. I że się boi.

– Rozmawiałeś z jego żoną?

– Tak.

– Powiedziała ci o dziwnym telefonie i o tym, że Danny nie zabił Anne Jeppeson?

Skinąłem głową.

– Pomyślałeś, że coś jest na rzeczy?

Znów przytaknąłem.

Bruce potrząsnął głową.

– A Vin McKillop? Pomógł ci rozwiązać zagadkę?

Wzruszyłem ramionami, nie mówiąc ani słowa. Popatrzył na mnie uważnie.

– Nie baw się ze mną w dobrego prawnika i złego glinę, Jack – mruknął. – Jeśli ci nie pomogę, otworzysz kancelarię w Somalii albo na innym zadupiu.

Nie zamierzałem się z nim sprzeczać.

– Któryś z kumpli Vina widział Danny'ego daleko od auta, i to zalanego w pestkę, ledwie na dwadzieścia minut przed wypadkiem. Co więcej, rozmawiał z nim wtedy glina o nazwisku Scullin. Ponoć Danny był jego szpiclem.

Bruce westchnął i potrząsnął głową. Podszedł do biurka i wyciągnął z teczki papierową aktówkę. Pomachał mi nią przed nosem.

– Nie mogę ci tego pokazać – powiedział. – Ale powiem ci, co tu jest.

Usiadłem.

– To nie Danny szpiegował dla Scullina tylko Vin. Wierzył, biedny dureń, że zapewni mu to nietykalność. Kiedy więc przymknęli go za handel narkotykami, i to na niemałą skalę, powołał się na Scullina i opiekę policji. Scullin się wściekł i go pogonił. Vin odsiedział cztery lata, ale to go nie zniechęciło. Uczepił się Scullina jak rzep. Miał na jego punkcie obsesję.

– Co z tego?

Bruce postukał w teczkę.

– To Vin napasł Danny'ego bzdurami o tym, że jest niewinny i że Scullin go wrabia. Danny z całą pewnością siedział wtedy za kierownicą. Vin jednak liczył, że jego kuzyn się wścieknie i załatwi Scullina.

Przez chwilę nad tym myślałem. Bruce usiadł, ostrożnie siadając na brzegu fotela. Zapalił papierosa.

– Jest coś jeszcze.

Czekałem.

– Broń, którą Danny miał przy sobie na parkingu.

– Którą, jak twierdzą gliniarze, miał przy sobie.

– Zabito z niej Ronniego Bishopa i jego kumpla doktorka

w Daylesford.

Tę informację też musiałem przetrawić.

– Wiesz, co to oznacza? – Bruce oparł teczkę na kolanie i wsunął ją sobie pod brodę.

Do głowy przyszedł mi pewien pomysł.

– Ty mi powiedz.

– Danny miał zamiar cię zabić. Ciebie, Ronniego Bishopa i Scullina. Dobrze, że wtedy nie odsłuchałeś wiadomości, bo już by cię tu nie było. Pamiętał, że pomogłeś go wsadzić.

Zaschło mi w ustach. Skończyłem drinka, wstałem i otworzyłem butelkę wody. Trudno jest przyjąć do wiadomości, że nie doszło się do oczywistych wniosków.

– A co z doktorkiem? Kiedy dał się wplątać w tę intrygę?

– Znalazł się w złym czasie w złym miejscu. Tak po prostu. Ale powiedz mi coś. Hillier wypytuje o sprawę Yarra Cove. O co w tym chodzi?

– Pewnie i tak sporo wiesz.

– Będę z tobą szczery. Yarra Cove to bardzo delikatny temat. Premier reaguje wybitnie alergicznie. Czego szuka Hillier?

– Niestety, nie wiem. Nie wtajemniczyła mnie.

Bruce wstał i rozprostował plecy, podpierając je wielkimi dłońmi. Podszedł do biurka i zaczął chować papiery do teczki.

– Idź już. Kolesie, którzy cię przywieźli, odstawią cię do domu. Zostaną ci postawione zarzuty. Powodzenia.

Nigdzie się nie wybierałem. Nie miałem ochoty wracać ani tym bardziej opowiadać swoich naiwnych teorii w sądzie. Byłbym szczęśliwy, gdyby już nikt nigdy nie nazwał mnie prawnikiem.

– Linda myśli, że Hoagland zamknięto głównie po to, żeby połączyć w całość grunty pod budowę Yarra Cove. Doprowadził do tego Lance Pitman, który dogadał się z deweloperami. Jego kumple od lat skupowali okoliczne działki i kombinowali, jakby najwięcej na nich zarobić.

Bruce postawił teczkę na blacie.

– Sama na to wpadła?

– Rozmawiałem z Kevinem Pixleyem. Zależy mu na utrąceniu Pitmana.

Przyjrzał się swoim rękom na teczce.

– Rany, Jack – mruknął. – Wiesz, kto jest największym szalbierzem na ministerialnym stołku w naszym stanie?

– Kandydatów nie brakuje.

– Nie. Zwycięzcę widać jak na dłoni. Kevin pieprzony Pixley. A ty mi mówisz, że ty i ta baba z gazety uwierzyliście na słowo gościowi, który siedzi w kieszeni większości tutejszych deweloperów. Widziałeś jego dom? Powiedział ci o mieszkaniu w Portsea? O sześciopokojowym domku letniskowym w Port Douglas? Wcisnął ci kit o chorym wujku? A może o bracie, starym dobrym Walu Pixleyu, który miał świetnego nosa i zawsze wiedział, gdzie kupić działkę, i to bardzo tanio, zanim oferenci wywindują cenę pod sufit?

Napiłem się wody.

– Powiem ci coś o Hoagland – ciągnął tymczasem Bruce. – Wiem wszystko o tej dziurze. O jej zamknięciu zdecydowano na osiemnaście miesięcy przed pierwszym posiedzeniem gabinetu w tej sprawie. Wiedziały o tym trzy osoby. Premier, Pitman i Pixley. Połączenie gruntów nad wodą wymyślił jednak Pixley. Dogadał się ze swoimi kolesiami, sprytnymi budowlańcami, i kazał im skupować ziemię nad zatoką. Potem zaczęło się robić gorąco, bo Pixley zażądał za pomoc sporo forsy. Zamarzyły mu się wakacje na południu Francji. Kolesie się zbuntowali. Nie zamierzali płacić, póki nie dostaną gwarancji, że uda im się dobrze sprzedać ziemię. Pixley się wściekł. Zagroził, że go popamiętają. I wtedy został ministrem. Nie chciał nawet słyszeć o zamknięciu Hoagland. Znalazł sobie sojuszników. Dzięki córce dogadał się z Anne Jeppeson. I puścił w obieg plotkę, że osiedle zostanie zlikwidowane.

– Wszystko albo nic? A wyglądał na rozsądnego gościa.

– To był dobry ruch, bo kolesie się złamali. Zapłacili, ile żądał, byleby tylko uspokoił nastroje w gabinecie. Dał im to, czego chcieli. Wyciszył protesty rządowe. A potem los się do niego uśmiechnął, bo Danny McKillop zalał pałę i wybrał się na przejażdżkę. Koniec protestów na zewnątrz.

– Dlaczego więc sprzeciwił się sprzedaży ziemi? Nie bardzo mi to pasuje do opowieści.

– Są dwie możliwości. Po pierwsze, chciał powtórzyć przekręt z łapówkami. Zachciało mu się większego kawałka tortu i liczył, że kolesie zapłacą mu jeszcze raz. Po drugie, zabezpieczał sobie tyły. Wiedział, że wyleci z planowania, skorumpował więc cały gabinet, a przy okazji kierownika swojego departamentu Bleeka. Na szczęście, premier stracił cierpliwość. Wtedy Pixley postanowił się obłowić, a przy okazji wyjść ze sprawy z twarzą. Winą za wszystko obarczył innych.

Rozległo się pukanie do drzwi. Bruce poszedł otworzyć. Zamknął za sobą drzwi do przedpokoju. Siedziałem spokojnie, sącząc wodę. Myślałem o Pixleyu.

Bruce wrócił i otworzył drzwi.

– Pora się zbierać. Mam umówione spotkanie. Jeśli twoja przyjaciółka, pani Hillier, pogrzebie jeszcze trochę wokół Pixleya, przejrzy jego oszustwa. Dowie się, w jaki sposób jego kolesie weszli w posiadanie działek na wybrzeżu Yarra. Zrozumie wtedy, że żaden z nich nie miał nic wspólnego z projektem Yarra Cove. Firma Charis jest czysta, sprawdziłem. Po prostu skorzystała z okazji i kupiła ziemię.

Westchnął ciężko.

– Trzeba przyznać, że tym razem Pixley wymyślił niezłą historię. Gazety będą miały używanie, a gnojki z ABC wyskoczą z uciechy ze spodni. – Popatrzył na mnie przez chwilę. – A co do ciebie, Jack… Zrobiłeś z siebie durnia, dając się nabrać na numery Danny’ego McKillopa. Zgadza się?

Wyraźnie czekał na odpowiedź, pokiwałem więc głową.

Zapatrzył się w okno.

– Mam nadzieję, że przebolejesz Milovicha. Pogadam z komisarzem. Namówię go, żeby oczyścił cię z zarzutów. Zatrze ślady tak, jak ty zrobiłeś to w Daylesford. Nie będzie o tym w aktach najmniejszej wzmianki. Nikt nie postawi ci zarzutów. Po prostu znikniesz ze sprawy.

Poczułem się tak, jakby zdjęto mi z ramion wielki kamień. Zalała mnie fala wdzięczności.

– W zamian trzymaj tę Hilier z dala od zatoki Yarra. Gdyby to ode mnie zależało, pomógłbym jej w dochodzeniu. Pixley zasłużył na kąpiel w gównie. Premier jednak uważa, że to niekorzystnie wpłynęłoby na wizerunek gabinetu. Zniszczyłoby wszystkie jego wysiłki i przekreśliło szanse w kolejnych wyborach. A wszystko przez takiego gnoja jak Pixley.

Podszedł do mnie i popatrzył mi w oczy.

– Co ty na to, Jack? Chyba nie proszę o zbyt wiele.

Wstałem.

– Porozmawiam z nią. Dzięki.

Wyciągnąłem do niego dłoń. Ujął ją oburącz.

– Dam ci swój numer. Masz długopis?

Wyjąłem notes i zapisałem w nim numer, który mi podyktował.

– Gdyby coś się działo, zadzwoń i powiedz… na przykład… John English chce rozmawiać z ministrem.

Przy drzwiach jeszcze raz uścisnęliśmy sobie dłonie.

– Nie miej wyrzutów sumienia. Zachowałeś się jak należy. Nie było innego wyjścia.

Jego dwaj podwładni odwieźli mnie do biura. Całą drogę przebyliśmy w milczeniu.

* * *

Siedzieliśmy przed kominkiem. Jedliśmy ravioli i piliśmy czerwone wino.

– Kogo miał na myśli Legge, mówiąc, że uganiałaś się z gwiazdami rocka? – spytałem.

Linda patrzyła na mnie przez chwilę z namysłem. Przeżuwała jedzenie. Lśniące włosy opadły jej na jedno oko. Miała na sobie moją starą piżamę. Przeszło mi przez myśl, że doszliśmy w naszym związku do etapu, w którym kobieta chętnie nosi ubrania swojego mężczyzny.

– W jakich okolicznościach to powiedział? – spytała.

– W dniu, w którym się poznaliśmy. Rozmawialiśmy o twoim powrocie do Melbourne. Potem Legge wspomniał coś o twoim szefie i jakiejś gwieździe rocka, a ty zrewanżowałaś mu się subtelną uwagą o jego żonie.

– Robisz dobre ravioli. – Uśmiechnęła się. – W „Age" roi się od ludzi pokroju Legge'a. Osiągnęli tam wszystko, na co ich stać, ale nie wyobrażają sobie pracy gdzie indziej. Co zrobimy, kiedy zjemy, tak w ogólnych zarysach?

– Tak w ogólnych zarysach? – mruknąłem. – Pojeździmy sobie konno.

– Konno? Będziesz mnie musiał nauczyć. Wychowałam się w mieście. – Zsunęła się z fotela i usiadła na dywanie. Spodnie opięły się na jej udach. – Czy potrzebny nam jakiś sprzęt?

– Ograniczymy się do minimum i będziemy improwizować.

– W ten sposób? – Spytała, rozpinając guziki góry od piżamy.

Dużo później dorzuciłem do ognia kolejną szczapę ze sterty leżącej nieopodal kominka. Zmierzchało. Blask płomieni sprawiał, że pokój wyglądał bardziej tajemniczo, a jednocześnie przytulniej. Siedzieliśmy obok siebie na kanapie, pogrążeni w przyjacielskim milczeniu.

– Gwiazda rocka – przypomniałem.

– Uciekłam kiedyś z frontmanem kapeli rockowej. Odeszłam od

męża i na trzy lata rzuciłam pracę. Wtedy wydawało mi się, że dobrze robię.

– Co to za kapela? Dobra chociaż?

– Niezła. Potęga Wyobraźni. Wyglądali jak na artystów i poetów przystało. Bladzi, chudzi, rozmarzeni. Osiągnęli taki efekt dzięki ścisłej diecie z koki, trawki i whisky.

Położyła mi nogi na kolanach i odchyliła się do tyłu.

– Eric niczym się nie przejmował. Powtarzał tylko: panuję nad wszystkim. Świetnie się razem bawiliśmy, Jego zespół koncertował po Europie, grali z Fruit Palace, imprezowali z Mickiem Jaggerem i Andym Warholem. Straszny z niego dupek, tak na marginesie.

– Kochałaś go?

– Do szaleństwa. Byłam bardzo młoda, choć wydawałam się sobie dojrzała. Miałam dwadzieścia trzy lata i nigdy nie wystawiłam nosa poza Melbourne. Wyszłam za mąż za lekarza, którego poznałam na uniwerku. I oto w moim życiu pojawił się ktoś niezwykły, całkowicie inny niż wszyscy znani mi ludzie. Fascynował mnie i przyciągał swoim erotyzmem. Żył w świecie, w którym nie było codziennych zakupów, brudnych naczyń, spóźnionych tramwajów, natrętnych budzików, posiłków podawanych o ściśle ustalonych porach, obiadów z teściami w każdą niedzielę. Wystarczyło, że mnie dotknął. Kompletnie straciłam głowę.

Znalazłem butelkę i rozlałem wino do kieliszków.

– Tak właśnie uganiałam się za gwiazdą. I drogo mnie to kosztowało, uwierz mi.

– Za wszystko w życiu trzeba płacić.

Pochyliła się i pocałowała mnie lekko w usta.

– Ja nie liczę sobie drogo – szepnęła. – Wystarczy mi talerz ravioli. I jeśli cię to pocieszy, też masz w sobie odrobinę erotyzmu. Przypominasz pokrytego bliznami słonia z domieszką byka.

– Sporo krówek już mi to mówiło. A teraz poważnie. Muszę ci coś powiedzieć. Całą noc o tym myślałem.

– Już? Tak szybko znalazłeś sobie inną?

– Dziś wieczorem dwóch gliniarzy odstawiło mnie do ministra policji. Wiedział, że byłem u doktorka i że powycierałem odciski palców.

Oczy rozszerzyły się jej ze strachu.

– Jak na to wpadli?

– Pewnie ktoś zapamiętał moją toyotę. Obstawiam gościa, którego pytałem o drogę. W ten sposób dotarli do faceta, od którego ją pożyczyłem. Porównali opony ze śladami, które zostawiłem na drodze. Przynajmniej tak powiedział Bruce.

– I co teraz? – Jej głos zdradzał niepokój.

– To jeszcze nie wszystko. – Teraz już łatwiej mi było snuć opowieść.

– Miałeś ciężki dzień – powiedziała, gdy skończyłem. – Wierzysz mu?

– W zasadzie tak. Jego wersja przekonuje mnie bardziej niż to, co wymyśliłem i w co prawie uwierzyłem.

– Całą odpowiedzialność zepchnął na McKillopa. Zrobił z niego dyszącego żądzą zemsty zabójcę. To możliwe, pytanie jednak, dlaczego Danny nie zaczął od Scullina.

Wzruszyłem ramionami.

– Miał pewnie wiele powodów. Teraz nikt już ich nie pozna.

Linda położyła się na plecach i popatrzyła w sufit.

– A co powiedział Pixley?

– Sporo. Nie znosi Pitmana. Ponoć dostał od niego propozycję hojnej dotacji w zamian za korzystne dla przyjaciół Lance'a decyzje. Pitmanowi zależało na zamknięciu Hoagland, bo dogadał się już z deweloperami. Kiedy członkowie gabinetu odrzucili jego projekt, był wściekły. Wtedy w prasie pojawiły się wzmianki, że osiedle zostanie zlikwidowane.

Przeczesała palcami włosy, ogarniając je do tyłu.

– Pixley tak to ujął?

– Mniej więcej.

– Bingo! – zawołała. Oczy lśniły jej tak jak wtedy, kiedy grubaska z UrbanDane pokazała jej na monitorze mapę okolic zatoki.

– Nie do końca. Wszystko powiedział mi nieoficjalnie. – Westchnąłem. – Rozmawiałem też z matką Anne Jeppeson. Okazało się, że Anne chodziła do klasy z córką Pixleya. Przyjaźniły się.

– To mi nie wygląda na zbieg okoliczności. Przeciek w sprawie Hoagland…

– Zorganizował Pixley. Według Bruce'a wykorzystał córkę, żeby napuścić Anne. Pixley stwierdził, że jego współpracownik z departamentu planowania, Bleek, dał się podejść Pitmanowi. Tymczasem Bruce uważa, że Bleeka skorumpował Pixley. Niestety, nie poznamy prawdy, bo gość nie żyje.

– Czy Pixley wspomniał nazwy jakichś firm?

– Hexiod i Charis. Ponoć mają tych samych właścicieli.

– Grubsza sprawa. – Linda wyglądała na podekscytowaną. – Podaj wino.

Wziąłem nową butelkę i nalałem nam do kieliszków.

– Po takiej ilości nie usiądziesz chyba za kółkiem – dodałem z nadzieją.

Linda uniosła kieliszek i popatrzyła przez niego w ogień.

– Nie ruszę się stąd do świtu. Możesz być pewny, że tej nocy nie zaśniesz. – Uśmiechnęła się. – Mam wrażenie, że Bruce wcisnął ci kit. Przejrzałam pliki z danymi na temat terenów nad zatoką Yarra. Na osiemnaście miesięcy przed tym, nim Pitman zamknął Hoagland, osiem firm zaczęło skupować tam ziemię.

– Osiem?

– Tak. Wszystkie miały dość dziwaczne nazwy. Między innymi Edelweiss Nominee Numer 12, Collarstud Holdings i Rabbitrun. Większość należała do firm zarejestrowanych w egzotycznych rajach podatkowych. Na Kajmanach, Vanuatu, Jersey.

– Firmy krzaki.

– Zaczynasz rozumieć. Rozmawiałam z pięcioma osobami, które sprzedały grunty. W proceder zamieszane są przynajmniej trzy duże firmy deweloperskie. Właściciele dostali od nich rozsądne propozycje. Agentom nie spieszyło się z przejęciem ziemi i domów. Właściciele mogli w nich pozostać, ba, nie płacili nawet czynszu. O wymówieniu mieli się dowiedzieć z dwumiesięcznym wyprzedzeniem. Jeśli kupiec był zadowolony z interesu, dodawał jeszcze jeden bonus: przez trzydzieści dni od sprzedaży transakcja pozostawała tajemnicą.

– Właściciele dostali forsę od razu?

– Tak. Na rok przed tym, nim Pitman wystąpił z propozycją zamknięcia Hoagland, ziemia nad zatoką należała już wyłącznie do tych dziwnych ośmiu firm. Nie udało im się przejąć tylko jednej działki, na której mieściła się blacharnia. Tę udało im się kupić dopiero pół roku później, kiedy spłonął warsztat.

– Ktoś nie chciał sprzedać swojej ziemi?

– Możliwe. Nie dotarłam jeszcze do poprzedniego właściciela.

– Do jakich doszłaś wniosków?

– Ktoś wymyślił sobie Yarra Cove i po cichu zaczął skupować ziemię nad zatoką przez podstawione firmy. Te przetrzymały działki do czasu, aż zapadnie decyzja o zamknięciu Hoagland i sprzedaży osiedla firmie Hexiod Holdings. Nim jednak skończyły się wszystkie procedury, rząd przegrał wybory. W ten sytuacji firmy krzaki sprzedały ziemię leżące wzdłuż linii brzegowej firmie Niemen PL. W ten sposób Niemen weszła w posiadanie dużej działki, która praktycznie otaczała osiedle domów komunalnych, po czym wystąpiła z wnioskiem nadania jej statusu działki budowlanej. Członkowie nowego gabinetu nie byli tym zachwyceni. Odmówili. Sprawa ucichła na dziewięć lat. Ledwie mafia Pitmana wróciła do władzy, Hexiod sprzedała Hoagland firmie Charis Corporation. Wkrótce Charis nabyła też od Niemen ziemię leżącą nad samą zatoką. Wszystkie elementy układanki wskoczyły na swoje miejsce. Zatoka była gotowa na wartą sześćset milionów inwestycję.

Poczułem wszechogarniające zmęczenie.

– Charis przyszła praktycznie na gotowe?

Linda odstawiła kieliszek na podłogę.

– Wszyscy gracze od początku siedzieli w tym interesie. Hexiod nigdy nie kupiłaby Hoagland, gdyby nie miała pewności, że przejmie też pozostałe grunty. Ludzie kryjący się za fasadą firm krzaków nie zaczęliby skupować działek, gdyby nie mieli udziałów w Hexiod i Charis.

– I nikt nie porwałby się na coś takiego – dokończyłem – gdyby nie wiedział, że osiedle komunalne zostanie zlikwidowane.

– Oraz sprzedane Hexiod.

– To tylko teoria. Możliwe, że Pixley dogadał się tylko z pierwszymi kupcami, a Charis jest tylko ostatnim ogniwem łańcucha, absolutnie czystym.

– Wątpię.

– Nic, co powiedziałaś, nie dowodzi, że nie mamy do czynienia jedynie z drobnym szwindlem byłych przyjaciół byłego ministra Pixleya.

– To zależy, co nazywasz drobnym szwindlem.

– Zostawmy na razie Hoagland – powiedziałem ugodowo. – Nie ma dowodów, że Anne Jeppeson została zamordowana ani że Danny'ego ktoś wrobił w wypadek. Szczerze mówiąc, teraz sam mam co do tego wątpliwości.

Linda objęła się ramionami.

– Bo Bruce tak powiedział? Wystarczyło pięć minut z ministrem, żeby twoje poglądy diametralnie się zmieniły.

– Jego teoria ma więcej sensu niż nasze. A nam brakuje dowodów na to, że się myli. Nawet jeśli Pitman maczał w tym palce, i tak mu nie zaszkodzisz. Musiałabyś wykazać, że coś go łączy z którąś z zaangażowanych w Yarra Cove firm. I że ze swojej działalności czerpie wymierne korzyści.

Linda wzięła mnie za rękę, wsunęła ją za górę od piżamy

i umieściła tuż pod swoją prawą piersią.

– Uwielbiam, kiedy mówisz jak rasowy prawnik – mruknęła. – Chwyć ją i czerp z tego wymierne korzyści.

Miałem ochotę ulec pokusie i chwycić obie piersi, by pokazać, że coś nas łączy. Nagle jednak przeszedł mnie zimny dreszcz. Zabrałem dłoń.

– Powinniśmy zapomnieć o tej sprawie, Lindo. Dałem słowo Bruce'owi.

Odsunęła się i oparła plecami o kanapę.

– Co mu obiecałeś?

Przez chwilę szukałem właściwych słów, bo trudno mi było przyznać się do kapitulacji.

– Obiecałem, że żadne z nas nie będzie się więcej tym zajmować. Nie będziemy też drążyć sprawy Hoagland.

Wstała.

– Nie rozumiem. Dlaczego to zrobiłeś?

Jak wyjaśnić komuś strach? Jak powiedzieć, że bałem się utracić jedną z niewielu osób, które nadawały sens mojemu życiu?

– Dobiliśmy targu.

– Bo?

– Bo gdybym się nie wycofał, zostałbym oskarżony o utrudnianie śledztwa, a być może także o dwa zabójstwa w Daylesford.

Pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Na nic się z Bruce'em nie umawiałam. Nie masz prawa podejmować decyzji w moim imieniu. Nie bawimy się na twoim podwórku, więc nie zabierzesz zabawek, ot tak, i nie wrócisz do domu. Trafiliśmy na ślad afery, która może doprowadzić do upadku premiera albo nawet całego rządu. Nie ukręcę sprawie łba tylko dlatego, że wypłakałeś się na ramieniu ministra policji.

– Nie o to chodzi. Boję się. Przystawili mi pistolet do głowy. Wystarczy, że stanę przed sądem, a stracę prawo do wykonywania zawodu, nawet jeśli nie pójdę siedzieć.

Długo patrzyła na mnie w milczeniu. Wydawało mi się, że trwa to wieczność. Potem odwróciła się i poszła do łazienki. Czekałem z zaciśniętym żołądkiem. Nie miałem pojęcia, co jeszcze jej powiedzieć. Czułem, że ją tracę. Kiedy wróciła, była już ubrana. Minęła mnie bez słowa i sięgnęła po wiszący na oparciu krzesła żakiet.

– Porozmawiajmy spokojnie – poprosiłem. – Ja…

Nie pozwoliła mi dokończyć.

– Z powodu Hoagland zginęły cztery osoby. Wygląda na to, że w sprawę zamieszani są wysocy urzędnicy. Twoja dociekliwość mi imponowała. Podziwiałam też twój upór. A teraz nagle mówisz mi, że odpuszczasz, bo teorie ministra policji wydają ci się wiarygodne. Co więcej, dajesz się zastraszyć oskarżeniami. Gdy w grę wchodzi twoja cenna praktyka, masz w nosie sprawiedliwość. Posłusznie zamykasz usta. Mało tego. Próbujesz mnie uciszyć. Problem w tym, że nie muszę cię słuchać. Zastanawiam się tylko, skąd ci przyszło do głowy, że jest inaczej.

– Chwileczkę! – starałem się, by zabrzmiało to stanowczo. – Nie tak dawno mówiłaś, że ta sprawa to świetny temat, a teraz oświadczasz mi, że walczysz o sprawiedliwość. Powiedz wprost, dlaczego mam położyć głowę pod topór. Przez wzgląd na sprawiedliwość czy twoją karierę?

W jej oczach zamigotała pogarda. Dobrze znałem to spojrzenie. Swego czasu patrzyli tak na mnie nawet barmani z podrzędnych knajp.

Wzięła żakiet i sztywno wyprostowana ruszyła do drzwi. Trzymając dłoń na klamce, odwróciła się w moją stronę.

– Rozumiem, że przestraszyłeś się gróźb swojego nowego kumpla. Zanim jednak podjąłeś decyzję w moim imieniu, mogłeś zapytać mnie o zdanie. Każde z nas ma swoją dumę. Ja też. Poza tym myślałam, że ważniejsza od twojej kancelarii jest dla ciebie prawda o tym, co się przytrafiło Danny’emu McKillopowi. Jeśli wierzysz, że usłyszysz ją od

ministra policji, ostatnie czterdzieści lat spędziłeś chyba na Księżycu. Żegnaj.

* * *

Poddałem się dopiero po drugim telefonie. Włączyła automatyczną sekretarkę. W połowie drugiej wiadomości uznałem, że jestem żałosny, i odłożyłem słuchawkę. Zresztą, co jeszcze miałem jej powiedzieć? Położyłem się na kanapie. Próbowałem uporządkować myśli.

Nie przyszło mi do głowy, że Linda nie wybaczy mi tego, co zrobiłem. Podjąłem się tej sprawy, bo miałem wrażenie, że zawiodłem Danny'ego McKillopa. I to nie raz, a dwa razy. Teraz wreszcie przestałem się tym dręczyć. Wierzyłem Bruce'owi. Danny chciał się zemścić, bo w pewnym sensie posłałem go za kratki. Być może nawet planował mnie zabić. Skoro zaś potrącił Anne Jeppeson, oznacza to, że dziewczyna nie została zamordowana. Zginęła przypadkiem. Do wyjaśnienia pozostawała tylko kwestia Hoagland. Jak dla mnie, to za mało, by ryzykować karierę. Poza tym, nie warto rozpętywać burzy dla jakiegoś drobnego szwindlu. I tak nikt za niego nie odpowie. Może i zaryzykowałbym oskarżenie w sprawie o morderstwo, gdyby chodziło o sprawiedliwość dla Danny'ego. W tym przypadku jednak nadstawiałbym karku tylko po to, żeby pokazać światu coś, o czym świat wiedział od dawna: politycy bywają skorumpowani.

Tej nocy źle spałem. Powrócił koszmar sprzed lat. Kiedy obudziłem się, zlany potem, opadły mnie niechciane wspomnienia z dzieciństwa. Po raz pierwszy śniłem ten koszmar w wieku dziewięciu lat, wkrótce po śmierci ojca. Przenieśliśmy się wtedy z matką do domu jej rodziców w Toorak i zamieszkaliśmy z dziadkiem. Moje krzyki budziły ją w nocy, mimo że jej sypialnia mieściła się w drugim końcu korytarza. Nie potrafię wyjaśnić, skąd wziął się ten sen i dlaczego aż tak się go bałem. Nie wiązał się z konkretnymi obrazami. Przerażały mnie raczej związane z nim wrażenia, faktury, odczucia. Gładka, zimna powierzchnia przypominająca rozpostarte na marmurze jedwabne przecieradło, które nagle stawało się gorące, poskręcane,

zmięte. Stalowe kraty zmieniające się w gąszcz ciepłych, oślizgłych wnętrzności. Jasne przestrzenie czegoś, co wydawało się stabilne, a potem czerwieniało i wsysało mnie niczym ruchome piaski. Koszmar zjawiał się bez ostrzeżenia. Miałem wrażenie, że pod stopami otwiera mi się zapadnia. Że spadam z bezpiecznej, dobrze mi znanej rzeczywistości do świata przerażających wizji, w którym jestem zupełnie sam.

Wspomnienia tego snu i związanych z nim uczuć powróciły po śmierci Isabel. Rosły pomiędzy jawą i snem w chwilach, gdy umysł dopiero budził się do życia; zostawiały w nim trwały ślad, czaiły się na krawędzi poznania. Wydawało się, że pochodzą z okresu przed śmiercią mojego ojca. W jednym z koszmarów widziałem tył domu mojego kumpla z czasów szkolnych, Chrisa Freeborna. Jego siostra stała nieopodal i mieszała coś w cynowej balii. W otwartych drzwiach za jej placami widziałem korytarz biegnący aż do ganku od frontu, a za nim zalaną słońcem ulicę. W ciemnej ramie frontowych drzwi kręcili się jacyś przechodnie. Z wnętrza domu dobiegało łkanie. Ktoś mamrotał słowa, których nie rozumiałem, choć z całych sił próbowałem odgadnąć ich sens. W innym widziałem matkę. Stała przy płocie, opierając na nim dłonie. Jej palce utknęły w oczkach siatki. Miała na sobie sukienkę w grochy, włosy zaczesała gładko i spięła z tyłu głowy. Wyraz jej twarzy świadczy o tym, że o coś się gniewa: uniesiony podbródek, rozchylone usta. Oddycha płytko, pospiesznie. Towarzyszą jej dwie kobiety, ale wiem, że nie przyszły razem. Zbliżam się do płotu. Jestem po drugiej stronie siatki. Patrzę matce w oczy i widzę, że jej lewą tęczówkę przysłania krew.

Te dwa zapamiętane sny oraz jeszcze tuzin pozostałych budzą we mnie niepokój, ale nie mają znaczenia. Nie pamiętam przecież domu Chrisa Freeborna. Nie potrafię nawet przypomnieć sobie jego twarzy. Nie wiem, czy widziałem kiedyś płot, za którym stoi moja matka albo pełen szarego dymu papierosów samochód z innego snu i siedzącego w środku mężczyznę. Nie umiem wyjaśnić, dlaczego kulę się z matką

pod schodami, chowając się w ciemności przed światłem reflektorów. Nie znam nikogo, kto mógłby mi to wyjaśnić. Matka nie żyje, siostra urodziła się już po śmierci ojca, rodzina Freebornów rozsypała się po świecie.

O piątej czterdzieści rano, wykończony majakami, uznałem, że noc dobiegła końca. Wstałem i zaparzyłem dzbanek herbaty. Czekając, aż naciągnie, odnalazłem na półce powieść, którą zamierzałem dokończyć. Czytałem do ósmej. Potem oderwałem się od ekscytującej akcji osadzonej w pewnym pensjonacie w powojennym Wiedniu i zabrałem się za sprzątanie. Prawie się udało, bo ogarnąłem przynajmniej w jednym pokoju. O wpół do dziewiątej pojechałem na Brunswick Street, do baru U Meakera. Ulica świeciła pustkami. W środku siedziałem tylko ja i kilku balangowiczów w skórach, z ciemnymi okularami na nosie. Co jakiś czas podchodzili do kontuaru po kolejną dolewkę kawy, poruszając się sztywno i ostrożnie jak ślepcy w nieznanym sobie miejscu.

Niemal przegapiłem wzmiankę na stronie piątej porannej gazety. *Były minister nie żyje*, głosił nagłówek. Okazało się, że Kevin Pixley został wczoraj znaleziony martwy z łazience swojego domu w Brighton. Przyczyną zgonu był prawdopodobnie atak serca. Pani Pixley przebywała w tym czasie w Londynie.

Straciłem apetyt. Nocą długo zastanawiałem się, czy nie wrócić do Pixleya i nie spytać go wprost, co sądzi o oskarżeniach Bruce'a. W końcu uznałem, że nie miałoby to sensu. Nawet gdyby był winny i tak nie padłby przede mną na kolana i nie błagałby o wybaczenie.

Zresztą, już mi nie zależało. Wierzyłem w winę Danny'ego. Chociaż przez chwilę miałem wątpliwości, czy rzeczywiście zabił Anne Jeppeson, facet i tak nic dla mnie nie znaczył. Wyrzuty sumienia nie powinny mi doskwierać.

Dopiłem małą kawę i poszedłem do warsztatu Tauba. Unoszący się w stolarni zapach drewna i oleju poprawiał mi nastrój nawet

w najgorszych czasach. Pracowałem w pocie czoła. Pod koniec dnia Charlie ustawił na kozłach drewno przeznaczone na blat stołu konferencyjnego, którym się zajmowałem: trzy idealne deski w kolorze orzecha włoskiego, długie na cztery i pół metra, szerokie na czterdzieści pięć centymetrów i grube na cztery centymetry. Pochodziły z banku Tauba: stosu bali z rozebranej jakiś czas temu zabytkowej krokwi. Kiedy pierwszy raz pokazał mi taką deskę, spytałem, co to, u diabła, jest.

– Kawałek drewna – odparł. – *Swietenia mahagoni.* Kubański mahoń. Ma sto lat.

– Wydaje mi się, że nie jestem jeszcze na niego gotowy – podsunąłem.

Wyjął drzazgę z ust i lekko się uśmiechnął.

– Póki nie zrobisz z tego czegoś ładnego, to tylko kawałek drewna.

Z szacunkiem przyjrzałem się szorstkim deskom, z jakich dziś robiło się jedynie najlepsze meble w stylu klasycznym. Niewielu stolarzy miało okazję pracować z drewnem tak dobrej jakości. Obróciłem jedną z desek. Na spodzie Charlie zapisał kredą dzień, w którym trafiła do jego banku: 10 marca 1946 roku. Drewno miało tak niewielką wilgotność, że nie zaszkodziłyby mu nawet dmuchawy centralnego ogrzewania wieży przy Collins Street. Czy właściciele niedawno powstałej kopalni zasłużyli na stół z niemal bezcennego mahoniu suszącego się na powietrzu od blisko pół wieku? Nie wystarczyłoby im drewno nieco bardziej wilgotne, mniej cenne? Pewnie i tak nie zauważyliby różnicy. Zapytałem o to kiedyś Charliego. Robił wtedy meble do biura właściciela hotelu, gościa, który miał rozległe kontakty w mafii.

– Mam gdzieś, co pomyśli ten *Arschloch*[3] – odpowiedział. – Będzie jedynie pierwszym właścicielem moich mebli. Dla mnie liczą się wszyscy kolejni.

Odłożyłem podziw na później, włożyłem kombinezon i zabrałem się do roboty. Najpierw przeszlifowałem drewno wstępnie, wykorzystując

do tego celu dumę życia Charliego – prawie nową szlifierkę kupioną na wyprzedaży komorniczej zakładu meblarskiego. Zdjąłem z niego cieniutką niczym pergamin warstwę, podkreślając piękno usłojenia. Wyszedłem na zewnątrz i stałem chwilę na wietrze, by potem móc wrócić i poczuć wypełniający warsztat orzechowy zapach. Potem wyjąłem frezarkę i przejechałem nią dwukrotnie wzdłuż krawędzi deski, przygotowując wpusty. Za pomocą szlifierki jeszcze raz wygładziłem drewno. Deski lśniły jak wypolerowane. Zanurzyłem palec w oleju Charliego. Sam tłoczył go na zimno z siemienia lnianego, nie dodając chemikaliów. Oblepił mi skórę jak miód. Nałożyłem go na jedną z desek i wtarłem w drewno. Mahoń ożył: gładki, usłojony, błyszczący.

Trzy gotowe deski, przygotowane do połączenia, leżały na kozłach. Podziwiałem je, kiedy od drzwi rozległ się głos Drew:

– Na klientów nigdy tak nie patrzyłeś.

Spojrzałem na zegarek. Trzy godziny minęły jak z bicza trzasnął.

– Bo nigdy nie zdarzył się taki, który dałby się oszlifować, przyciąć i nasmarować olejem – odpowiedziałem.

W pubie Książę Pruski zastaliśmy Norma O'Neilla i Erica Tannera. Wilbur Ong wybrał się na mecz ze swoim wnukiem, Derekiem Ongiem, szanowanym w okolicy dentystą.

– Jeśli tym razem nasi nie spuszczą tym ciotom łomotu, pora zacząć grać w kręgle – powiedział Norm O'Neill.

– Ponoć Vanotti ma jakieś kłopoty z pachwiną – dodał Eric.

– Nie on jeden. Chłopakom brakuje teraz jaj – podsumował ponuro Norm.

W drodze ze stadionu Western Oval świat wydawał się piękniejszy i bardziej kolorowy. Pokonaliśmy St. Kilda osiemdziesiąt cztery do siedemdziesięciu dziewięciu. Pobiliśmy jedną z najlepszych drużyn ligi. Nieważne, w jakim stylu. Grunt, że zdobyliśmy pięć punktów więcej niż oni. Tylko to miało jakieś znaczenie. Chłopaki z Fitzroy

grali jak zawsze: gubili piłkę i rzucali nią na wysokości kolan. Dopiero w ostatniej kwarcie Ansell i McCracken zdobyli po dwa punkty, a Grimmer jeden. Objęliśmy prowadzenie i utrzymaliśmy je przez kolejne mordercze minuty. Kiedy mecz dobiegł końca, podskakiwaliśmy na deszczu i obejmowaliśmy się ramionami, wznosząc toasty małą srebrną piersiówką z whisky, którą miał przy sobie Drew. Stojący nieopodal kibice Fitzroy zaintonowali klubową piosenkę o tym, że radość staje się udziałem jedynie najwytrwalszych. Tych, którzy zachowują nadzieję nawet w najczarniejszą noc.

W Księciu Pruskim panowała odświętna atmosfera. Nawet Stan się uśmiechał, a jego żona zdobyła się na dowcip. Wznieśliśmy kilka toastów, pośpiewaliśmy trochę i powspominaliśmy najlepsze mecze. Potem odstawiliśmy z Drew jego auto pod dom i pojechaliśmy taksówką do Richmond, do knajpy U Vlada. Sala pełna była japońskich turystów delektujących się stekami wielkości kopertówki. Zamówiliśmy mięso i czerwone wino. Kiedy się najedliśmy, Drew zagadnął:

– Masz jakieś wieści o gościu, którego szukałeś?

Opowiedziałem mu o swojej wyprawie do Daylesford i dwóch ofiarach w wannie.

– Niech cię szlag, Jack. Zdurniałeś do reszty?

– To nie wszystko.

Przyszła kolej na historię Lindy, jej dochodzenia w sprawie Hoagland i mojego spotkania z ministrem. Kiedy skończyłem, Drew z namaszczeniem przeciął na połowę ostatni kawałek steku.

– Mam nadzieję, że cię nie urażę, mówiąc, że jesteś kompletnym idiotą.

– Niespecjalnie.

Włożył do ust mięso i przez chwilę przeżuwał je z namysłem, rozglądając się po sali.

– Wygląda na to, że sprawy wymknęły się spod kontroli – mruknął wreszcie.

– Co masz na myśli?

– Wsadziłeś paluchy między drzwi, zadzierając z miejscowymi szychami. Z początku myślałem, że wpakowałeś się w czyjś lewy biznes i że ten ktoś chce cię zwyczajnie przepłoszyć. Teraz widzę, że próbujesz powiązać śmierć Jeppeson, McKillopa, Ronniego Bishopa i tego lekarza z projektem Yarra Cove. – Ściszył głos i pochylił się nad stolikiem. – To ryzykowne. Lepiej nie rozmawiać o tym w miejscu publicznym.

– Nie panikuj. Jesteśmy w Melbourne.

Drew pociągnął łyk wina i znów się do mnie nachylił.

– Wydaje ci się, że jesteś nietykalny, bo żyjesz przeszłością. Minęły czasy, kiedy miastem trzęśli bogaci członkowie klubu dżentelmena. Banda nadętych dupków, właścicieli fabryk, agencji ubezpieczeniowych i maklerów giełdowych. Ludzi, którzy kończyli uniwerki, a potem nabijali sobie kabzę, utyskując na Żydów, Italiańców i inne przybłędy. Skończyła się era przewidywalnych, względnie nieszkodliwych gamoni. Przetrwali tylko ci, którzy w porę odkryli, że wielka forsa bierze się z handlu nieruchomościami. Zabrali się za budowanie hoteli, rezydencji, centrów handlowych i biurowców. Kluby dobrych manier przestały być potrzebne.

Rozejrzał się i zniżył głos.

– Mówię o ludziach pokroju Joego Kwitny'ego. Gość przyjechał do miasta z dwoma funtami w kieszeni i w dziurawych skarpetkach. Załapał się do pracy jako murarz, choć nie odróżniał cegły od bandżo. Stary wyga z Preston urządził mu szkolenie. Joe szybko się uczył. Szło mu tak dobrze, że dostał ze związku ultimatum: albo zwolni i przysiądzie na dupie, albo zawali się na niego ściana. Joe postanowił dać sobie spokój. Wziął kredyt i zaczął na własną rękę budować małe domy z betonowymi podjazdami. Od tego się zaczęło. Potem miał setki pracowników, rozkręcał milionowe interesy, stawiał dom w ciągu jednej nocy, niemal z niczego, na płachetku piachu wznosił nowe osiedla. Po drodze nauczył się, jak nakłaniać rząd do

korzystnych dla niego decyzji i jak przeciągnąć na swoją stronę związki.

Przerwał. Przez chwilę patrzył na mnie w milczeniu wzrokiem, jaki nauczyciel obrzuca tępego ucznia.

– Dla takich jak on łapówkarstwo nie jest przestępstwem, a jedynie sposobem na osiągnięcie własnych celów. Szantaż? Cóż, niektórzy nie potrafią współpracować. Pobicie i zabójstwo? Wypadki się zdarzają. Deweloperzy patrzą w przyszłość. Zawierają znajomości z politykami, organizują bankiety, wprowadzają życzliwych sobie ludzi do parlamentu.

Znów umilkł.

– Zadarłeś z Joem Kwitnym, Jack – wycedził powoli. – Z pieprzonej Charis Corporation.

Nie miałem pojęcia, co odpowiedzieć. Drew nigdy się tak zachowywał. Nie prawił mi kazań. Przez jakiś czas jedliśmy w milczeniu.

– Tak wygląda teraz świat, Jack – podjął Drew. – A ty zachowujesz się jak wiejski ćwok, który po raz pierwszy zobaczył miasto. Co gorsza, wydaje ci się, że postępujesz szlachetnie. Patrzysz w kategoriach tego, co dobre, a co złe. Walczysz o sprawiedliwość, prawda? Wybacz, ale chyba obaj już wiemy, że nie o to w tym wszystkim chodzi. Moralność nie ma znaczenia. Liczy się tylko władza. Lepiej szybko się z tym pogódź.

– Przynajmniej wiedziałem, kiedy się wycofać.

Drew pokiwał głową z politowaniem.

– Nie sądzę. Jak dla mnie, Bruce nie jest rycerzem w lśniącej zbroi. Zasypie na powrót w głębokim dole wszystko, do czego z takim trudem się dokopałeś. Oby przy okazji nie pogrzebał i ciebie.

– Zabezpieczyłem się.

Poderwał głowę.

– Nie rozumiem?

– W razie czego gazety będą miały o czym pisać.

Spokojnie odłożył sztućce, osuszył usta serwetką, złożył ją starannie i przysunął do krawędzi talerza. Potem wezwał kelnera i poprosił o dwie szklanki brandy.

– Nawet o tym nie myśl – powiedział. – Wymigają się, zrzucając winę na tych, którzy już nie żyją. Jeśli przetrwasz skandal, do końca życia będziesz oglądał się za siebie. Mają dobrą pamięć. Nigdy ci tego nie darują. Pewnego dnia wyrównają rachunki.

Po powrocie do domu położyłem się do łóżka. Poduszki zachowały zapach Lindy. Przez chwilę tuliłem do nich nos, pogrążony w żalu. Potem wstałem i zmieniłem pościel. Zasnąłem, a rano obudziłem się wyspany. Pierwsza noc samotności zawsze jest najtrudniejsza.

Philip Epstein, handlarz sztuką, nie pytał o pochodzenie rysunków, choć byłem na to przygotowany.

– Ile pan za to chce?

– Dwadzieścia pięć tysięcy. Jak najszybciej.

Poklepał mnie po ramieniu.

– To rozsądna cena. Skąd pan je wytrzasnął?

– Wniosła je w posagu żona. Jej dziadek miał tego całą teczkę.

– Zebrał pan ich więcej? – spytał, podekscytowany.

– Nie. To jedyna cenna rzecz, jaka mi po niej została.

– Chętnie dam panu czek. O reszcie porozmawiamy później.

– Proszę o gotówkę.

Uśmiechnął się.

– Chodźmy na zaplecze. Napije się pan czegoś? Mam nadzieję, że nie zażąda pan używanych banknotów o niskich nominałach.

– Wolałbym większe nominały.

* * *

W Hardhills nic się od ostatniego razu nie zmieniło. Nadal było zimno i mokro. Przed pubem wciąż stały trzy pick-upy. Po drodze Harry powiedział:

– Zapisałem cię, Jack. Zaczynamy w sobotę. Caulfield, gonitwa czwarta. Dwa tysiące czterysta metrów. Trochę mało, jak na niego, ale da radę. Posadzimy na niego dziewczynę.

– Miał jechać Mick Sayre – przypomniałem.

Harry wrzucił do ust cukierek.

– Okazało się, że Mickey nie jest wart zaufania. Cam pogadał z gościem urzędującym na wyścigach, który sporo wie o dżokejach. Ponoć Mickey namówił w Sydney na ustawiony zakład cały syndykat Greków. W dzień wyścigów statystyki poszły w dół. Inwestorzy spanikowali i zrezygnowali z interesu przy stawce cztery do jednego. Problem w tym, że Mickey bardziej bał się Greków niż ich. Wygrał o trzy długości. Grecy go uwielbiają, ale ze stajni wyleciał.

– A ta dziewczyna?

Harry odwrócił się do mnie i mrugnął.

– Żałuj, że jej nie widziałeś. Najładniejsza dupeczka na torze.

– I tylko tym może się pochwalić?

Harry posłał mi wszechwiedzący uśmiech.

– Nazywa się Nancy Farmer. Jeździ dla ojca, Harolda. Wygrała dwie gonitwy, ale najczęściej przegania bydło w głębi kraju. Cam jest zachwycony. Od początku chciał ją wynająć.

– Dlaczego?

Cam siedział za kółkiem wielkiego BMW. Zwolnił na chwilę, gładko pokonując zakręt. Potem przyspieszył i zerknął na mnie w lusterku.

– Z dwóch powodów. Po pierwsze, kobiety trzymają buzie na kłódkę. Nie gadają z kumplami przy piwie i nie wyświadczają im przysług. Po drugie, koniem zajmowała się dziewczynka. Przywiązał się do niej. Jeździli na nim tylko ona i jej brat. Jeśli teraz posadzimy

w siodle faceta, wyczuje twardą rękę i nie da się prowadzić.

– Przekonałeś mnie. – Mrugnąłem. – A co z jej tyłeczkiem?

– Widziałeś kiedyś dżokeja, który miałby wart grzechu tyłeczek?

Zaparkowaliśmy w tym samym miejscu co poprzednio. Cam wysiadł, żeby zapalić, Harry opuścił oparcie fotela.

– Będzie tu za chwilę.

– Ta wasza babka dżokej?

– Do gonitwy zamieszka u Ericsonów. Musi dobrze poznać konia.

Nadjechał stary land rover i zatrzymał się tuż obok. Wysiadła z niego dziewczyna po dwudziestce. Miała krótkie włosy, dżinsy, koszulę w kratę i ogorzałą od wiatru twarz. Trzymała się prosto jak struna. Podszedł do niej Cam. Uścisnęli sobie ręce i wymienili kilka słów.

Cam wrócił do auta. Ruszyliśmy. Dziewczyna za nami. Przed domem Ericsonów znów zaparkowała obok. Wysiadła szybko pierwsza i stanęła w wyczekującej pozie z rękami w kieszeniach.

Na zewnątrz panował ziąb, tak jak poprzednio. Cam podszedł do dziewczyny. Przedstawił nas.

– To pan Strang i jego adwokat, Jack Irish.

Wymieniliśmy uściski dłoni. Przyjrzałem się Nancy. Była ładna. Miała duże usta i gładką, nietkniętą makijażem cerę. W jej oczach dostrzegłem wahanie.

– Jesteś punktualna. To dobrze – pochwalił Harry.

Od strony stajni nadszedł Tony Ericson. Nastąpiła kolejna wymiana uprzejmości.

– Potrzebny ci kuchenny stół, Tony? – spytał Harry. – Musimy omówić parę spraw. Ericon poprowadził nas do domu, a potem szerokim korytarzem do dużej, ciepłej kuchni. Usiedliśmy przy stole. Harry u jego szczytu, Nancy naprzeciwko mnie. Oparła łokcie na blacie, palce złożyła w wieżyczkę. Miała szerokie nadgarstki i silne ręce, jak Harry.

– Pan Delray powiedział, że chcesz pojeździć na naszym koniu

przed gonitwą – zaczął nasz szef.

– Zgadza się.

– Pamiętaj, że to zwycięzca.

Nancy tego nie skomentowała. Patrzyła na Harry'ego beznamiętnie.

– Wygra ten wyścig – podjął na nowo – bo to najlepszy koń w stawce. Inaczej być nie może.

Pokiwała głową. Zauważyłem, że napięła ramiona.

– Dlaczego zdecydowaliście się właśnie na mnie? – spytała.

– Podoba nam się twój styl jazdy. Umiesz prowadzić konia. Jestem pewien, że z naszym też się dogadasz.

– Rzadko dostaję takie propozycje.

– To się wkrótce zmieni. Ta gonitwa przyniesie ci sławę. Tony, opowiedz Nancy o koniu.

Tony nie był najlepszym mówcą na świecie, ale jakoś sobie poradził.

– Codziennie rano zabierany go na plażę – dodał na koniec. – Córka jeździ na nim po piachu i wodzie. Cztery dni w tygodniu puszczamy go na tor. Postępujemy nieco inaczej niż inni trenerzy, ale wyrobiliśmy mu kondycję. Jest twardy i wytrzymały.

– Przygotowywaliście go na długie dystanse?

Tony potrząsnął głową.

– Nie. Ale świetnie sobie radzi. Wytrzyma ponad dwa tysiące metrów.

– Postaram się – zapewniła Nancy, patrząc na nas po kolei.

– Liczę, że zrozumiesz, jeśli poproszę, żebyś do nikogo nie dzwoniła, chyba że przy Tonym. Masz przy sobie komórkę?

Pokręciła głową.

– Poważna sprawa, co?

– Dość poważna.

Czubkiem języka zwilżyła dolną wargę.

– Nie bardzo mam do kogo dzwonić.

– To dobrze. – Harry wydawał się szczerze zadowolony. –

Dostaniesz tysiąc za każdy spędzony tu tydzień. Chcesz pogadać o prowizji za gonitwę?

Spojrzała na niego uważnie, bez uśmiechu.

– Odłóżmy to na później. – Zawahała się. – Muszę spytać. Jest pan *tym* Harrym Strangiem?

– Zgadza się. Koń należy jednak do pana Ericsona. – Uderzył oburącz w stół. – A zatem załatwione. Obejrzyjmy twojego wierzchowca.

W stajni czekała na nas dziewczynka ubrana w granatowy fartuch. Stała przy Dakota Dreaming i głaskała go po głowie. Miała krótkie rude włosy i upstrzoną piegami buzię.

– To moja córka Denny – przedstawił ją Ericson. – W pewnym sensie Slim należy do niej.

Nancy podała dłoń dziewczynce.

– Miło mi cię poznać. Czas na prezentację. Chcesz go wyprowadzić?

Mała zarumieniła się z zadowolenia.

Dakota wyszedł ze stajni dostojnym krokiem. Jego sierść lśniła jak na obrazach. Denny trzymała wodze tak, jakby prowadziła na smyczy wielkiego labradora. W kilka minut koń został osiodłany. Poszliśmy na tor. Dakota spuścił głowę i wyciągnął szyję. Zdawało się, że pogrążył się w zadumie, pogodzony z sobą i ze światem.

– Piękny jest – mruknął Harry. – Urodził się, by biegać.

Na torze Nancy powściągnęła strzemiona i bez wysiłku wskoczyła na siodło.

– Puść go luzem. Spróbuj go wyczuć – poradził Tony.

Przez kwadrans patrzyliśmy, co robi Nancy. Koń pod nią truchtał, kłusował, galopował, zawracał i stawał. Potem podjechała do barierki, przy której staliśmy.

– Lubi biegać – powiedziała. Zsiadła i oddała wodze Denny.

– Przejdźmy się – zaproponował Harry.

Poszli kawałek dalej. Rozmawiali z głowami blisko siebie. Harry cały czas mówił, przysłaniając usta dłonią. Pożegnali się na ścieżce

prowadzącej do stajni.

– Przyjadę w piątek – obiecał jeszcze Harry. – Omówimy taktykę i zdradzę ci kilka sztuczek.

W drodze do domu postanowił podzielić się z nami wrażeniami.

– Podoba mi się ta mała. Umie jeździć i ma sporo siły. Co o niej myślisz, Cam?

Cam zerknął na niego spod oka.

– Pamiętasz, jak mawiał Oscar Wilde? Największego głupca robi z mężczyzny nie kobieta, lecz koń.

– Nie wiedziałem, że stary Oscar jeździł konno – odparł z namysłem Harry. – Na kobietach jednak znał się jak mało kto.

Słońce wyjrzało z chmur, gdy byliśmy na moście Westgate. Daleko po lewej dostrzegłem platformę obserwacyjną nad Yarra Cove. Ktoś zawiesił na niej trzy wielkie flagi.

* * *

Dwie kolejne godziny spędziłem w warsztacie Tauba. Przygotowane wcześniej deski na blat stołu konferencyjnego należało teraz skleić. Charlie wykorzystywał do tego celu wyłącznie klej skórny. Inni producenci mebli często sięgali po klej epoksydowy, bo dzięki niemu spojenia były trwalsze niż samo drewno. Kiedy wspomniałem o tym Taubowi, prychnął pogardliwie.

– Trwalsze niż drewno? Gdyby zależało mi na trwałości spojeń, zająłbym się spawaniem.

Odmierzyłem stosowną porcję kleju i rozpuściłem jego złote granulki w wodzie. Potem dodałem jeszcze trochę granulek i podgrzałem mieszankę. Nim nabrała odpowiedniej temperatury, ustawiłem deski na stojakach i dopasowałem na sucho spojenia. Weszły idealnie. Rozdzieliłem deski. Klej był już gorący, nabrałem go więc na pędzel ze świńskiej szczeciny i ostrożnie rozprowadziłem na wewnętrznych krawędziach desek. Następnie zabezpieczyłem listewkami twardego drewna pozostałe krawędzie oraz dwuipółcentymetrowe kołki i założyłem ściski na boki blatu. Zacisnąłem je po kolei, zaczynając od tych, które znajdowały się najbliżej rogów. Potem przygotowałem kwadratowe drewniane podkładki o boku ośmiu centymetrów i ułożyłem je w równych odstępach na krawędziach środkowej deski. Na każdą z nich nałożyłem ściski w kształcie litery C.

Stół musiał być idealnie gładki. Miałem tylko jedno podejście, bo więcej drewna Charlie już by mi nie powierzył.

Przez blisko kwadrans kręciłem się wokół ścisków, sprawdzając, czy dobrze trzymają i czy przypadkiem zbyt duży nacisk nie spowodował gdzieś wycieku kleju.

– Zaufaj rękom – powiedział mi kiedyś Charlie. – Jeśli przy zaciskaniu wysiliłeś mięśnie, znaczy to, że popełniłeś błąd.

Nie do końca to zrozumiałem. Charlie bez wysiłku zgniatał dłońmi

orzechy, czego ja nie mogłem o sobie powiedzieć.

Posprzątałem i poszedłem do domu. Nie spieszyłem się.

Nadszedł niedzielny wieczór. Posprzątałem w kuchni i łazience, wstawiłem brudne naczynia do zmywarki, otworzyłem butelkę wina i wypiłem pół kieliszka, próbując czytać gazetę. Potem wstałem i bezmyślnie oglądałem zawartość lodówki. Wystarczyło, że w moim życiu na krótko pojawiła się kobieta i już okazało się, że własne towarzystwo mi nie wystarcza.

Zadzwonił telefon. Podniosłem słuchawkę.

– Jack Irish? – usłyszałem wśród szumów. Rozpoznałem głos. Charles Lee z Perth, przyjaciel Ronniego Bishopa.

Wyraziłem stosowny żal z powodu śmierci Ronniego. Nie miałem serca powiedzieć, że ta sprawa już mnie nie interesuje.

– Wiem coś, co powinienem powiedzieć policji, skoro Ronnie nie żyje – oświadczył. –Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o kasetach z automatycznej sekretarki?

– Pół godziny temu znalazłem ostatnią. Pod barkiem niedaleko stolika na telefon. Pewnie wypadła, kiedy włamywacze wyrzucili szufladę na podłogę. Są na niej dwie wiadomości z Melbourne.

– Odsłuchałeś je?

– Tak. Pochodzą od dwóch osób. Pierwsza podała nazwisko i numer telefonu. Danny McKillop. Przedyktować numer?

– Nie trzeba. Znam go. A druga osoba?

– Jakiś facet. Nie przedstawił się.

– Co powiedział?

– Zaraz ci przeczytam, bo to sobie zapisałem. – Rozległ się szelest papieru. – *Posłuchaj uważnie, Ronaldzie. Musisz przywieźć dowody. To bardzo ważne. Raz już popełniłeś głupstwo, zabierając je. Nie narażaj się więcej. Spróbuję cię z tego wyplątać.* Kolejne zdanie brzmi niewyraźnie, coś jakby „skali ma kłopoty”. A na koniec: *zadzwoń, gdy dotrzesz na miejsce*.

– Puścisz mi to przez telefon?

Zawahał się.

– Spróbuję. Włożę kasetę do magnetofonu i przystawię słuchawkę do głośnika. Zaczekaj.

Słyszałem, jak krząta się po pokoju. Kilka razy puścił niewłaściwą kasetę. Wreszcie znalazł tę, której szukał.

– Uwaga. Włączam.

Rozległ się szum magnetofonu, a po krótkiej przerwie wyraźne chrząknięcie. A potem głęboki głos ojca Gormana powiedział:

– Posłuchaj uważnie, Ronaldzie…

– Słyszałeś? – spytał Charles, kiedy wiadomość dobiegła końca.

– Głośno i wyraźnie.

– Rozpoznałeś faceta?

– Tak mi się wydaje. Dobrze się spisałeś – pochwaliłem.

– Chyba powinienem iść na policję. To ważne.

Podjąłem decyzję, zanim jeszcze zdążyłem pomyśleć.

– Zgadza się, ale zaczekaj z tym, póki do ciebie nie zadzwonię. Daj mi czterdzieści osiem godzin. Słowo, że o więcej nie poproszę.

Tym razem się nie wahał.

– Zgoda, ale jest coś jeszcze.

– Co?

Nie odpowiedział. Czekałem cierpliwie.

– Możliwe, że to bez znaczenia.

Milczałem. Nie zamierzałem naciskać.

– Nikomu o tym nie powiedziałem, ale w dzień wyjazdu Ronniego do Melbourne coś się wydarzyło.

– Co dokładnie? – Liczyłem, że go tym nie zniechęcę.

– Podwiozłem go do miasta. Miałem wtedy wolne. Chciał wyjąć coś z depozytu w banku. Czekałem na niego przed budynkiem, bo zastawiłem jakiś samochód. Wrócił po pięciu minutach. Pojechaliśmy do niego. W hallu stała spakowana walizka. Otworzył ją, wyjął coś z zewnętrznej kieszeni marynarki i wsunął to między ubrania.

– Domyślasz się, co to było?

– Nie. Coś małego i płaskiego.

– Myślisz, że przechowywał to w depozycie?

– Tak sądzę. Przykro mi, że nie powiedziałem ci o tym wcześniej.

– Lepiej późno niż wcale. Ta informacja może mi się przydać. Na razie zatrzymaj ją dla siebie. Dzięki, Charles. Zadzwoń, jeśli jeszcze coś przyjdzie ci do głowy.

Nagle uderzyła mnie pewna myśl.

– Powiedz mi coś jeszcze – poprosiłem. – Ktoś dowiedział się, że rozmawiałem z tobą w Perth. Wspomniałeś komuś o mojej wizycie?

– Nie – odparł bez wahania. – Ale założę się, że wiem, kto to zrobił. Ta wredna suka z domu obok, od architektów. Kiedy odjechałeś, rozejrzałem się trochę i zobaczyłem jej cień za roletą. Myślała, że nikt jej nie widzi, ale w pokoju paliło się światło. Często mnie podgląda. Kiedyś przyjechałem posprzątać u Ronniego z kolegą z pracy. Zobaczyła nas z okna. Po chwili wyszła z psem na spacer i zaraz wróciła. Chciała sprawdzić tablice rejestracyjne.

– Komu wygadała?

– Pewnie tym dwóm fałszywym gliniarzom, o których ci mówiłem.

– Dzięki, Charles. Odezwę się jak najszybciej.

Poszedłem do kuchni i nalałem sobie kieliszek wina. Czułem w ciele dziwne napięcie. Wyjąłem z szuflady papier do pisania. Usiadłem przy stole.

Ojciec Gorman powiedział, że Scullin ma kłopoty. Jakiego rodzaju? Czy Danny McKillop próbował doprowadzić do ponownego otwarcia dochodzenia? Nie, jeśli Bruce mówił prawdę. Dlaczego więc Ronnie przyjechał do Melbourne, skoro nie odpowiedział na wezwanie Danny’ego? Jaką rolę odegrał w tej sprawie Scullin? O jaki dowód chodziło Gormanowi? I czego ten dowód dotyczył? Czy to były pracodawca posłał Ronniego do ukrytej w środku lasu posiadłości doktorka, żeby łatwiej go wykończyć? Czy śmierć obu miała jakikolwiek związek ze sprawą Danny’ego.

Zabrzęczał telefon. Zamrugałem, jak obudzony ze snu i spojrzałem na zegarek. Była dwudziesta trzecia piętnaście. Odebrałem. Dzwoniła Linda. Akurat teraz, kiedy udało mi się przestać tęsknić na całe trzy minuty.

– Jesteś sam? – spytała.

– Nie. Zamówiłem z pobliskiego burdelu trzy dziewczynki.

– Ktoś się do mnie włamał i wywrócił mieszkanie do góry nogami.

Opadłem ciężko na krzesło.

– Co zginęło?

– Laptop. Wszystkie dyskietki i akta. Złodzieje zostawili za to telewizor i wideo. Trochę się boję.

– Niczego nie dotykaj. Spakuj najpotrzebniejsze rzeczy i przyjeżdżaj. Jutro zawiadomimy gliny.

– Nie trzeba. Już do nich dzwoniłam. Jeśli dziś stąd wyjdę, już nie wrócę.

– Wobec tego zaraz do ciebie jadę.

– Nie. Dam sobie radę sama. Chciałam tylko usłyszeć twój głos. Aha, jest coś jeszcze.

– Co?

– Z komputera w redakcji zniknęło wszystko, nad czym pracowałam. Ktoś wyczyścił pliki.

– Przypadek?

– Nie sądzę.

– Nie masz kopii zapasowych?

– Mam. Ale to nie wszystko.

Czekałem, aż się zdecyduje.

– Pamiętasz mojego napalonego szefa z Sydney? Tego, o którym ci opowiadałam?

– Tak.

– Zadzwonił do redakcji i rozmawiał z naczelnym. Zabronił mi pisać cokolwiek na temat Yarra Cove i Charis Corporation.

W pokoju zrobiło się nagle zimno.

– Co odpowiedziałaś?

– Że to przemyślę.

– Na pewno nie chcesz u mnie nocować?

– Tak. Zadzwonię rano.

– Dzwoń o każdej porze. Którędy weszli złodzieje?

– Nie mam pojęcia. Drzwi frontowe były zamknięte.

– Masz łańcuch?

– Tak. I dwie zasuwki.

– Po wyjściu policji starannie wszystko pozamykaj. Nie wpuszczaj nikogo za próg, chyba że pokaże legitymację. Najlepiej niech wsunie ją pod drzwi albo wrzuci przez otwór na listy. Zrozumiałaś?

– Tak, mistrzu.

– Widzę, że odzyskujesz rezon.

– Staram się. Do usłyszenia jutro.

– Zadzwoń, zanim wyjdziesz do pracy. Dobrej nocy.

Zapadła cisza. Żadne z nas nie chciało pierwsze odłożyć słuchawki.

– Tęsknię za tobą – powiedziała.

– Ja za tobą też. Mam wrażenie, że czegoś mi w życiu brak.

Zanim się położyłem, zasunąłem zasuwy na drzwiach od frontu oraz od podwórza i przez jakiś czas obserwowałem ulicę. Wsunąłem się do łóżka. Próbowałem zasnąć, ale ciągle wracały do mnie słowa Drew. Przypomniało mi się, jak opisał Joe Kwitny'ego i jego drogę na szczyt. Miał rację. Teraz rzeczywiście czułem się jak ćwok ze wsi zagubiony w wielkim mieście. Przez dziesięć lat zajmowałem się wyłącznie produkcją mebli i poszukiwaniem ludzi, którzy nie mieli ochoty dać się znaleźć.

* * *

Linda zadzwoniła o wpół do ósmej rano. Nie obudziła mnie – właśnie wyszedłem spod prysznica.

– Zjedzmy razem śniadanie – zaproponowała. – Najlepiej w biegu, bo mam dziś mało czasu.

Spotkaliśmy się o ósmej U Meakera. Zamówiliśmy sok pomarańczowy i płatki.

– Nie wiem, co robić. – Linda wyglądała na zmartwioną. Wydawała się szczuplejsza niż zwykle. – Nie jestem chyba aż tak odważna, jak myślałam.

– Wszyscy z czasem dochodzimy do tego wniosku.

– Nie chodzi tylko o włamanie. Wczoraj ktoś mnie śledził. Udało mi się znaleźć właściciela spalonej blacharni, która mieściła się nieopodal Hoagland. Z początku nie chciał ze mną rozmawiać. Wczoraj jednak zadzwonił, że zmienił zdanie i że udzieli mi wywiadu. Pojechałam do Swanreach. Facet mieszka tam sam w wielkim ceglanym domu. Powiedział, że najpierw nie miał ochoty sprzedawać warsztatu, bo odpowiadała mu lokalizacja nad brzegiem zatoki. Potem dowiedział się o planach wobec osiedla i wyczuł pismo nosem. Postanowił zaczekać, żeby wytargować lepszą cenę.

Kelnerka przyniosła zamówienie. Czekaliśmy w milczeniu, aż rozstawi naczynia. Kiedy odeszła, Linda upiła trochę soku.

– Dwóch gości przyszło do niego do domu. Zapukali i zaproponowali cenę o dziesięć procent wyższą niż agent nieruchomości. Kiedy odmówił, jeden z nich powiedział, że taka okazja już się nie powtórzy. Nikt mu niczym nie groził, ale w jego warsztacie i na podwórzu zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Najpierw ktoś otruł psy jego i sąsiadów. Potem znalazł w basenie dziesięć kilogramów szklanych odłamków. Przyjeżdżali do niego przedsiębiorcy pogrzebowi, którym ktoś kazał odebrać zwłoki. Pewnego wieczoru przywieziono mu pizzę z pięciu sieci. Odstawione

do warsztatu auto jego żony miało uszkodzone hamulce. Omal się nie zabiła. Złamała rękę i kilka żeber.

– Zgłosił to policji?

– Po pierwszym takim zajściu. Spławili go, mówiąc, że nic się nie da zrobić w tej sytuacji. Poradzili, żeby wynajął ochroniarzy.

– Powiedział im o dwóch tajemniczych kupcach?

– Tak. W sprawie warsztatu rozmawiał też ze swoim reprezentantem w parlamencie.

– Mieszka w Swenreach? Czyżby…

– Tak. Z Lance'em Pitmanem.

– Jedz – ponagliłem, czując, że tracę grunt pod nogami.

Przez chwilę chrupaliśmy w milczeniu płatki, co jakiś czas patrząc na siebie porozumiewawczo.

– Co dalej? – spytałem, widząc, że skończyła.

– Stali klienci, na których liczył, zaczęli się wycofywać. Zarabiał coraz mniej. Jeden z jego zleceniodawców przeniósł się do innego warsztatu.

– Dlaczego?

– Wszyscy podawali mało wiarygodne wymówki. Nie patrząc mu przy tym w oczy. – Przerwała, by wybrać z talerza ostatnie płatki. – A potem pewnej piątkowej nocy blacharnia poszła z dymem. Czy raczej wybuchła, bo za powód jej zniszczenia uznano zapłon butli z gazem.

– Bo?

– Ponoć właściciel nie zachował środków ostrożności. Firma ubezpieczeniowa odmówiła więc wypłaty odszkodowania. Facet podejrzewa, że któryś z jego pracowników dał się przekupić.

– Poszedł z torbami, więc zgodził się sprzedać ziemię?

– Tak. Stracił wszystko, co posiadał. Liczył, że za warsztat i ziemię dostanie mniej więcej pół miliona. Po pożarze działka straciła na wartości. Kupcy omijali go z daleka. Wreszcie pojawił się agent z biura nieruchomości. Zaproponował połowę tego, co poprzednio.

Facet przyjął ofertę.

– Dlaczego zmienił zdanie i zgodził się z tobą porozmawiać?

Wyjrzała przez okno na ulicę.

– Ponoć poczucie krzywdy narastało w nim od lat. Uważa, że cała ta sprawa skróciła życie jego żony. Rozwiedziona córka, która mieszkała u niego z dziećmi, nazwała ojca paranoikiem i poszukała sobie innego lokum.

– Wspomniałaś, że ktoś cię śledził.

Uśmiechnęła się lekko.

– Pomyślałeś o tym *à propos* paranoi? A teraz poważnie. Przez całą sobotę miałam wrażenie, że ktoś mi się przygląda. Kiedy wczoraj wyjechałam ze Swanreach, zatrzymałam się na stacji benzynowej, żeby zatankować. Wkrótce potem zjawił się tam kremowy holden. Siedziało w nim dwóch facetów. Udawali, że sprawdzają ciśnienie w oponach. Wcześniej widziałam ich auto przed domem właściciela blacharni.

Wzięła głęboki oddech.

– Poszłam zapłacić. Długo kręciłam się po sklepie. Kupiłam coś do picia, przejrzałam gazety, przeczytałam kilka etykiet na olejach silnikowych, wybrałam breloczek do kluczyków… Robiłam wszystko, żeby odwlec powrót do samochodu. Facet przy dyfuzorze dopompował trzy opony i utknął przy czwartej z tyłu wozu. Kręcił się przy niej nerwowo, co jakiś czas wystawiając głowę nad dach. Wreszcie odwiesił wąż, wsiadł za kółko i odjechał. Wybiegłam ze sklepu. Liczyłam, że jeśli szybko odjadę, to im się wymknę. Wtedy ich zobaczyłam. Stali na poboczu drogi mniej więcej sto metrów od stacji, opierając się plecami o auto. Minęłam ich – nie miałam innego wyjścia. Natychmiast ruszyli za mną. Trzymali się w odległości pięciu, sześciu aut. Zaparkowałam przy monopolowym w Alphington. Kiedy wyszłam ze sklepu, już na mnie czekali – przy krawężniku jakieś dwieście metrów dalej. Wsiadłam do wozu i zawróciłam. Jeszcze raz ich minęłam.

– Żeby nie mieli wątpliwości, że ich przejrzałaś?

Wzruszyła ramionami.

– Niestety nie. To przykre, ale spanikowałam. Nie miałam pojęcia, jak się zachować. Wmawiałam sobie, że natknęłam się na nich przypadkiem i liczyłam, że wkrótce pójdą w swoją stronę.

– Zawrócili tuż przed maską nadjeżdżającej ciężarówki. Przyspieszyłam i zaczęłam krążyć po mieście. Kilka razy złamałam przepisy i przejechałam na czerwonym. Kluczyłam wąskimi uliczkami, aż wreszcie udało mi się ich zgubić.

– Dokąd pojechałaś?

– Do domu. Zapisałam w laptopie notatki z rozmowy z blacharzem. Potem pojechałam do pracy. Naczelny wezwał mnie na dywanik, bo zadzwonił szef z Sydney. Już ci o tym mówiłam. Okazało się też, że ktoś wyczyścił mi komputer.

Uśmiechnęła się krzywo.

– Najpierw ktoś mnie śledził, potem dostałam w pracy dwa solidne ciosy pod żebra, a pod wieczór wróciłam do domu, żeby dać się znokautować. Ktoś przeszukał każdy kąt w moim mieszkaniu. Zginęły mi notatki i stare albumy. Złodzieje wyjęli nawet bęben z pralki i zostawili go w wannie.

Pomyślałem o Eddiem Dollerym i pieniądzach, które trzymał w zmywarce. Czy to możliwe, że od tamtej pory minęły dopiero dwa tygodnie? Kelnerka przyniosła kawę. Bezskutecznie próbowałem wymyślić zdanie, które zamaskowałoby trawiący mnie niepokój. Linda odezwała się pierwsza.

– A co do twojego przyjaciela, Ronniego Bishopa…

– Tak?

– Rozmawiałam z kimś, kogo znam jeszcze z czasów, kiedy pracowałam w „Age” – powiedziała cicho. – Dziewczyna jest zatrudniona w opiece społecznej. Powiedziała, że na wieść o śmierci Ronniego chętnie urządziłaby imprezę.

Cierpliwie czekałem na ciąg dalszy.

– Według niej, Ronnie owszem, zgarniał z ulicy bezdomne dzieciaki, ale potem większość z nich wykorzystywał do kręcenia filmów porno. Fundacja Bezpieczne Ręce ojca Gormana natomiast to burdel, w którym nadziani kolesie zaspokajają apetyt na seks z dziećmi i nastolatkami. Ronnie rekrutował dla nich desperatów.

Przypomniały mi się słowa pani Bishop. *Ronnie uwielbiał kino. Jako dziecko oszczędzał na kamerę, a gdy ją kupił, filmował wszystko dookoła.*

Linda ściszyła głos jeszcze bardziej.

– A teraz najlepsze. W czasach batalii o Hoagland dziewczyna z opieki zajmowała się nastolatkami uciekającymi z domów. Spora część z nich miała za sobą kontakt z narkotykami, część ćpała regularnie. Jedna z jej wychowanek, mniej więcej czternastoletnia, oglądała z nią kiedyś telewizję. W wiadomościach rozpoznała faceta, który pieprzył się z nią i jej koleżanką.

– Ronniego?

Potrząsnęła głową.

– Lance'a Pitmana, ówczesnego ministra budownictwa.

– Jezu… – Przymknąłem oczy, wzdychając. – Poszły z tym na policję?

– Po co? Mała nie chciała z nimi rozmawiać. Powiedziała za to, kto posłał ją do tego faceta. Ronnie Bishop.

Teraz ja spojrzałem za okno. Ronnie, ojciec Gorman, Lance Pitman i gliniarz Scullin… Seks z nieletnimi i branża porno. A do tego rodzina Kwitny'ego, patroni fundacji Bezpieczne Ręce, właściciele Charis Corporation.

– Co w końcu zrobiły?

– Dziewczyna, z którą rozmawiała, wzięła ze sobą koleżankę i poszła rozmówić się z Gormanem. Był uroczy jak zwykle. Obiecał, że wszystkim się zajmie. Sprawa prostytucji nieletnich ucichła, a Ronnie nie pokazał się więcej na ulicy.

– Na tym się skończyło?

– Obie dziewczyny są katoliczkami. Wierzą duchownym.

– Co zamierzasz?

Popatrzyła mi w oczy.

– Złodzieje nie wiedzieli, że wszystkie pliki z laptopa i komputera w pracy nagrałam na dysk zapasowy. Zawsze noszę go przy sobie. Spróbuję powiązać Charis Corporation z firmami, które skupowały ziemie na brzegu zatoki Yarra i wokół Hoagland. Mam nadzieję, że coś znajdę. Jeśli się nie uda, napiszę o firmach krzakach i przekrętach kupców. Zobaczę, co z tego wyniknie. – Spuściła głowę. – Przykro mi. Nie odpuszczę.

Westchnąłem i ująłem jej dłoń.

– Nie miej wyrzutów sumienia. Poprawię ci humor, bo mam ciekawe informacje. Wczoraj zadzwonił do mnie ktoś z Perth.

Pod drzwiami biura znalazłem kawałek kartonu z sześciopaku piwa. Ktoś nabazgrał na nim: *Przypomniałem sobie coś jeszcze z tego, o czym rozmawialiśmy. Niech pan do mnie zajrzy.* Podpis brzmiał: *B. Curran, Morton Street 15, Clifton Hill.*

Przez chwilę nie miałem pojęcia, co to znaczy i kto się do mnie odezwał, ale wkrótce wróciła mi pamięć. Węsząc wokół starego domu Ronniego w Clifton Hill, gadałem z jego sąsiadem. Zostawiłem mu nawet wizytówkę.

Na zewnątrz zabrzmiał klakson. Przyjechał Cam. Umówiliśmy się na spotkanie organizacyjne z Woottonem i jego bukmacherem. Czekali na nas w pubie Taylor’s Lakes. Miejsce wybrał Cam, bo lubił takie knajpy na przedmieściach.

Nim dojechaliśmy do drogi w Kensington, zaczęło padać.

Jechaliśmy najszybszym pasem, trochę przekraczając dozwoloną prędkość. Nieopodal zjazdu do Coburg, który wytyczono po prawej stronie jezdni, Cam gwałtownie skręcił na środkowy pas, wciskając się w sznur aut tuż przed maską ciężarówki wiozącej meble.

Pięćset metrów dalej wrócił na poprzedni pas, znów zmuszając kierowcę za nami do gwałtownego hamowania. Gość nacisnął

wściekle klakson.

– Bawi cię to? – spytałem.

– Od Carlton siedzą nam na ogonie dwaj kolesie na motorze – wyjaśnił Cam. Głos nie zmienił mu się nawet o ton. – Chciałem sprawdzić, co zrobią.

– I co?

– Zostali z tyłu. Wsuń rękę pod siedzenie. Znajdziesz tam małe pudełko.

Wyczułem zimno metalu. Miałem pod palcami coś, co wydawało się niewielką aluminiową walizką. Gdy ją podniosłem, okazała się zaskakująco ciężka.

– Trzymaj tak, żeby nikt tego nie widział. I uważaj. Jest naładowany.

Odpiąłem zatrzaski i uniosłem wieko. W środku na podkładce z szarej pianki leżały: pistolet o długiej lufie, wycior i około trzydziestu nabojów.

– Ruger redhawk – wyjaśnił Cam.

– Super. Może jednak mi powiesz, co tu jest grane?

Cam nie spuszczał oczu z lusterka wstecznego.

– Nie wiem. Może to przypadek i kolesie wybrali się na przejażdżkę. A może myślą, że wieziemy grubszą forsę na zakłady dla bukmachera.

– Kto wie, że się z nim umówiliśmy?

– To kobieta – poprawił mnie automatycznie. – I nikt. Tylko Wootton.

Zbliżał się zjazd do Essendon. Cam zwlekał do ostatniej chwili, po czym gwałtownie skręcił kierownicą, zjeżdżając w bok bez kierunkowskazu.

– Skręcę w pierwszą w lewo i objadę boiska. Trzymaj się – uprzedził.

Obejrzałem się. Jakieś sto metrów za nami jechał motocykl. Rozdzielały nas cztery auta. Na siodełku siedzieli dwaj odziani

w czarne kombinezony faceci. Twarze zasłaniały im ciemne osłony kasków.

– Gość z tyłu ma przed sobą małą torbę.

– Może zrobił sobie kanapki – zadrwił Cam. – Kiedy ostatnio strzelałeś?

Po raz pierwszy poczułem, że ściska mnie w żołądku ze strachu. Do tej pory wydawało mi się, że to żart – może kiepski, ale jednak żart.

– Dziesięć lat temu w Mallee. Polowałem na króliki.

– Wyjmij broń z walizki.

Spełniłem polecenie, czując w dłoniach ciężar rugera. Jeszcze raz spojrzałem do tyłu. Motocykl mijał kolejne samochody. Odległość między nami malała coraz szybciej.

Silnik zawył, a koła zabuksowały na żwirze, kiedy Cam zredukował bieg i gwałtownie skręcił w lewo, ale auto nie wypadło z drogi.

– Niezła bryka – pochwalił Cam. – Tyle że za wolna na takie zabawy.

Motor skręcił równie ostro i przejechał skosem na drugą stronę drogi. Trzymał się teraz pobocza jakieś dwieście metrów za nami.

Jechaliśmy drogą osiedlową. Po prawej wznosiły się domy, po lewej – odgrodzone od drogi siatką trawiaste boiska. Musieliśmy skręcić w prawo, żeby jechać dalej, bo przed nami rozciągał się obszerny parking kompleksu sportowego.

– Bez gnata się nie obędzie – uznał Cam. – Nie uciekniemy im. Zatrzymam się na parkingu. Postaraj się wysiąść jak najszybciej i wyciągnij broń tak, żeby ją widzieli. Będę tuż za tobą.

Przyspieszyliśmy. Zamykałem oczy za każdym razem, gdy podskakiwaliśmy na wybojach. Wjechaliśmy na parking. Stały na nim trzy samochody. Wszystkie zaparkowano na lewo od bramy.

Znów się obejrzałem. Motocykl był tuż-tuż. Dzieliło nas nie więcej niż sto metrów. Zza chmur wyjrzało słońce. Czarna skóra kombinezonów lśniła jak futro wydry.

Cam skręcił w lewo, w stronę zaparkowanych aut. Jechał wprost na

nie. W ostatniej chwili nacisnął hamulec. Samochód zatańczył na asfalcie, gdy wpadliśmy w poślizg. Koła po prawej stronie uniosły się nad ziemię. Stanęliśmy bokiem kilka metrów od płotu.

– Wysiadamy – powiedział spokojnie Cam.

Otworzyłem drzwi i niemal wypadłem na asfalt. Cam przesunął się na moje siedzenie. Czekał, żebym zrobił mu miejsce.

– Pochyl się i daj broń.

Skuleni, przemknęliśmy na przód auta. Na twarzy czułem gorąco buchające z silnika. Cam odciągnął kurek rugera.

Motocykl wjechał pędem na parking i skręcił w prawo, mijając nas bokiem. Wyraźnie widziałem pasażera.

Pas torby zawiesił sobie na szyi i przesunął ją na plecy. W dłoniach trzymał długi, matowo czarny przedmiot.

– Jezu Chryste. – Głos Cama po raz pierwszy się załamał.

Rozpoznałem pistolet maszynowy.

Kierowca zwolnił i odbił w lewo. Zawrócił. Zamierzał przejechać równolegle do naszego auta.

Nie mieliśmy szans. Motocykl był może ze dwadzieścia metrów od nas, kiedy facet zaczął strzelać. Rozległ się suchy, przypominający kaszel, niezbyt głośny dźwięk. Większość pocisków przeszła górą, nad dachem samochodu. Ostatnia seria dosięgła jednak przedniej szyby. Przy wtórze ostrego stuku po stronie pasażera pojawiła się niemal idealnie okrągła dziura, od której odchodziła mozaika pęknięć.

Już sekundę później zabrzmiały kolejne strzały. Tym razem napastnik celował niżej. Część kul dosięgła karoserii, część trafiła w asfalt pod autem, odbiła się rykoszetem i zadzwoniła o podwozie.

Motocykl minął nas i zawrócił łukiem, gotów na kolejną rundę.

– Pieprzyć to – warknął Cam. Wyprostował się, chwycił oburącz rugera i wycelował długą lufę w stronę nadjeżdżających mężczyzn.

Wystawiłem głowę nad maskę. Motocykl zbliżał się coraz szybciej. Pasażer zobaczył Cama i jego broń. Uniósł tłustą lufę pistoletu.

Cam wystrzelił.

Chybił.

Wystrzelił ponownie.

Tym razem trafił. Kula uderzyła w kask strzelca – spadł z motocykla, unosząc w górę lewą rękę. Upadł ciężko na asfalt.

Pozbawiony balastu pojazd przyspieszył, a kierowca stracił nad nim panowanie. Przez chwilę wydawał się bezradny, potem jednak odzyskał kontrolę nad motocyklem i gwałtownie skręcił, by wrócić po kolegę.

– Jednego mamy z głowy – powiedział spokojnie Cam i zaczął się przygotowywać do kolejnego strzału. Tym razem celem był kierowca.

Tymczasem postrzelony facet zaczął się zbierać z asfaltu. Podniósł się na kolana i uniósł rękę do kasku. Pistolet trzymał w gotowości. Wydawał się drobny, nie wyższy od czternastoletniego chłopca. Potrząsnął głową jak pies, a potem obrócił ją, by na nas spojrzeć.

Cam celował w kierowcę.

Kurdupel klęczący na asfalcie podniósł broń.

– Padnij! – krzyknąłem. Chwyciłem Cama za płaszcz i pociągnąłem go w dół.

Pistolet zakaszlał. Pociski uderzyły w maskę dokładnie tam, gdzie jeszcze przed chwilą stał mój wspólnik.

– Pieprzony gnojek – mruknął Cam.

Silnik motocykla zaryczał.

Cam wystawił głowę zza samochodu.

– Koniec imprezy! – zawołał.

Wstałem i rozejrzałem się po parkingu. Motocykl z dwoma napastnikami mknął w stronę bramy. Słońce lśniło na czarnych kaskach. Silnik wył na dwójce.

W milczeniu nasłuchiwaliśmy cichnących odgłosów pojazdu, który wyjechał na drogę, skręcił w lewo na dwupasmówkę i zaczął się oddalać. Zapadła cisza. Od czasu do czasu docierał do nas tylko szmer autostrady i śmiechy bawiących się gdzieś na osiedlu dzieci. Motocykliści pojawili się na parkingu nie więcej niż czterdzieści

sekund temu, choć mnie ten czas wydawał się wiecznością. Teraz o napadzie i bliskości śmierci świadczył jedynie zapach prochu unoszący się w mroźnym powietrzu.

Rozejrzałem się, pewny, że otacza nas tłum ciekawskich. Na parkingu prócz nas nie było jednak żywej duszy. Możliwe, że strzałów z pistoletu maszynowego z tłumikiem po prostu nikt nie usłyszał, a wystrzał z rugera Cama wzięło za trzask z gaźnika.

Cam starannie wyczyścił broń i powoli odłożył ją do walizeczki. Z kieszonki na piersi wyciągnął zmiętą paczkę gitane'ów.

– Zapalisz? – Wyciągnął ją do mnie zapraszająco.

– Skuszę się na jednego. – Przyjąłem papierosa i zapalniczkę. Dłonie, którymi osłoniłem płomień, nie drżały. Przynajmniej na razie. Zaciągnąłem się głęboko. Omal nie upadłem.

– Nie napadli na nas dla forsy – oznajmił nagle Cam. – Nie tak się okrada jeleni z kasą.

Do mojego napompowanego adrenaliną umysłu zaczęło powoli coś docierać.

– Gdzie zauważyłeś ich po raz pierwszy?

– Przy wjeździe w Elgin Street. Jechali za nami przez jakiś czas, po czym zniknęli. Zobaczyłem ich dopiero na autostradzie.

Znów zaciągnąłem się wonnym dymem. W głowie zaskoczył mi kolejny trybik.

– Nie sądzę, żeby ten napad miał związek z wyścigami. Prędzej chodziło o sprawę, której się ostatnio przyglądałem. Ktoś chciał mi to wyperswadować, mimo że to mała robótka na boku.

Cam wypuścił z nosa kłęby dymu i rozejrzał się pospiesznie.

– Skoro twierdzisz, że ta była mała, lepiej trzymaj się z dala od dużych – mruknął. – Chcesz zawiadomić gliny?

– Nie. Sam się tym zajmę.

Podjąłem tę decyzję bez chwili wahania. Ludziom, na których życie ktoś się zasadza, gliniarze nigdy nie pomogą. Chyba że mają w tym jakiś interes. W tym przypadku biedak, który skusi się na program

ochrony świadków, kończy w dzielnicy przyczep pod Deniliquin jako jeden z anonimowych włóczęgów.

Obejrzeliśmy samochód. Miał rozbitą w drobny mak przednią szybę oraz przynajmniej pół tuzina okrągłych dziur po kulach w karoserii.

Cam wyciągnął z kieszeni komórkę.

– Da się tym jeździć – wyjaśnił, wskazując głową auto – ale nie mam ochoty tłumaczyć się kolesiom z drogówki. Poproszę kumpla, żeby pożyczył nam swój wóz, a ten odstawił do jakiegoś warsztatu w okolicy. A swoją drogą, ciekawe, gdzie ten mały gnojek załatwił sobie ingrama.

– Strzelał do nas z ingrama?

– Na żelazko toto nie wyglądało.

Ktoś odebrał telefon i Cam skupił się na rozmowie.

– Mam nadzieję, że pamiętasz, ile jesteś mi dłużny, Henry…

Piętnaście minut później na parking wjechał ciemny ford granada, a za nim ciężarówka z lawetą. Kierowca ciężarówki, potężny facet z kudłatą brodą, zalepił taśmą maskującą wszystkie dziury po kulach. Widać było, że robi to nie po raz pierwszy. Zostawiliśmy go więc w spokoju i wsiedliśmy do forda. Po pięciu minutach mknęliśmy już autostradą.

Jechaliśmy w milczeniu. Cam prowadził, trzymając na kierownicy jedynie czubki palców. Z kącika ust zwisał mu zgaszony papieros. Po dość długim czasie zerknął na mnie spod oka.

– Mam nadzieję, że wiesz, że gdyby ci dwaj znali się na robocie, wąchalibyśmy kwiatki od spodu – wycedził.

– Dobrze więc, że nie mieli pojęcia, jak się za to zabrać. – Wyciągnąłem przed siebie ręce i przyjrzałem się dłoniom. Drżały. Widać dopiero teraz ciało pojęło, co się wydarzyło. – Wreszcie do mnie dotarło.

– Nie wracaj do domu. Masz się gdzie zatrzymać?

Pomyślałem o telefonach od Charlesa i Lindy. Zastanowiłem się, do kogo sam dzwoniłem w zeszłym tygodniu. Nie da się ukryć,

wyszedłem na durnia.

– Nie bardzo. I potrzebuję miejsca dla dwojga.

– Da się załatwić. – Cam odzyskał dobry humor. – Dam ci klucze do domu mojej nowej flamy. Wyjechała do Włoch.

– Też chciałbym się tam znaleźć. – Uznałem, że nie warto ukrywać strachu. – Pojechałbym nawet do Bośni, byleby mieć spokój.

Cam otworzył okno i pstryknięciem wyrzucił niedopałek.

– Jeśli w sobotę pójdzie jak trzeba – mruknął. – Wszyscy się tam wybierzemy. I to pierwszą klasą.

* * *

Wootton czekał na nas na parkingu przed pubem – na wielkiej, cudacznie ogrodzonej połaci asfaltu obstawionej od frontu masztami flag, na których powiewały kolorowe płachty. Siedział w swoim jaguarze i czytał gazetę. Zauważył, że nadjeżdżamy, złożył ją i rzucił na fotel pasażera. Wysiadłem i podszedłem do auta. Okno było już otwarte.

– Znasz kogoś, kto usunie mi pluskwy z mieszkania? – spytałem.

Przyjrzał mi się z pogardą i wzruszył ramionami.

– Naprawdę myślisz, że komuś chciałoby się… – urwał, widząc wyraz mojej twarzy. – W porządku. Kiedy?

– Najlepiej teraz.

– Teraz?

– Tak. Niech weźmie klucz od sąsiadów z dołu, spod jedynki. I niech powie, że Jack przesyła serdeczne pozdrowienia, wtedy na pewno nie odmówią.

Wootton wyciągnął z kieszeni komórkę, wybrał numer i wysiadł z auta.

– Podaj adres. – Przez chwilę rozmawiał z kimś, stosując sobie tylko znane skróty. Wymienił mój adres i powtórzył instrukcje dotyczące klucza. – To pilne – dorzucił na koniec.

Bukmacher czekał na nas w różowym saloniku, wypełnionym meblami z chromu i plastiku o futurystycznych kształtach. Gdybym nie zobaczył tego na własne oczy, nigdy bym nie uwierzył, że są ludzie gotowi powierzyć swoją forsę komuś, kto nie wygląda jak Eddie Dollery albo jak wiejski ogrodnik, który przypadkiem znalazł się w mieście.

Wootton zachował się tak, jak kazał mu Harry. Przedstawił mnie jako Raya, a Cama – jako Barry'ego. Bukmacher, a właściwie bukmacherka, bo bez wątpienia była kobietą, miała na imię Cynthia. Wyglądała na trzydzieści kilka, czterdzieści lat. Szczupła i wysoka,

ubrała się na ten dzień w nobliwy szary kostium. Twarz o inteligentnych, ale ostrych rysach łagodziły nieco pełne, kształtne usta. Sięgające ramion brązowe włosy miękko układały się wokół twarzy.

Była konkretna i bezpośrednia. Harry'emu na pewno przypadłaby do gustu.

– Jak wysoko gracie? – spytała.

– Najwyżej jak się da – odpowiedział Cam.

– Ludzie trzęsą teraz portkami. Trzeba rozdzielić forsę.

Cam pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Zrobimy tak… – Zaciągnął się papierosem. – Zaczekasz na drugi sygnał. Zaczekamy, aż podniosą stawki. Potem obstawimy tyle, ile się da bez ich spadku. Wtedy przyjdzie pora na łebków. Niech idą na całego i spuszczą stawki na poziom podłogi.

Cynthia uśmiechnęła się leciutko, przekrzywiając w bok głowę.

– To nie takie proste. Potrzebna będzie armia ludzi, a trudno tu o takich, na których można polegać bez zastrzeżeń.

Miałem wrażenie, że w jej głosie słychać leciutki akcent typowy dla robotników z Tasmanii. Być może wyrwała się kiedyś z szarego, byle jakiego miasta pełnego potężnych facetów o czerwonych karkach, wyblakłych oczach i nieświeżym oddechu. Miasta dziewczyn, które mając za sobą tylko jedno piękne lato, zaraz rodzą dzieci, a potem spędzają popołudnia nad popielniczką pełną petów i butelką taniego wina. Cynthia ocknęła się wcześniej i zwiała, by szukać lepszego miejsca.

– Wiesz, słyszeliśmy, że potrafisz zdziałać cuda, ale skoro to tylko plotki… – Cam zawiesił głos dla większego efektu.

Założyła nogę na nogę. Chłodnym okiem obserwatora dostrzegłem, że ma je wyjątkowo długie i zgrabne. W głębi duszy nadal nie mogłem uwierzyć, że siedzę sobie spokojnie w krzykliwie urządzonym saloniku pubu, podziwiam kształtne kolana kobiety i rozmawiam o zaletach konia wyścigowego, podczas gdy ciąży na mnie wyrok

śmierci, który zaledwie kilka godzin wcześniej ktoś próbował wykonać.

– Poradzę sobie – zapewniła. – Co będzie później?

– Dostaniesz swoją dolę i znikniesz, a my weźmiemy to, co nam się należy, i pójdziemy bawić się gdzie indziej.

– Co z totalizatorem?

– O to niech cię głowa nie boli.

– Kiedy poznam szczegóły?

Cam zapalił gitana i dmuchnął dymem w sufit.

– Cyril do ciebie zadzwoni. Powie ci, dokąd pojechać. Bądź gotowa, żeby od razu wkroczyć do akcji.

– Nie podacie mi nawet numeru gonitwy?

Cam pokręcił głową.

– Nie. Przykro mi.

– Będzie ciężko, jeśli okaże się, że wasz koń pobiegnie w ostatniej.

– W życiu nic nie jest proste. Cyril zapewnił nas, że nie musimy się martwić o forsę na zakłady. Mam nadzieję, że to prawda, bo nie znosimy się martwić.

Wzruszyła ramionami i uniosła ręce w geście oznaczającym zwątpienie.

– Nie wiem, co powiedział wam Cyril, ale zapewniam, że nie ulotnię się z walizką od was. Nigdzie się nie wybieram, a do pilnowania łebków ma trzech strażników.

– Wiem. Myślałem o nich, bo muszą dopilnować, żeby w nasze ręce trafiły wszystkie kwity. Co do jednego. Coś jeszcze chcesz wiedzieć?

Potrząsnęła głową i wstała.

– Miło robić z wami interesy.

– Mamy taką nadzieję – odparł Cam.

Na światłach przy St. George's Road minęła nas karetka i z piskiem opon skręciła ostro w lewo.

– Sprawa życia lub śmierci – mruknął Cam.

Zanim jeszcze wjechaliśmy w moją ulicę, zauważyłem czarny słup dymu wzbijającego się w niebo, które przybrało szary kolor popiołu z papierosa. Ledwie skręciliśmy za róg, natknęliśmy się na trzy radiowozy blokujące jezdnię. Wokół zebrał się tłum ciekawskich. W głębi ulicy, tuż przy krawężniku stał wóz strażacki. Na podniesionych drabinach stali strażacy. Trzymając oburącz potężne węże, lali wodę do ziejącej w dachu dziury.

To był mój dom.

Dziura ziała w dachu mojego domu.

Mój dom płonął.

Cam zatrzymał auto i spojrzał na mnie współczująco.

– To twoje mieszkanie?

Sparaliżowany żalem, tylko skinąłem głową.

– Zaczekaj tutaj – polecił, otwierając drzwi.

Chowając się za słupkiem drzwi, wyjrzałem ostrożnie na ulicę. W tłumie rozpoznałem co najmniej tuzin osób. Kilku sąsiadów, faceta ze sklepu na rogu, właściciela pobliskiej knajpy.

Cam uwinął się w pięć minut. W milczeniu zawrócił auto i ruszył w kierunku, z którego przyjechaliśmy. Dojeżdżaliśmy do Brunswick Street, kiedy wreszcie się odezwał.

– Ledwie koleś, który przyszedł odpluskwić ci chatę, przekręcił klucz w zamku, wszystko wyleciało w powietrze. Gościa zabrali już do szpitala. Przeżyje. Uratowały go mocne drzwi.

– To miałem być ja – powiedziałem, choć zdawałem sobie sprawę, że Cam już to wie.

Dziwne, ale nie odczuwałem strachu. Myślałem tylko o mieszkaniu i cennych pamiątkach, które zostały zniszczone. O książkach, płytach z muzyką klasyczną, obrazach i rysunkach, które kupowała mi Isabel w prezencie na święta i inne okazje. O skórzanej sofie i fotelach do kompletu, które kupiliśmy na aukcji w starym sklepie kolonialnym. Wśród tych przedmiotów stworzyłem sobie dom. Jedyny, jaki miał dla mnie jakiekolwiek znaczenie od czasu, gdy jako dziesięciolatek

wyprowadziłem się z matką do dziadków. W jego ścianach kryła się moja historia, wszystko, co jeszcze łączyło mnie z żoną. Gdyby jakimś cudem Cam zawiózł mnie do kogoś, kto ten dom zniszczył, z pewnością popełniłbym morderstwo, dusząc gościa gołymi rękami.

Po jakimś czasie Cam zapytał:

– Dokąd jedziemy?

Od razu przyszło mi do głowy biuro. Dopiero po chwili dotarły do mnie konsekwencje tego, co się stało. Nie mogłem zbliżyć się na krok do własnego biura ani do stolarni Tauba. Ktoś próbował mnie zabić. Ci, którzy nas dzisiaj napadli, bez skrupułów wykończyliby też Cama. Zastrzeliliby i Charliego, gdyby wszedł im w drogę. Lindę już namierzyli.

Zacząłem się bać. Żołądek zacisnął mi się w ciasny węzeł.

– Muszę zadzwonić – powiedziałem. – Chcę z kimś pogadać.

Cam skręcił w Gertrude Street i zaparkował niedaleko osiedla domów komunalnych. Przed jednym z budynków na hałdzie ziemi siedziało trzech brodatych facetów w granatowych kombinezonach. Patrząc bezmyślnie przed siebie, podawali z rąk do rąk srebrzystą piersiówkę.

Wyjąłem ze schowka telefon komórkowy i wysiadłem. Pogrzebałem w portfelu i w jednej z bocznych kieszonek znalazłem numer, który dostałem od Gartha Bruce'a. Zapisałem go na odwrocie jego wizytówki. Już miałem nacisnąć pierwszą cyfrę, kiedy nagle ogarnęły mnie wątpliwości. Czy mogłem mu zaufać? Linda uważała, że nie. Podobnie jak Drew. Przypomniałem sobie nasze pożegnanie w hotelowym apartamencie. Staliśmy naprzeciwko siebie, zmieszani, próbując dojść do ładu z uczuciem smutku po stracie najbliższych. *Mam nadzieję, że przebolejesz Milovicha*, powiedział.

Wybrałem numer. Jakaś kobieta podniosła słuchawkę po drugim sygnale. Powiedziałem, że John English chce rozmawiać z ministrem.

– Proszę zaczekać, przełączę.

Oparłem się plecami o bok auta. Słońce wyjrzało zza chmur, przez

mroźne powietrze wydawało się krystalicznie czyste. Jeden z robotników siedzących na hałdzie uniósł piersiówkę nad otwarte usta, próbując wytrząsnąć z niej ostatnie krople trunku.

– Tak? – odezwał się Bruce.

– Ktoś próbował mnie dziś zabić. I to dwa razy.

– Dobry Boże! Jesteś cały?

– Tak.

Chwila milczenia.

– Gdzie jesteś?

– Na ulicy.

– Ta sprawa wymknęła się spod kontroli – powiedział powoli, jakby ważył każde słowo. – Chyba nie doceniłem starych kumpli Pixleya. Trzeba cię ukryć w jakimś bezpiecznym miejscu, póki nie przemówimy im do rozumu. Weź ze sobą tę Hillier. Masz z nią jakiś kontakt?

– Tak. Dzisiaj ktoś ją śledził.

– Pewnie ci sami, którzy cię napadli. Musimy zachować ostrożność. Spotkajmy się nad Zatoką Yarra. Jest tam niewielkie pole golfowe, przy którym rozciąga się park. Kojarzysz to miejsce?

– Tak.

– Znajdź Hillier i przyjedźcie tam. Trzymajcie się mniej uczęszczanych ścieżek. Unikajcie publicznych toalet. Czym teraz jeździsz? Podaj numer rejestracyjny.

Obszedłem auto i podałem mu numer z tablicy.

– To niebieski ford granada – dorzuciłem.

– W porządku. Zapisałem. Daj mi jakąś godzinę. Poślę tam dwóch kolesi, którzy cię ostatnio do mnie przywieźli. Zgarną was i ukryją. – Zamilkł na chwilę. – A teraz najważniejsze. Nie rozmawiaj z nikim prócz Hillier. I nie wspominaj jej przez telefon o szczegółach naszej umowy, bo pewnie ją podsłuchują.

– Zgoda. Czekam za godzinę od teraz.

Twarda kula strachu uciskająca mi żołądek powoli zaczęła się

zmniejszać.

– Nie martw się – powiedział. – Nic ci nie będzie. Zachowaj zimną krew. Załatwimy wszystko w dzień lub dwa. Do zobaczenia wieczorem.

Wybrałem numer Lindy. Odebrała prawie natychmiast.

– Upewnij się, że nikt cię nie śledzi, weź taksówkę i jedź tam, gdzie pierwszy raz jedliśmy razem kolację. Pamiętasz to miejsce?

– Tak. – Wydawała się zdziwiona. – Coś się stało?

– Żarty się skończyły. Opowiem ci więcej, gdy się spotkamy. Każ kierowcy podjechać jak najbliżej wejścia. Zaczekaj w taksówce, póki się nie pojawię.

– Co się dzieje, Jack?

– Spotkamy się za pół godziny. Zgoda?

– Oczywiście.

– Do zobaczenia. Kocham cię.

– Wiem – odpowiedziała. – Ja też cię kocham.

* * *

Wróciłem do samochodu. Cam nadal siedział za kółkiem. Ćmił papierosa i przeglądał gazetę.

– Zejdę ci z karku za mniej więcej godzinę – powiedziałem. – Nie zatrzymam się u ciebie. Muszę zniknąć na kilka dni.

Cam długo patrzył na mnie bez słowa.

– Jakoś nie słyszę entuzjazmu w twoim głosie – mruknął wreszcie.

Jeszcze raz wyjąłem portfel. Przeliczyłem, ile forsy mi zostało. W jednej z przegródek znalazłem brudny kawałek kartonu. Wyjąłem go i przeczytałem wiadomość. *Przypomniałem sobie coś jeszcze z tego, o czym rozmawialiśmy. Niech pan do mnie zajrzy. B. Curran, Morton Street 15, Clifton Hill.*

Okolica Clifton Hill wydawała się równie bezpieczna, jak każda inna na te pół godziny, które zostały mi do spotkania z Lindą.

– Podrzucisz mnie do Clifton Hill? – spytałem.

Curran miał na sobie te same ciuchy, co ostatnim razem: brudną niebieską puchową kurtkę i czarne spodnie od dresu z niegdyś białymi pasami po bokach. Możliwe, że nie ściągnął ich od naszego poprzedniego spotkania.

– Fajnie, żeś pan wpadł – przywitał mnie na progu.

– Ponoć przypomniał pan coś sobie o Ronniem Bishopie.

Patrzył na mnie przez chwilę w milczeniu, jakby nie zrozumiał, co powiedziałem.

Wyjąłem portfel, znalazłem dwudziestaka i wręczyłem mu.

Przyjął banknot bez oporów.

– Musiałem iść do pańskiego biura – rzucił tytułem wyjaśnienia. – To kawał drogi. Z powrotem wziąłem taksówkę, bo mi nogi nawalają.

Podałem mu dziesiątaka.

– Chwila – mruknął i poczłapał w głąb ciemnego korytarza. Wrócił po kilku minutach, trzymając w dłoniach zmiętą gazetę.

– Pamiętasz pan, jak mówiłem, że parę razy pukali do niego

gliniarze?

Skinąłem głową.

Zakaszlał i splunął ponad moim prawym ramieniem.

– Jeden z tych kolesi nazywał się Scullin.

– To już od pana słyszałem.

Pociągnął nosem.

– Nie pamiętałem nazwiska tego drugiego. Ale sobie przypomniałem.

– Tak? I jak się gość nazywał?

Rozłożył gazetę. Zerknąłem na tytuł: „Herald Sun”. Curen popukał grubym paluchem w pierwszą stronę.

– To ten gnojek.

Odwrócił gazetę tak, żebym mógł zobaczyć zajmujące niemal połowę strony duże kolorowe zdjęcie faceta siedzącego przed mikrofonami. Po obu jego stronach siedzieli potężni gliniarze wysokiej rangi w mundurach.

– Który to? – spytałem, przyglądając się ich twarzom.

– Nie patrz pan na mundurowych. Mówiłem o fiutku pośrodku. O ministrze we własnej osobie.

Zniecierpliwiony, zamierzałem już odłożyć telefon, kiedy w słuchawce odezwał się damski głos.

– Czy mógłbym rozmawiać z Vinem KcKillopem – spytałem jak najuprzejmiej.

Po drugiej stronie rozległ się suchy kaszel – nieprzyjemny dla ucha dźwięk. Czekałem. Kiedy wreszcie zapadła cisza, powtórzyłem prośbę.

– Z Vinem McKillopem, jeśli można.

– Vin nie żyje. Przedawkował.

Nie miałem więcej pytań.

Wróciłem do pokoju. Linda stała przy olbrzymim kominku ustawionym na samym środku salonu nieobecnej w tej chwili dziewczyny Cama w jej domu przy Crombie Lane w centrum miasta.

Mieszkanie zajmowało całe ostatnie piętro sześciopiętrowego starego magazynu. Dziewczyna była artystką. Malowała. Wszędzie walały się obrazy przedstawiające widoczki, skończone lub niedawno rozpoczęte.

– Vin McKillop nie żyje – powiedziałem. – Pixley też. Trup ściele się gęsto jak na polu bitwy.

– Jezu – jęknęła Linda.

– Garth Bruce był ze Scullinem u Ronniego Bishopa przynajmniej kilka razy, mniej więcej wtedy, kiedy zginęła Anne Jeppeson. Jeśli to Scullin wrobił Danny'ego w jej śmierć, Bruce też maczał w tym palce. To z kolei oznacza, że to on nas wystawił.

Cam leżał na kanapie. Długie nogi przewiesił przez jeden z podłokietników, pod głowę wsunął sobie poduszkę. Popijał piwo z oszronionej butelki.

– A ty podałeś mu numer rejestracyjny naszego nowego auta – zauważył leniwie. Bez trudu przyjął do wiadomości wszystko, co mu opowiedziałem. Nie wydawał się zdziwiony.

– Wygłupiłem się. Fakt – przyznałem ze skruchą. – Ale ciężko wpaść na pomysł, że minister policji nasyła na kogoś zabójców.

– Możliwe, że nie jest w to zamieszany – podsunęła Linda. Ubrana była jak do pracy, w szary kostium, kremową bluzkę, czarne pończochy. Na nogach miała szpilki. Choć podekscytowany wydarzeniami, poczułem na jej widok dreszcz pożądania.

– Nawet jeśli, lepiej nie brać tego za pewnik i nie opierać na tym przypuszczeniu żadnych planów – powiedziałem. – Co zrobimy z autem? – Ford pożyczony od kumpla Cama stał teraz spokojnie na podziemnym parkingu budynku.

Cam zdjął nogi z kanapy.

– Niech zostanie tutaj. Kumpel zgłosi, że go skradziono i załatwi nam inny. – Podniósł się ciężko i pomaszerował w głąb długiego salonu w kierunku kuchni. Linda odprowadziła go spojrzeniem.

– Z czego on żyje? – spytała, gdy wyszedł.

– Jest hazardzistą. A dziś rano postrzelił kolesia, który wymachiwał automatem. Tylko dlatego jestem tu żywy.

– Wierzę. – Pokiwała głową. – Co robimy?

– Myślimy. Zastanawiamy się, gdzie szukać dowodów. Tylko konkretny dowód wyciągnie nas z bagna, w którym tkwimy po uszy.

– Powiedziałeś mi kiedyś… – Linda podparła pięścią podbródek i zapatrzyła się w przestrzeń. – Na początku powiedziałeś, że według żony Danny'ego McKillopa istnieje dowód na to, że jej mąż nie zabił Jeppeson.

Wróciłem pamięcią do wieczoru, w którym rozmawiałem z panią McKillop w kuchni wyremontowanej przez Danny'ego. Racja. Wspomniała o telefonie od kobiety. Kobiety, która ponoć miała dowód na niewinność McKillopa i której mąż zmarł niedługo przed tym.

– Dała Danny'emu ten dowód? – spytała Linda.

– O ile wiem, nie.

– Jeśli więc to coś dowodzi niewinności McKillopa, obarcza winą kogoś innego, zgadza się?

– Możliwe. – Zacząłem rozważać. – Zastanówmy się zatem, kto mógłby wejść w posiadanie takiego dowodu. Stawiałbym na gliniarza.

– A ja na kogoś związanego z Charis Corp.

– No tak – westchnąłem. – Znów zabrnęliśmy w ślepy zaułek.

Linda wstała i podeszła do wielkiego, okutego stalą okna. Wysokie obcasy jej butów zastukały o wypolerowany beton posadzki. Żeby wyjrzeć na zewnątrz, musiała wspiąć się na palce. Mięśnie jej łydek napięły się przy tym, uwydatniając ich kształt. W innej sytuacji natychmiast bym do niej podszedł i zabrał ją do sypialni.

– Powiedzmy, że mąż tej babki jest gliną. Był – poprawiła. – Co z tego wynika?

– Że zmarł na krótko przed śmiercią Danny'ego. Mniej więcej miesiąc wcześniej.

– Skąd wiesz?

– Zakładam, że wdowa odezwała się do McKillopa wkrótce po jego śmierci. Według żony Danny'ego zadzwoniła na miesiąc przed strzelaniną na parkingu przed Trafalgarem.

Linda odwróciła się na pięcie.

– Kiedy zastrzelono Danny'ego?

Podałem jej dokładną datę.

– Gdzie telefon? – Wyglądała na podekscytowaną.

– Już daję. – Cam wyszedł z kuchni, trzymając w dłoni telefon bezprzewodowy. – Załatwiłem nam nowy wózek. Jadę po niego. Wrócę niedługo. Mogę wam coś przywieźć, jeśli chcecie.

Linda odebrała mu słuchawkę.

– Masz tu gdzieś książkę telefoniczną?

– Jest w kuchni, na lodówce.

Cam pomachał do mnie i wyszedł, a Linda pomaszerowała do kuchni.

Kiedy wróciła, wyjęła z torby notatnik, usiadła i wybrała numer.

– Halo? Związek Policjantów? Z sekretariatem poproszę. Rozumiem. Z kim mogłabym porozmawiać na temat danych waszych członków? Zajmuje się tym inna sekretarka? Denise Walters. Tak. Bardzo proszę.

Czekała cierpliwie, patrząc mi w twarz.

– Dzień dobry – podjęła po chwili. – Nazywam się Colleen Farrrell. Doktor Colleen Farrell z Wydziału Medycyny Uniwersytetu Monash. Chciałabym prosić o pomoc. Analizujemy przypadki śmierci policjantów w Australii. Słyszała pani o naszych badaniach? Nie? W sumie nic dziwnego, dopiero zaczęliśmy. Próbujemy udowodnić, że stres ma w waszej pracy destrukcyjne znaczenie. Damy wam argument na rzecz podniesienia pensji. – Nastąpiła przerwa. Widać osoba po drugiej stronie miała sporo do powiedzenia. – Tak. Dawka stresu w waszej pracy zdecydowanie odbiega od przeciętnej. Mamy drobny problem. Liczę, że pomoże nam go pani rozwiązać. Brakuje nam danych o śmierci policjantów w Victorii z ostatnich dwóch

miesięcy. – Znowu przerwa. – Zgadza się. Pozostałe dane wzięliśmy bezpośrednio z biura komisarza, ale osoba, która nam je przekazała, poszła na urlop. Też bym odpoczęła, zanim jednak wyjadę, muszę skompletować papiery. – Chwila ciszy. – Byłoby cudownie. Zaczekam.

Siedzieliśmy w milczeniu, co jakiś czas na siebie popatrując. Linda sięgnęła do rąbka spódnicy i zaczęła ją podwijać, bardzo powoli mnąc w palcach materiał. Napinała przy tym mięśnie ud i przesuwała zachęcająco pośladkami po krześle. Widziałem już zapraszającą ciemność u zbiegu jej nóg, kiedy znów się odezwała:

– Nadal czekam. Tak. W tym roku nie zmarł ani nie zginął żaden policjant w służbie czynnej. A w stanie spoczynku? – Chwila ciszy. – Dwóch w styczniu, nikt w lutym, jeden w marcu i jeden w kwietniu. Proszę mi podać ich nazwiska. Skontaktujemy się z rodzinami i uzupełnimy dane.

Znów zapadła cisza, a potem Linda zaczęła pisać.

– H.J. Mullins… T.R. Conroy… M.E.F. Davis… P.K. Vane… Vane pisze się przez „e” na końcu, zgadza się? Fantastycznie. Mieliśmy akta wszystkich, z wyjątkiem Vane’a. Znajdzie pani może jakieś daty, na przykład urodzenia, skończenia szkoły… – Cisza. – Tylko lata służby? Yhm. Od 1963 do 1988. Jednostka polityczna w latach 1978–1984. Dziękuję. Bardzo mi pani pomogła. Postaram się odwdzięczyć. Do zobaczenia.

Przerwała połączenie, odłożyła telefon na stolik i na powrót obciągnęła spódnicę do przyzwoitej długości.

– Nie lubię, gdy faceci się ślinią – rzuciła z przewrotnym uśmiechem. – Do McKillopa musiała dzwonić wdowa po Vane’ie. W czasie gdy zginęła Anne Jeppeson, służył w jednostkach specjalnych zajmujących się śledzeniem elementów niepewnych politycznie.

– Darujmy sobie. Ci tak zwani spece ze specjalnych infiltrowali środowiska anarchistyczne. Cała ich jednostka składała się z sześciu ludzi i wyliniałego owczarka szkockiego. Jeśli gliniarz zdobył dowód,

musiał kręcić się po wydziale narkotyków i znać Scullina.

Z hallu dobiegł odgłos kroku. Usztywniłem w napięciu ramiona. Wydałem mimowolne westchnienie ulgi, kiedy do pokoju wszedł Cam.

– Wszystko załatwione – obwieścił radośnie. – Pora na mnie. Gdybyś czegoś potrzebował, wciśnij w telefonie przycisk autowybierania i cyfrę 8. Wyświetli ci się mój numer. Dzwoń o każdej porze, a na pewno się odezwę. – Rozchylił klapy marynarki, pokazując mi przyczepiony do paska pager.

– Jestem twoim dłużnikiem.

– Nie martw się. Podliczę cię za to w sobotę. W lodówce macie pełno żarcia. – Obejrzał Lindę od stóp do głów. – Zajrzyj do szafy w głównej sypialni. Coś na pewno będzie na ciebie pasować. Ty, Jack, pobuszuj w szafie w pokoju gościnnym. Pełno w niej ciuchów po jej byłym. Spory był z niego facet. Lubił markowe koszule. Czuj się jak u siebie.

Odprowadziłem go do drzwi. Był już za progiem, kiedy o czymś sobie przypomniał. Zawrócił.

– Tę małą metalową walizkę schowałem w kuchni pod zlewem. Na twoim miejscu nikomu bym dziś nie otwierał.

Wracając do salonu, zajrzałem do łazienki. W jednej z szafek znalazłem aspirynę. Adrenalina sprawia wprawdzie, że człowiek działa szybciej, pozostawia po sobie jednak potężny ból głowy i poczucie ogólnego znużenia. Połknąłem tabletkę i przyjrzałem się uważniej zawartości pudełek na lekarstwa. Nagle przypomniało mi się pewne zdanie.

Anne powiedziała wtedy, że wszędzie czuje się bezpieczna, bo zawsze chodzi za nią ktoś ze specjalnych.

Wiedziałem, gdzie je usłyszałem. W domu Anne Jeppeson, z ust jej matki.

* * *

Wydział Prawa Uniwersytetu Melbourne wyglądał dokładnie tak, jak Wydział Prawa wyglądać powinien. Zacieniony dziedziniec otaczały porośnięte bluszczem krużganki.

Przez chwilę wałęsałem się bez celu, po czym ruszyłem po schodach nieopodal miejsca, przy którym podpaliła się kiedyś dziewczyna protestująca przeciwko wojnie w Wietnamie. Nikt nie zwrócił na mnie uwagi. Wokół kampusu roiło się od młodzieńców w zielonych kurtach z demobilu z czapkami z daszkiem na głowie. Wyglądałem jak oni, byłem tylko trochę starszy. O jakieś trzydzieści lat.

Gość, którego szukałem, maszerował dziarsko na czele grupy studentów. Wyglądał jak każdy szanujący się wykładowca przed zajęciami: wypoczęty, zadowolony z siebie, pełen zapału do pracy. Nazywał się Barry Chilvers i uczył prawa konstytucyjnego. Był aktywnym działaczem ruchów liberalnych, wiedział więc o jednostkach politycznych znacznie więcej niż przeciętni obywatele.

– Barry! – zawołałem, kiedy się ze mną zrównał.

Gwałtownie uniósł głowę i spojrzał w moim kierunku, mrużąc oczy zasłonięte grubymi szkłami.

Pospiesznie zdjąłem czapkę.

– Chryste, Jack. – Teraz rozpoznał mnie bez trudu. – Skąd wytrzasnąłeś taką kurtkę? I ta czapka! Ma naszywkę klubu z Collingwood. Jakim cudem włożyłeś toto na głowę?

– Staram się, żeby nikt mnie nie rozpoznał. Masz chwilę?

Pogadał z jednym ze studentów, każąc mu poprowadzić resztę dalej, po czym wziął mnie za łokieć i pociągnął w stronę schodów. Poszliśmy na górę do jego gabinetu. Panował w nim dokładnie taki sam bałagan, jaki zapamiętałem: wszystkie płaskie powierzchnie zawalały książki, gazety, broszury, wypracowania studentów, styropianowe kubki, papierowe tacki, drobne elementy odzieży.

Zmieniło się jedno – teraz w tym chaosie tonęły jeszcze dwa komputery.

Zdjąłem z jednego z krzeseł teczkę oraz stos gazet i usiadłem.

– Wyglądasz na bardzo z siebie zadowolonego – zauważyłem.

Nie odpowiedział od razu, tylko zmierzwił wełniste siwe włosy.

– Dziś znów rzucałem perły przed wieprze, ale przynajmniej mnie to bawiło. Pewnego dnia jednak nie wytrzymam i rozwalę głową drzwi sali wykładowej. Czemu zawdzięczam twoją wizytę?

– Pamiętasz Anne Jeppeson?

– A kto by jej nie pamiętał? Rzucała się w oczy. Był niezła, choć stuknięta.

– Możliwe, że chodzili za nią gliniarze ze specjalnej?

Barry wsadził kciuk do ust i kilka razy przesunął paznokciem pomiędzy przednimi zębami.

– Trudno powiedzieć. A kto tak twierdzi?

– Wspomniała o tym matce.

– Miała paranoję na punkcie polityki i gliniarzy. Większość aktywnych działaczy myśli, że ktoś ich śledzi. Dzięki temu czują się ważniejsi. Zwykle się mylą i nazywają agentem niewinne drzewo w parku.

– Ale czy to byłoby możliwe?

Wzruszył ramionami.

– Owszem. I nawet uzasadnione. Zajmowała się mnóstwem spraw przyciągających uwagę gliniarzy. Interesowała się Roxbym. Prawami Aborygenów na Tasmanii, sytuacja w Timorze Wschodnim… Właściwie wystarczyło rzucić hasło, a już pchała tam nos.

– Timor Wschodni i nasi polityczni? Myślałem, że interesuje ich tylko własne podwórko.

Barry znów uniósł lekko ramiona.

– Nasi specjalni, Tajna Służba Wywiadu i Tajna Służba Bezpieczeństwa, wszystko to jeden pies. Ręka rękę myje. Nie zdziwiłbym się, gdyby wzięli się za Anne.

Zadowolony z drobnego sukcesu, zadałem mu kolejne pytanie.

Westchnął ciężko.

– Wokół kogo węszyli w 1984 roku? Chryste, Jack! Nie za dużo ode mnie wymagasz? Kiedy dokładnie?

Powiedziałem mu.

– Zanim Harker doszedł do władzy i zanim nowy rząd rozwiązał jednostki specjalne policji? – upewnił się jeszcze.

– Zgadza się. Na pewno istnieją akta dotyczące tamtych czasów.

Barry potrząsnął głową z irytacją.

– Nic z tego. Wszystkie zostały zniszczone na rozkaz najwyższych władz.

– Czyli nie ma śladu po tych aferach, na których trop wpadli?

Klasnął w dłonie.

– Powtarzam ci: wszystko zniszczono. Ale najpierw powstały kopie dokumentów.

– Po co kopiować coś, co się niszczy?

– A jak myślisz? – Barry najwyraźniej dobrze się bawił. – W tym przypadku gliniarze i przedstawiciele opozycji wyjątkowo szybko doszli do porozumienia. Zastanów się. Akta te powstały dzięki pięciu miliardom godzin, podczas których gliniarze ze specjalnych mokli na zimnym deszczu, marząc o tym, by się wysikać w jakimś ustronnym kącie. Gdyby zostały zniszczone, a do władzy doszedłby kolejny rząd o innych przekonaniach politycznych, całą robotę trzeba by zaczynać od początku, znów szpiegując bandę w gruncie rzeczy nieszkodliwych czubków. Ponoć w wydziale specjalnym uruchomiono trzy kopiarki i wrzucano w nie papiery dwadzieścia cztery godziny na dobę przez kilka dni.

– Kto przechowuje kopie?

– Jakie kopie? Przecież nikt nie przyzna, że powstały.

Straciłem cierpliwość.

– To kwestia życia lub śmierci.

Barry znów poczochrał swoją imponującą czuprynę, jakby się nad

czymś zastanawiał. Potem obrócił się na krześle w stronę stojącego na podłodze stosu książek. Widać, że od lat nad nią pracował, odkładając tomy w przypadkowej kolejności, co sprawiło, że wyglądała niczym starobabiloński ziggurat.

– Niczego ci nie obiecuję – zastrzegł. – Zapytam kogoś, kto być może zna kogoś, kto być może dotrze do osoby, która cię zainteresuje.

Wstałem.

– Muszę to wiedzieć dziś. Mam nóż na gardle.

Barry też się podniósł. Jego oczy znalazły się na wysokości środkowego guzika mojej kurtki. Spojrzał w górę, prosto w moją twarz.

– Mówisz poważnie?

Skinąłem głową.

W odpowiedzi zwiesił smętnie swoją.

– Pogadam z moim byłym opiekunem naukowym. Nie dam ci numeru, bo nie lubi, gdy się do niego dzwoni. Jak wszyscy jemu podobni, ma manię prześladowczą. Podaj mi jakieś nazwisko albo datę. Coś, co pomoże nam znaleźć punkt zaczepienia.

– Bóg ci za to zapłaci, Barry.

– Boga nie ma, i dobrze o tym wiesz, więc się nim nie zasłaniaj. Zadzwoń do mnie koło piątej. Ale pamiętaj, że niczego nie obiecuję. Nie wiem, czy uda się trafić na ślad. – Przerwał na chwilę. – Robię to tylko dlatego, że twój ojciec zasłużył się dla drużyny Fitzroy. O ciebie bym się nie martwił.

– Wiem. Roysi górą!

* * *

Znalazłem Lindę przy laptopie w długim, wąskim pokoju za kuchnią. Na ustawionej pod jedną ze ścian ławie stały trzy komputery, w tym jeden z ogromnym monitorem, oraz dwie drukarki. Przeciwległą ścianę zajmowała wielka korkowa tablica, na której wisiały kolorowe wydruki z grafiką komputerową. Wyglądało na to, że kobieta Cama wypróbowywała na nich kompozycje kolorystyczne do swoich pejzaży.

– Babka ma świra na punkcie komputerów – podsumowała ją Linda. Siedziała przed monitorem i wertowała widoczny na nim tekst. – Z takim poborem mocy mogłaby liczyć podatki dla całej Australii.

– Co robisz? – spytałem, gnany ciekawością.

– Powiem ci, gdy skończę – odparła, stukając jednocześnie w klawiaturę.

Urażony, poszedłem do pustego salonu. Była szesnasta trzydzieści. W kominku dogasał ogień, podobnie jak światło dnia za oknem. Ze stosu drewna w przedpokoju wziąłem polano i przyniosłem je przed kominek. Wsunąłem je do paleniska, po czym stalowymi szczypcami poprawiłem resztę tlących się drewnianych szczap. Podsyciwszy w ten sposób ogień, wybrałem się na inspekcję mieszkania. Oprócz salonu, pokoju komputerowego i kuchni, które już znałem, miało jeszcze dwie wielkie sypialnie, dwie łazienki i studio-pracownię wielkości basenu olimpijskiego. Tuż obok grubych stalowych drzwi wejściowych znajdowały się inne drzwi prowadzące na wewnętrzną klatkę schodową.

Kiedy skończyłem wycieczkę, usiadłem przed kominkiem, wsunąłem ręce do kieszeni i zapatrzyłem się w płomienie, dumając, jak by tu wrócić do normalnego życia. Pomyślałem, że namówię Drew, żeby negocjował w moim imieniu z policją. Pytanie tylko, co miał za mnie negocjować i co ofiarować w zamian. Zniszczenia w moim mieszkaniu dowodziły, że z całą pewnością potrzebuję

ochrony. Czy jednak na pewno? Zdarzali się szaleńcy, którzy sami zaminowywali swoje domy. Co więcej, to nie ja omal nie zginąłem, otwierając drzwi. Może więc pojawi się podejrzenie, że zastawiłem pułapkę na tego biedaka.

A co z facetem na motocyklu? Tym, który ostrzelał nas z automatu? Nie zgłosiliśmy z Camem napadu i pospiesznie usunęliśmy jego ślady, oddając podziurawione auto jego kumplowi. Teraz została pewnie z niego kostka żelaza wielkości torebki z herbatą. Co gorsza, kumpel Cama nie wyglądał na kogoś, kto miałby ochotę fatygować się na posterunek i zeznawać na moją korzyść.

Gliniarze spytaliby też o Lindę i o to, dlaczego się ukrywa. Nikt przecież nie próbował jej zabić. Nikt też jej nie groził. Została okradziona. To wszystko. Kradzieże zdarzają się co dzień setkom obywateli.

A co z ministrem? Pewnie nie poznałby nawet mojego nazwiska na liście oskarżonych.

Linda zjawiła się w salonie mniej więcej o siedemnastej trzydzieści. Przyniosła ze sobą spory plik wydruków.

– Zapal światło – rzuciła od progu. – Pokój wygląda, jakbyś wystawiał tu *Makbeta*.

Miała rację. Salon pogrążony był w ponurym półmroku rozjaśnionym jedynie przez ogień z kominka. Jego blask migotał na niedokończonych pejzażach i tańczył z cieniami na ścianach.

Linda znalazła włączniki świateł nieopodal drzwi od kuchni.

– Wygląda jak kokpit boeninga – mruknęła, bezskutecznie wciskając guziki.

Wreszcie się udało i światło z żyrandola zalało pokój.

– Tak lepiej. Kominek zostawmy sobie na później. Znalazłam coś ciekawego. Pamiętasz, że wszystkie spółki skupujące ziemię na brzegu zatoki Yarra okazały się własnością innych spółek, które nie ujawniły wcześniej swojej tożsamości?

– Tak.

– Przeszukałam wszystkie dostępne bazy danych finansowych, żeby dowiedzieć się czegoś o ich właścicielach. W jednej odnalazłam od razu trzy interesujące nas spółki. Wszystkie z Jersey. W 1982 roku zostały zawieszone przez brytyjską Komisję Bezpieczeństwa za skupowanie i przechowywanie dla irlandzkiej firmy akcji angielskiej spółki budowlanej.

– Zgubiłem się.

– Spokojnie. Wkrótce wszystko zrozumiesz. Wszystkimi trzema spółkami zarządzała jedna osoba z Jersey, biegły księgowy. Komisja Bezpieczeństwa przycisnęła go trochę, żeby przyznał, skąd pochodziły pieniądze na zakup akcji. Okazało się, że nie od Irlandczyków, lecz od spółkimatki, posiadającej większościowe pakiety we wszystkich trzech wspomnianych spółkach. Spółkę tę zarejestrowano na Kajmanach, a nazywała się Pericoe Holdings. I tu kończy się historia, bo Komisja Bezpieczeństwa zawiesiła spółki i przestała się interesować sprawą.

Przez chwilę milczała.

– Ale ty szukałaś dalej? – podsunąłem.

– Zgadza się. W ten sposób dotarłam do bazy danych uniwersytetu w Suvie na południowym Pacyfiku. I zobacz, co tam znalazłam. – Wyciągnęła do mnie jeden z wydruków. – To artykulik z nieistniejącej już gazety „Pacific Focus” z 1981 roku. Ktoś go zeskanował i wrzucił do Internetu. Wynika z niego, że pewna zarejestrowana na Kajmanach spółka posiada pakiet większościowy firmy, która chce przejąć bank na wyspach Groningen. A jak nazywa się ta spółka?

– Jeśli to jakiś quiz, powiem od razu: nie mam pojęcia.

– Pericoe Holdings.

– To wszystko?

Skinęła głową.

– Zgodnie z przepisami lokalnego prawa Pericoe została zmuszona do ujawnienia nazwisk swoich akcjonariuszy. – Wyjęła z pliku kolejną kartkę i zaczęła czytać. – Ci szczęśliwcy to: J. Massey zamieszkała przy Carnegie Road w Toorak, Melbourne, M. Jillings z Miller Street

w Kew, Melbourne, oraz H. McGinty z Carnham Close w Brighton, Melbourne.

– Powinienem skojarzyć nazwiska?

Linda podeszła bliżej i stanęła tuż przed moim nosem.

– J. Massey to Jocelyn Massey, była żona Dixa Masseya, nominalnego szefa Charis Corps. M. Jillings to nie kto inny jak Maxine Jillings, żona Keitha Jillingsa, głównego udziałowca Charis Corps, a H. McGinty nazywa się Hayden McGinty. Jest duszą dystyngowanego towarzystwa, gwiazdą kolorowych magazynów i żoną Martina McGinty'ego, prezesa Marbild, filii Charis Corporation.

Rzuciła wydruki na stolik do kawy i wsparła ręce na biodrach.

– Strzał w dziesiątkę. Wreszcie połączyliśmy Charis Corp z firmami wykupującymi wybrzeże Yarra. Jej szefowie będą się gęsto tłumaczyć. Jest więcej niż pewne, że przedsiębiorcze gosposie z Charis zainwestowały teraz swoją forsę na szpilki w nieruchomości.

– Jesteś zbyt bystra jak na kogoś o twojej urodzie. Czy ktoś już ci to mówił?

– Faceci, którzy chcieli zaciągnąć mnie do łóżka. Co z facetem z jednostki specjalnej?

– Muszę zadzwonić do Barry'ego Chilversa.

Wybrałem numer. Po kilku sygnałach słuchawkę podniosło dziecko. Dziewczynka. Widać Barry rozpoczął drugą rundkę prokreacji, najpewniej z którąś ze swoich byłych studentek. Taka jest cena akademickiego życia. Pierwsze żony szybko przestają się interesować błyskotliwym umysłem małżonków, a zaczynają myśleć o ich kieszeniach.

Barry szybko podszedł do telefonu.

– Chilvers – rzucił.

– Mówi facet w czapce drużyny Colingwood.

– Na przyszłość wymyśl lepsze hasło. Witaj, dowcipnisiu. Twoje przypuszczenia okazały się słuszne. Wspomniana dama rzeczywiście była obiektem atencji.

– A kawaler?

– Niestety, tym razem jej nie towarzyszył. Pilnował działacza z Timoru Wschodniego, który przybył do miasta na manifestację. Czy to ci coś ułatwiło?

– Bardzo możliwe. Co wynika z jego raportu?

– Nic ciekawego. Facet spędził wieczór ze swoimi znanymi powszechnie przyjaciółmi w barze przy Scott Street w Fitzroy, a potem grzecznie wrócił do hotelu. To wszystko.

– Facet w czapce drużyny Collingwood jest ci dozgonnie wdzięczny.

– Górą Roysi! – zawołał Barry i odłożył słuchawkę.

Wróciłem do salonu. Linda stała na szerokim parapecie jednego z wielkich okien. Odwróciła się w moją stronę.

– Powiem ci, czego się dowiedziałem. Przemyśl to. W noc, w którą zginęła Anne, P.K. Vane z jednostki specjalnej pilnował aktywisty z Timoru Wschodniego, który zatrzymał się w Melbourne na kilka dni.

Linda skinęła głową.

– Manuela Carvalho – uzupełniła. – Często tu przyjeżdżał. Na pewnym etapie mówiło się nawet, że miał romans z Anne.

– Czy pamiętasz, gdzie Anne spędziła wieczór przed śmiercią?

– Z przyjaciółmi. W Fitzroy.

– Na pewno tam?

– Tak. W pubie przy Scott Street. Znam przelotnie kilku jej kumpli, którzy to potwierdzili. – Podniosła głowę. Jej oczy lśniły podnieceniem. – Zaraz… Chcesz powiedzieć, że Carvalho też bawił się wtedy przy Scott Street?

Uniosłem kciuki w geście zwycięstwa. Czułem się tak, jakbym zdobył puchar Melbourne.

– Zgadza się. Tak twierdzi Barry. I założę się, że Manuel Carvalho wrócił do Richmond razem z Anne. Niczym wierny pies podążył za nimi P.K. Vane, agent na służbie. Jest więcej niż pewne, że widział, co

się stało, ale z jakiegoś powodu postanowił zatrzymać to dla siebie. To jego szukaliśmy. I to jego żona zadzwoniła do McKilllopa. A to oznacza, że wie, gdzie jest dowód.

Linda odrzuciła głowę do tyłu, przymknęła oczy i z leniwym uśmiechem wplotła palce we włosy.

Usiadłem ciężko na kanapie, bo nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Rozsunąłem je szeroko, zapierając się piętami o podłogę. Ręce zaplotłem na karku i westchnąłem z ulgą. Jest dla nas nadzieja.

Linda przeszła przez pokój i stanęła między moimi nogami. Oparła ręce na biodrach i zaczęła podciągać w górę czarną opiętą spódnicę, poruszając przy tym zmysłowo biodrami. Kiedy spod materiału wychyliły się koronkowe brzegi pończoch i cienkie zapięcia pasa, spytałem, próbując nadać głosowi normalne brzmienie:

– Od kiedy nosisz pas do pończoch?

Nie odpowiedziała, tylko uniosła spódnicę jeszcze wyżej. Nie miała na sobie majtek. Gęste włosy łonowe znalazły się dokładnie na wysokości moich oczu. Linda położyła dłonie na pośladkach i wypchnęła ku mnie miednicę.

– Zawsze wkładam pas do pończoch – powiedziała – kiedy chcę, żeby ktoś zerżnął mnie do utraty tchu na podłodze przed kominkiem.

Zaczęła rozpinać bluzkę. Wyciągnąłem ręce i objąłem ją w talii. Zostawiła bluzkę w spokoju, ale zamiast tego zdjęła spódnicę, która opadła do jej stóp.

– Widziałeś już, co mam, Irish – rzuciła. – Ściągaj spodnie i pokaż, co w nich nosisz.

* * *

Czy można cieszyć się seksem, gdy ktoś czyha na wasze życie? Owszem, można. Czy dobry seks rozprasza strach? Tak. Na krótko. Zastanawiałem się nad tym, leżąc nago przy kominku i czekając, aż ostygnie na mnie pot.

Linda wróciła z sypialni ubrana w dżinsy i błękitną koszulę.

– Ta dziewczyna ma wszystko – powiedziała z zachwytem. – Trzeba było zająć się malarstwem.

Niechętnie podniosłem się z podłogi. Zawsze czułem się głupio, świecąc gołym tyłkiem przed kimś, kto zdążył się już ubrać. Pocałowałem ją i poszedłem pod prysznic.

Stałem pod kaskadą wody w kabinie wielkości kuchni, kiedy od drzwi łazienki dobiegł mnie głos Lindy:

– Pospiesz się. Znalazłam szampana!

Ciuchy byłego kochanka właścicielki mieszkania pasowały na mnie jak ulał. Wybrałem dżinsy i sztruksową ciemną koszulę. Kiedy przechodziłem obok kuchni, Linda zawołała z pokoju komputerowego:

– Postawiłam ci kieliszek na kominku. Napij się beze mnie. Szukam nazwiska Vane w bazie danych „Age'a".

Pociągnąłem łyk szampana. Dobry, stary Krug. Lekko słodki, z bąbelkami szczypiącymi w język.

Po raz pierwszy od dawna poczułem, że damy sobie radę i jakoś wybrniemy z bagna, w którym się niechcący znaleźliśmy.

Linda wyszła z kuchni.

– Paul Karl Vane nie zmarł z przyczyn naturalnych – oznajmiła od progu. – Zginął w drodze do domu w Beaumaris. Ktoś go zastrzelił. Wpakował w niego sześć kulek. Cztery z bliska, z czego trzy prosto w głowę.

Linda położyła się koło dwudziestej drugiej. Była wyraźnie przygnębiona. Wiadomość o śmierci Paula Vane'a zgasiła radość z odkrycia związków łączących Charis Corporation z firmami wykupującymi działki na wybrzeżu zatoki Yarra. Usiadłem przy kominku. Patrzyłem w płomienie, popijając whisky. O szczegółach wybuchu w moim mieszkaniu usłyszałem w wiadomościach na Channel 9 o dwudziestej drugiej trzydzieści. Był tematem numer dwa. Umieszczona w helikopterze kamera zajrzała z lotu ptaka przez dziurę w dachu wprost do mojego salonu. Odwróciłem wzrok, by nie widzieć zniszczeń.

Prezenterka wiadomości, młoda kobieta z zębami, które pasowałyby do osoby znacznie od niej potężniejszej, oznajmiła:

– Policja poszukuje właściciela zniszczonego mieszkania, adwokata z Fitzroy, Jacka Irisha. Mężczyzna ma około czterdziestu kilku lat i ciemne włosy. Jest wysoki i dobrze zbudowany. Możliwe, że przebywa w towarzystwie innego mężczyzny, również poszukiwanego przez policję Camerona Delraya. Delray nie ma stałego adresu. Wygląda na trzydzieści kilka lat. Jest wysoki, szczupły, śniady i ciemnowłosy. Towarzyszy im wysoka ciemnowłosa kobieta w popielatym kostiumie. Obaj mężczyźni wzięli udział w strzelaninie, do jakiej doszło popołudniu na jednym z miejskich parkingów. Policja ostrzega, że mogą być uzbrojeni. Należy zachować ostrożność i pod żadnym pozorem się do nich nie zbliżać. Osoby, które zauważą podejrzanych, proszone są o kontakt z policją.

– Rany boskie!

Czułem, że narasta we mnie panika. Podniosłem się z kanapy i dolałem sobie whisky. Teraz cała nadzieja w Drew. Jeśli nic nie wytarguje, obaj z Camem skończymy jak Danny McKillop na parkingu przed Trafalgarem.

Postanowiłem wykonać kilka telefonów. Najpierw zadzwoniłem do siostry. Podniosła niemal natychmiast, jakby siedziała przy telefonie.

– Boże, Jack, co się…

Nie pozwoliłem jej dokończyć. Musiałem się spieszyć.

– Nic mi nie jest. Nie martw się. Zadzwoń do Claire. Powiedz, że ze mną rozmawiałaś i że nic mi się nie stało. To jakieś nieporozumienie. Nie przejmuj się tym, co plotą w telewizji. Na jakiś czas zniknę wszystkim z oczu. Odezwę się później.

– Czy to znaczy, że nie zjemy razem lunchu?

– Niewykluczone. Zadzwonię jeszcze. Kocham cię.

Przerwałem połączenie. Lunch! Pokręciłem głową z niedowierzaniem, że w obliczu mojej potencjalnej śmierci Rosa zawraca sobie głowę bzdurami. Przyszła kolej na Drew. Wyciągnąłem rękę po słuchawkę, kiedy rozległ się dzwonek telefonu.

– Posłuchaj, Jack – usłyszałem spokojny głos Cama. – Czas się zbierać. Minister posłał po ciebie kilku gości z bronią. Idź do pracowni. Pod jedną ze ścian znajdziesz składaną drabinę, a w lewym rogu pokoju kwadratowy, zasłonięty klapą otwór w suficie. Rozumiesz?

– Tak. – Telefon drżał mi w dłoni.

– Wejdź na górę. Powinieneś się zmieścić. Kiedy będziesz już na dachu, wciągnij za sobą drabinę. Przejdź obok maszynowni windy, która mieści się na środku i zablokuj drzwi na schody. Nadążasz?

– Tak.

– Nie ma innej drogi na dach. Dzięki temu zyskasz trochę czasu. Pospiesz się, bo jadą już na górę.

Rozłączył się.

– Co się stało? – spytała Linda. Stała w drzwiach z twarzą zaczerwienioną od snu. Na jednym z jej policzków widniał odcisk od poduszki. Była kompletnie ubrana.

– Włóż buty. – Bez powodzenia próbowałem naśladować spokój Delraya, bo głos mi drżał. – Pospiesz się. Musimy stąd uciekać. Spotkamy się w pracowni.

Drabina była aluminiowa, dużo lżejsza, niż się spodziewałem. Rozstawiłem ją pod otworem w suficie. Zaczekałem na Lindę. Przyszła

z laptopem pod pachą. Oczy miała szeroko otwarte, oddychała płytko.

– Pójdę pierwszy i otworzę klapę.

Od sufitu dzieliło mnie mniej więcej sześć metrów. Szczeble uginały się alarmująco. Ktoś, kto wykonał drabinę, nie przewidział, że będzie po niej skakać wielki, ciężki facet.

Byłem w połowie drogi, kiedy rozległo się walenie do drzwi.

– Panie Irish! – zawołał męski głos. – Proszę otworzyć. Policja. Wiem, że jest pan w środku. Proszę nas wpuścić, a nic się nikomu nie stanie.

Uniosłem ręce i namacałem uchwyt pokrywy. Pociągnąłem. Nic. Klapa się nie otworzyła.

Coś ciężkiego uderzyło o drzwi. Próbowali je wyważyć!

Drabina znów się ugięła. Zaparłem się stopami o szczebel i chwyciłem gałkę oburącz. Jeszcze raz mocno pociągnąłem. I znowu bez rezultatu.

Od drzwi dochodziło coraz głośniejsze walenie.

Znów naparłem na klapę. Szarpałem rozpaczliwie gałką, próbując bodaj o milimetr przesunąć oporną klapę. Wreszcie drgnęła.

Szarpnąłem gałką jeszcze raz. I jeszcze. Klapa znów się poruszyła. Zrozumiałem, że nie należało jej ciągnąć tylko pchać. Mocno naparłem na nią dłońmi. Klapa odskoczyła. Chwyciłem za krawędź otworu i podciągnąłem się na rękach. Wypełzłem na dach.

Zanim się odwróciłem, Linda pokonała już połowę szczebli. Kiedy zbliżyła się do otworu, sięgnąłem w dół i odebrałem od niej laptop. Potem złapałem ją z ręce i wciągnąłem ją na górę.

Drabina przeszła przez otwór bez trudu. Rzuciłem ją na dach. Oboje z Lindą staliśmy nad rozjarzonym światłem otworem, tupiąc z zimna w mroźnym nocnym powietrzu.

– Zamknij! – przypomniała mi Linda, wskazując klapę. Kiedy pochyliłem się, by ją chwycić, z dołu dobiegł głośny dźwięk. Odgłos strzału. Wyglądało na to, że kolesie za drzwiami stracili cierpliwość i zaczęli strzelać w zamek.

Zatrzasnąłem klapę, wyprostowałem się i rozejrzałem.

Co teraz?

A tak. Miałem zamknąć drzwi prowadzące na klatkę schodową.

Obrzuciłem spojrzeniem dach, Mniej więcej dziesięć metrów od miejsca, w którym staliśmy, wznosiła się spora kwadratowa maszynownia windy.

– Zaczekaj tutaj – rzuciłem do Lindy i puściłem się biegiem przed siebie. Dach był śliski, bo beton porastał wilgotny i przemarznięty o tej porze roku mech. Mijając róg budyneczku, straciłem równowagę i upadłem. Wstając, poczułem przejmujący ból w lewym kolanie. Od drzwi dzieliło mnie ledwie kilka metrów. Z tej odległości widziałem, że są otwarte. Dopadłem ich, zamknąłem je i sięgnąłem po zasuwę.

Nigdzie jej nie było. Drzwi nie dało się zamknąć.

Otworzyłem je ostrożnie, wsunąłem głowę w szczelinę i zacząłem nasłuchiwać.

Cisza. Kolesie z bronią zabrali się już widać spod drzwi mieszkania. Weszli do środka. Odcięli nam drogę ucieczki. Szybko wpadną na to, którędy daliśmy nogę.

Zamknąłem drzwi i oparłem się o nie, czując pod czołem chłód metalu. Zerknąłem w dół. Nie miały zamka.

Bezsilny, parłem się dłońmi o framugę i opadłem na nie całym ciężarem. Nagle pod lewą dłonią poczułem dziwny kształt. Pomacałem z prawej strony. To samo. Stalowe pierścienie.

To oznaczało, że drzwi można jednak było zamknąć – tyle że na klamry z bolcem, nie na zasuwę.

Gdzie się podziały bolce? Rozejrzałem się pospiesznie. Oczy, przyzwyczajone już do mroku, wychwytywały teraz znacznie więcej szczegółów.

Po mojej lewej stronie coś się poruszyło. Odwróciłem głowę i wytężyłem wzrok, próbując przeniknąć ciemność.

Pranie. Ktoś rozwiesił na dachu sznurek i suszył na nim bieliznę. Na czym trzymał się sznurek? Pokuśtykałem w tamtą stronę.

Prześcieradła wisiały pomiędzy dwoma stalowymi słupkami z rurek o średnicy trzech centymetrów z przyspawanymi haczykami.

Podszedłem do jednej z nich, chwyciłem ją oburącz i zapierając się mocno o ziemią, pociągnąłem z całej siły. Wyszła z betonu tak łatwo, że aż zatoczyłem się do tyłu, a rurka uderzyła mnie boleśnie w pierś. Szybko odzyskałem równowagę. Rozplątałem sznurek, wepchnąłem sobie rurkę pod pachę i najszybciej jak jak potrafiłem z bolącym kolanem pobiegłem do drzwi.

Dzieliło mnie od nich ledwie parę metrów, kiedy usłyszałem dochodzące z klatki schodowej męskie głosy. Rozróżniłem tylko jedno słowo: schody.

Przyspieszyłem. Zza drzwi dobiegł odgłos kroków.

Zauważyłem, że drzwi są uchylone. Nacisnąłem je dłonią, ale ani drgnęły. Cofnąłem się więc i kopnąłem z całej siły. Poczułem drżenie w nadgarstkach i pulsowanie pod czaszką. Ale udało się. Drzwi zostały zamknięte.

Dałem krok do tyłu, sapiąc z ulgą. Sięgnąłem po rurkę.

Coś uderzyło w stal po drugiej stronie z siłą młota parowego. Drzwi rozwarły się z hukiem. Na dach wypadł niski, łysy facet. Stanął odwrócony do mnie lewym ramieniem. W prawej ręce trzymał broń o długiej lufie. Patrzył przed siebie, mrużąc oczy i unosząc pistolet.

Był tak blisko, że czułem w jego oddechu kwaśną woń alkoholu i smród czosnku.

Uniosłem rurkę i zamachnąłem się nią z całej siły. Pokonała dzielące nas pół metra i spadła na głowę łysego, trafiając w skroń.

Gość zatoczył się, prawym ramieniem uderzył ciężko o drzwi, po czym wpadł z powrotem do klatki schodowej.

Rzuciłem rurkę na beton dachu, z całej siły kopnąłem drzwi, zatrzaskując je z hukiem, po czym wsunąłem rurkę w stalowe pierścienie, blokując przejście.

Kiedy się odwróciłem, omal nie wpadłem na Lindę. Stała tuż za mną.

– Chryste – jęknęła. – Pospiesz się. Cam jest na dachu domu obok.

Przez chwilę sapałem ciężko bez słowa. Byłem zbyt zmęczony, by się ruszyć. Potem posłusznie pokuśtykałem za Lindą. Kiedy dotarliśmy do szerokiego parapetu na krawędzi dachu po lewej stronie otworu, którym weszliśmy, zobaczyłem wreszcie Cama.

Siedział na dachu budynku po przeciwnej stronie ulicy. Machał beztrosko nogami i palił papierosa. Przy jego boku dostrzegłem laptop Lindy i jej torbę. Pewnie rzuciła mu je, kiedy walczyłem z drzwiami.

– Dzień dobry – zawołał pogodnie, jakbyśmy spotkali się na deptaku. – Dawaj tu drabinę.

Spojrzałem w dół, w przepaść ulicy dzielącej budynki. Sześć pięter pod nami światło latarni migotało na mokrej nawierzchni. Przeniosłem wzrok na Cama. Budynek, na dachu którego siedział, był cztery-pięć metrów wyższy od naszego. Tyle samo metrów liczyła odległość między domami.

Poszedłem po drabinę. Była pogięta i poobijana. Wydawała się przerażająco krucha. Uniosłem ją w górę i przerzuciłem nad ulicą, tak by Cam mógł ją złapać. Chwycił za plastikowe końce i zaczął ciągnąć, podnosząc się jednocześnie w klęczek na nogi.

– Panie przodem! – zawołał.

Zerknąłem na Lindę. Uśmiechnęła się blado.

– Przechodziłam nad przepaścią jako harcerka. Dla mnie to bułka z masłem.

Nie minęło kilka sekund, a już siedziała na dachu po drugiej stronie.

Nadeszła moja kolej. Czułem, że kolana mam jak z waty. Bolało mnie w krzyżu. Oddychałem z coraz większym trudem. Wydawało mi się, że mam sto lat i że ciężar wieku przytłacza mnie do ziemi.

– Zdecydowanie bardziej odpowiadają mi schody – burknąłem pod nosem, choć wiedziałem, że i tak nikt mnie nie słyszy.

Raz kozie śmierć. Chwyciłem metalowy szczebel i popełzłem po drabinie jak wielka małpa.

* * *

Tym razem Cam przyjechał pick-upem, poobijanym stary fordem z rozwijaną plandeką na pace. Zaparkował go w wąskim zaułku przy końcu Little Bourke Street.

– Dokąd jedziemy? – zapytał.

Wszyscy troje opieraliśmy się ciężko o maskę auta, próbując wyrównać oddech. Wstyd się przyznać, ale dyszałem najgłośniej.

– Do Shoreham – oznajmiła Linda. – Na półwysep Mornington. Znam tam dom, który na pewno będzie pusty o tej porze.

Cam wyprostował się i westchnął.

– Świeże wiejskie powietrze. Lubię takie. Jedziemy.

Przeszedł na tył wozu i zaczął rozwijać plandekę. Kiedy skończył, popatrzył na mnie wyczekująco.

– Szukają dwóch facetów – wyjaśnił, widząc, że nie rozumiem. – Wskakuj.

– Na pakę?

– Znajdziesz tam materac i poduszkę. Postarałem się, żeby było ciepło. Zdrzemnij się. To ci dobrze zrobi.

Wspiąłem się na pakę i położyłem się na materacu. Cam naciągnął nade mną plandekę. Wewnątrz było ciemno, choć oko wykol, duszno i ciasno. Śmierdziało olejem silnikowym. Z trudem zwalczyłem gwałtowną potrzebę, by stąd uciec.

Auto podskakiwało i kiwało się na nierównej nawierzchni drogi. Zakończone metalem sznurki plandeki podzwaniały cichutko. Podłoga paki przenosiła drgania. Namacałem w ciemności poduszkę i wsunąłem ją sobie pod głowę. Przymknąłem oczy, próbując sobie wyobrazić, że ostrzę nóż hebla numer siedem. W wyobraźni widziałem, jak przesuwam po nim ostrzałką powolnymi, okrężnymi ruchami. Dotykam go pieszczotliwie, tak jak Japończyk dotyka ostrza katany.

Ocknąłem się po jakimś czasie z poczuciem, że nie wiem, gdzie się

znajduję. Usiadłem w popłochu, uderzyłem głową w brezentową tkaninę plandeki i opadłem ciężko na plecy, szamocząc się w ciemności z niewidzialnym przeciwnikiem.

Gdzieś z góry dobiegł głos Cama:

– Ładnie tu. Myślisz, że mają coś dobrego do picia?

Dotarło do mnie, gdzie jestem. Jakim cudem udało mi się zasnąć? Leżałem spokojnie, wsłuchany w mocne bicie własnego serca, kiedy Cam uchylił plandekę i zajrzał do środka.

– Żyjesz? – zapytał. – Odpocząłeś trochę?

Dziesięć minut później siedzieliśmy już wszyscy troje przed kamiennym kominkiem wzniesionego z bali i gliny przytulnego domku, sącząc whisky ze szklanek o grubym dnie. Wyszedłem na zewnątrz i oparłem się o jeden ze słupków werandy. Rozciągał się stąd piękny widok na niewielką winnicę. Przez chwilę podziwiałem krajobraz.

Wróciłem do środka. Cam przysiadł przed paleniskiem i grzebiąc w popiele, rozgarniał drwa.

– Czy to byli gliniarze? – spytałem. Po raz pierwszy od dawna czułem się w pełni wypoczęty. Okazało się, że spałem ponad dwie godziny.

– Nie wiem, ale ruszali się jak gliniarze. I byli bardzo skuteczni. Dziwne, że udało ci się jednego zaskoczyć i walnąć w łeb.

– Przedstawił mi się wcześniej jako Tony Baker. Wpadł do pubu, żeby mnie trochę postraszyć. Mówił, że jest agentem federalnym czy kimś w tym rodzaju.

– Jeśli wykituje, zostając martwym agentem, nie ujdzie nam to na sucho. – Podniósł się, przeciągnął i ziewnął szeroko. – Wystarczy tego. Dla mnie poniedziałek właśnie się zakończył. Idę poszukać wolnego łóżka.

Zerknąłem na Lindę. Spała z głową na podłokietniku sofy. Ciemne włosy miękko opadły jej na twarz. Zmęczenie okazało się silniejsze od strachu.

– Posiedzę jeszcze trochę – zdecydowałem. – Pomyślę, jak to się stało, że wciągnąłem was w to bagno.

– Nie warto rozpamiętywać przeszłości. – Cam był najwyraźniej w nastroju do wybaczania. – Myśl o przyszłości. Czyli o tym, jak nas z tego bagna wyciągnąć.

Przez jakiś czas siedziałem w ponurym nastroju, patrząc w ogień. Potem westchnąłem ciężko, wstałem i rozejrzałem się za kocem, żeby przykryć Lindę. Nie obudziła się, kiedy otulałem ją kocem ani kiedy podciągałem jej nogi na kanapę i wsuwałem poduszkę pod głowę.

Cmoknąłem ją na dobranoc w policzek, dolałem sobie whisky i dorzuciłem drew do ognia. *Myśl o przyszłości* – powiedział Cam. Dobra rada, tyle że nie skończyłem jeszcze rozrachunków z przeszłością. Co widział Paul Vane w noc, w którą zginęła Anne Jeppeson? Gdzie podział się dowód, o którym wspomniała wdowa po nim? Co ojciec Gorman kazał przywieźć Ronniemu do Melbourne? I co zrobił z nim Bishop?

Czas mijał. Raz jeszcze dołożyłem drew do ognia, słuchając odgłosów nocy. Dopiero koło trzeciej poczułem senność i ruszyłem na poszukiwanie łóżka. Litościwy sen przyszedł szybko.

Obudził mnie blask słońca na twarzy. Było po dziewiątej. Kolana miałem zesztywniałe i otarte po wczorajszym upadku. Bolało mnie też biodro, którym naparłem na drzwi. Czułem się lepki i brudny. Szukając prysznica, zawędrowałem do kuchni. Cam siedział przy stole i zajadał tosty z dżemem. Jego świeżo umyte, ciemne włosy lśniły w promieniach słońca.

Spojrzał na mnie i bez słowa wskazał kciukiem za siebie. Popatrzyłem w tamtym kierunku. Linda przycupnęła w fotelu przy wielkim biurku. Patrzyła w skupieniu w ekran laptopa. Wyglądało na to, że i ona wzięła już kąpiel.

– Czy to cacko działa zawsze i wszędzie? – zagadnąłem.

Podniosła głowę i uśmiechnęła się do mnie promiennie.

– Zapisuję w nim wszystko, czego się dowiedzieliśmy i co się nam przydarzyło. Znajdziesz tu obszerną sagę zatoki Yarra. A dzięki niezawodnemu modemowi zawsze mam kontakt ze światem i dostęp do najświeższych informacji.

– Modem to nie jest moim zdaniem słowo, które wzbudza ciepłe uczucia.

Zaśmiała się i zamknęła laptop.

– Znalazłam kogoś o nazwisku Vane w Breamlea. Pewnie wdowa wyniosła się z Beaumaris. Pojedziemy autem, a potem wsiądziemy na prom.

Dzielna dziewczyna. Pomyślała o wszystkim.

– Zgoda, ale najpierw wezmę prysznic. Ty w tym czasie sprawdź, kiedy odpływa najbliższy prom.

Kobieta była wysoka i szczupła, a jej labrador – stary i gruby. Ona miała na sobie żółty, podniszczony sztormiak, który sięgał jej za kolana, a on – zmierzwioną, brudną sierść. Jej gołe nogi były sine z zimna. Przebierała palcami bosych stóp.

Poza nami na plaży nie było nikogo. Tylko Linda, ja, ta kobieta, jej pies i wszędobylskie mewy. Przyszliśmy pierwsi i patrzyliśmy, jak schodzi nad wodę i spaceruje wzdłuż brzegu morza. Mocno uderzała stopami o twardy piasek, trzymając ręce w kieszeniach sztormiaka. Z pochyloną głową patrzyła, jak drobne fale omywają jej nogi. Pies towarzyszył jej wiernie, trzymając się linii suchego piasku. Kręcił się wokół i węszył, co mniej więcej metr przystając, by obejrzeć lub obsikać coś, co przypływ wyrzucił na brzeg.

Kiedy zbliżyli się do nas mniej więcej na sto metrów, podniosłem się i ruszyłem w stronę kobiety. Pies podbiegł, by mnie obwąchać – był czujny, ale przyjaźnie nastawiony. Zatrzymałem się i podsunąłem mu pod nos otwartą dłoń. Podszedł bliżej, wsunął nos między moje palce i pozwolił, żebym podrapał go za uchem.

Kiedy kobieta znalazła się jeszcze bliżej, zapytałem:

– Pani Vane?

W milczeniu skinęła głową. Miała twarz o grubych rysach, szerokie pasma siwizny we włosach i skórę zniszczoną przez słońce.

– Wdowa po Paulu Karlu Vane'ie, oficerze policji z Victorii?

Znów skinęła głową, ale nie przystanęła.

– Chciałbym porozmawiać o pani mężu oraz śmierci Anne Jeppeson i Danny'ego McKillopa.

Nadal milczała. Nie spuszczała oczu z mojej twarzy. Dzieliły nas teraz trzy–może cztery metry. Pies wybiegł jej na spotkanie.

Pochyliła się i podrapała go po głowie. Znów na mnie spojrzała. Jej oczy miały intensywną niebieską barwę pogodnego nieba.

– Liczyłam, że ktoś się wreszcie pojawi – powiedziała. – Odkąd zabili tę dziewczynę, nie spędziłam z mężem ani jednego szczęśliwego dnia.

Wyciągnęła do mnie rękę. Uścisnąłem ja serdecznie. Ramię w ramię ruszyliśmy dalej brzegiem morza.

* * *

Chatę wzniesiono w lesie na zboczu jednego ze wzgórz nad zatoką Apollo. Po drodze zgubiliśmy się i musieliśmy zawrócić, a potem przejechać trasę jeszcze raz, by ją odnaleźć. Cam prowadził. Wszyscy troje siedzieliśmy stłoczeni na przednim siedzeniu, Linda w środku.

Od Breamlea trzymaliśmy się bocznych dróg.

– Jakim cudem ta baba nie wie, o jaki dowód chodzi? – spytał wreszcie Cam.

– Paul Vane nigdy jej tego nie powiedział – wyjaśniłem. – Zaraz po powrocie do domu obudził ją tamtej nocy i opowiedział jej, co widział. Trząsł się jak galareta, siedział i pił do rana. Kiedy następnego dnia w wiadomościach usłyszał o aresztowaniu Danny'ego, jeszcze raz zapewnił żonę, że McKillop nie zabił Anne. Twierdził, że wie, kto jest zabójcą, ale nikomu nigdy tego nie wyjawi.

– A więc ona też siedziała cicho – podsumował Cam.

Wyjąłem zdrętwiałe ramię spod pleców Lindy.

– Ponoć prawda nie dawała jej spokoju. Przejęła się, kiedy przeczytała, na ile lat więzienia skazano McKillopa. Odchorowała jego proces. Paul ciągle chodził przybity, coraz częściej zaglądał do kieliszka, powtarzał, że popełnił błąd, ale jest już za późno, by cokolwiek zmienić. W końcu przeszedł na wcześniejszą emeryturę, niedługo później zachorował na raka jelit. Mówił, że ma dowód niewinności Danny'ego i że zbije na nim majątek, który zostawi jej po swojej śmierci. Prosił, żeby przekazała ten dowód McKillopowi i zapewniła go, że nikogo nie zabił.

– I co? Dostał w końcu tę forsę? – chciał wiedzieć Cam.

Potrząsnąłem głową.

– Pani Vane podejrzewa, że próbował kogoś szantażować i dlatego ktoś się nim zajął. Rankiem w dniu, w którym zginął, zdążył jej jednak powiedzieć, gdzie ukrył ten swój cenny dowód.

– Kiedy został zastrzelony, wdowa zadzwoniła do Danny'ego?

– Nie od razu. Tuż po śmierci Paula ktoś włamał się do ich domu i przeszukał go od piwnic po dach, przewracając wszystko do góry nogami. Potem spłonęła łódź Paula zacumowana w porcie w Sandringham, a pobliska szopa wyleciała w powietrze. Pani Vane się przestraszyła. Bała się szukać dowodu. A potem pewnego dnia dowiedziała się z wiadomości, że Danny został zastrzelony na parkingu przed hotelowym barem. Uznała więc, że nie warto już odgrzebywać sprawy.

– Pewnie się ucieszyła, że ma kłopot z głowy – wtrąciła Linda, która właśnie się obudziła. Podczas podróży kilka razy zapadała w drzemkę, kładąc mi wtedy głowę na ramieniu.

Chata była stara i ciasna. Składała się tylko z jednego pomieszczenia i wspartej na słupkach werandy. Wyglądała na skromne schronienie miejscowych drwali. Wzniesiono ją z grubych drewnianych bali, wyblakłych do szarości, ale wciąż mocnych. Pochyliła się lekko na bok. Wyglądała jak staruszka wsparta na wielkim ceglanym kominie.

Wysiedliśmy z auta, rozciągając zdrętwiałe stawy. Powietrze było zimne i wilgotne. Z dala dobiegł szum silnika auta próbującego sforsować zbocze wzgórza. Potem zapadła cisza. O tej porze dnia milczały nawet ptaki.

Drzwi zamknięto i podparto kołkiem, chyba tylko z przyzwyczajenia, bo ich spróchniałe drewno nie powstrzymałoby nikogo, kto zechciałby wejść do środka. Wyjąłem z kieszeni klucz, który dała mi Judith Vane, i otworzyłem zamek.

Wewnątrz panował mrok, bo brudne szyby dwóch małych okien przepuszczały niewiele światła. Po prawej zauważyłem kominek wzniesiony z czerwonych cegieł, sczerniały jednak aż po dach od setek ogni, które w nim rozpalono.

Teraz jednak nie dałoby się rozjaśnić chaty blaskiem płomieni, bo olbrzymi otwór szerokości dwóch ustawionych obok siebie lodówek zasłonięto płytą wiórową. Ktoś zbił nieporadnie drewnianą ramę,

zamocował ją wokół wejścia do kominka i przybił do niej grubymi gwoździami byle jaką płytę. W porównaniu z pietyzmem, z jakim wzniesiono chatę, robiło to żałosne wrażenie.

– Założę się, że to jest tutaj – wskazałem głową komin.

– W aucie mam łom – powiedział Cam i wyszedł, by go przynieść.

Linda i ja popatrzyliśmy po sobie.

– A więc, panie Irish, poszukiwania dobiegły końca.

Skinąłem głową, niemal wzruszony.

Cam stanął na progu. Uśmiechnął się krzywo. Nie zauważyłem w jego dłoni łomu.

– Nie znalazłeś? – spytałem.

W milczeniu postąpił krok w głąb chaty.

Za nim stał jakiś facet, trzymając oburącz odbezpieczoną strzelbę z pompką. Rozpoznałem Tony'ego Bakera, choć niemal pół twarzy zasłaniał mu wielki biały plaster. Plaster ten znaczył miejsce, w które trafiłem na dachu stalową rurką.

– Dalej, gnojku – rzucił ze złością, dźgając lufą plecy Cama.

Delray znów dał kilka kroków do przodu. Baker także wszedł do chaty, trzymając bezpieczny dystans. Widać było, że to dla niego nie pierwszyzna i że często zdarzało mu się trzymać kogoś na muszce.

W drzwiach stanął kolejny nieproszony gość – elegancki facet w drogim płaszczu z wielbłądziej wełny. Był wysoki i smukły, na oko koło pięćdziesiątki. Gęsta czupryna falowanych srebrzystych włosów spadała mu łagodnie na czoło. Wąską, opaloną twarz przecinały głębokie bruzdy biegnące od nasady nosa po kąciki ust. Mocno zarysowany podbródek świadczył o uporze. Usta były miękkie, pełne i czerwone, jak u młodej dziewczyny. W jednej ręce trzymał krótkolufową trzydziestkęósemkę, w drugiej łom, po który wybrał się Cam.

– Jack Irish? – spytał, choć doskonale znał odpowiedź. – Nazywam się Martin Scullin, a ty jesteś pieprzonym wrzodem na moim tyłku już zbyt długo. – Mówił spokojnie, bez emocji, leniwie przeciągając

głoski, czym przypominał mi Barry'ego Tregeara. Obaj pewnie pochodzili ze wsi, ale zestarzeli się w wielkim mieście. Możliwe jednak, że mówili tak wszyscy starzy wyjadacze z wydziału wewnętrznego.

– Sporo o tobie słyszałem – odparłem. Szczerze mówiąc, byłem zdziwiony, że głos mi przy tym nie zadrżał ani trochę.

– Gdzie to jest? – Sprawiał wrażenie znudzonego całą sprawą.

– Nie wiem. Dopiero zaczęliśmy szukać.

Scullin zerknął na Tony'ego Bakera. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji.

Baker zdzielił Cama pod brodę kolbą strzelby. Delray zwalił się na ziemię jak garnitur, który spadł z wieszaka na dno szafy. Po chwili podniósł się na kolana i spróbował wstać.

Baker podszedł do niego i znów uderzył go kolbą w głowę. Dwukrotnie. Raz za razem.

Z nosa Cama pociekła krew, znacząc mu koszulę ciemnymi, prawie czarnymi plamami.

Baker odwrócił swoją głowę bulteriera i popatrzył na mnie spod oka. Nawet w słabym świetle padającym z brudnych okiem widziałem na jego tęczówkach złote cętki.

– Zabiję gnoja – zawarczał. – A potem zabiorę się za tę sukę.

Zamachnął się nogą i z całych sił kopnął Cama pod żebra. Szybki, świadczący o wprawie ruch. Delray znów opadł na podłogę, ale już po chwili uniósł głowę i potrząsnął nią jak pływak, który próbuje się pozbyć wody z uszu.

Baker wymierzył mu kolejnego kopniaka, jeszcze mocniejszego. Cam oparł dłonie płasko na podłodze, odepchnął się od niej i usiadł. Oczy miał mocno zaciśnięte, a usta otwarte. Z jego nosa i rozbitych warg płynęła strumieniem krew.

Baker znów uniósł strzelbę i uderzył go kolbą w szczękę. Cam przewrócił się bezwładnie na bok.

Baker odsunął się o krok i uniósł nogę, by kopnąć leżącego.

– Zostaw go! – zawołałem. – Dowód jest schowany w kominie.

Baker popatrzył pytająco na Scullina.

– Wyciągnij go – polecił mi starszy gliniarz.

Baker wymierzył we mnie lufę strzelby, a Scullin podał mi łom.

Popatrzyłem na Lindę. Klęczała obok Cama. Podtrzymywała mu głowę. Krew plamiła jej ręce i spodnie.

Wystarczyło jedno szarpnięcie, żeby płyta oderwała się od ramy. Gwoździe posypały się z brzękiem na podłogę. W kominku stała stara koza, poczerniała od sadzy, z zardzewiałą, poobtłukiwaną rurą.

– Właź do środka – rzucił Scullin.

Wewnątrz nie było dość miejsca. Żeby dostać się do komina, musiałem wyrwać rurę z piecyka. Chwyciłem ją oburącz i kilkakrotnie szarpnąłem, żeby się poluzowała. Wtedy pociągnąłem mocniej. Oderwała się od kozy i z brzękiem upadła na kamienie paleniska. Ostrożnie wspiąłem się na piecyk, ukląkłem, odchyliłem głowę i zajrzałem w górę komina. Na twarz spadło mi trochę sadzy. Wewnątrz panowały egipskie ciemności.

– Na górę – rozkazał Scullin.

Przycisnąłem dłonie do ścian komina, uniosłem kolano, podciągnąłem się i zaparłem wewnątrz. Scullin i jego goryl widzieli teraz tylko moją drugą nogę od kolana w dół. Obróciłem się i zacząłem macać w ciemności.

Nic. Pod palcami czułem tylko lepką sadzę. Sięgnąłem wyżej. Natrafiłem dłonią na półkę. Ktoś przewidział w kominie schowek.

Czubkami palców dotknąłem jakiejś gładkiej, chłodnej powierzchni. Wyciągnąłem się z całych sił i zbadałem dłonią kształt znaleziska.

Pudełko. Metalowe pudełko. W mojej głowie pojawiło się wspomnienie. Pokrywka. Przesunąłem palcami pod jej krawędzią z lewa na prawo.

– Co tam, do cholery, robisz tak długo? – wrzasnął Scullin. – Znalazłeś coś czy nie?

Na wieczku pudełka leżał jakiś przedmiot.

– Coś tu jest – odkrzyknąłem. – Próbuję dosięgnąć.

Powoli opuściłem kolano na piecyk. Uniosłem się lekko i obróciłem w lewo, przenosząc ciężar ciała na stopę ugiętej nogi. Ręce trzymałem nad głową.

– Pospiesz się – warknął Scullin.

Kucnąłem i zeskoczyłem na podłogę. Sadza posypała się gęstą zasłoną. Wyszarpnąłem z komina prawą rękę i zatoczyłem nią łuk.

– Dawaj to. – Scullin zaczynał się niecierpliwić.

Stał niecały metr ode mnie. Strzeliłem mu w pierś. Wysoko, tuż przy obojczyku. Siła pocisku odrzuciła go do tyłu. Upadł na plecy.

Baker popatrzył na mnie z krzywym uśmieszkiem na twarzy.

Tym razem trafiłem w brzuch. Baker zgiął się w pół i popatrzył po sobie, zdziwiony.

Odskoczyłem od piecyka i jeszcze raz strzeliłem do Scullina, znów celując w pierś.

Baker powoli uniósł lufę strzelby. Zacisnął zęby z wysiłku. Cały czas wpatrywał się w podłogę.

– Nie ruszaj się, Jack – powiedział powoli, cedząc słowa niczym pijany w sztok człowiek.

Strzeliłem mu w pierś. Zatoczył się na ścianę, odbił od niej i upadł na bok.

– Uspokój się! – zawołał Cam. – Ci dwaj zrozumieli, co im chciałeś powiedzieć.

* * *

Jechaliśmy przez Royal Park. Linda prowadziła jasnoszare audi należące wcześniej do Scullina. Cam siedział z tyłu, pozszywany, pozalepiany i obandażowany przez lekarza z Geelong, do którego go zawieźliśmy. Ja zadumałem się na przednim siedzeniu pasażera. Przez osiemdziesiąt kilometrów nikt się nie odezwał.

To było coś płaskiego, powiedział kumpel Ronniego Bishopa, Charlie. Ronnie przywiózł do Melbourne coś małego i płaskiego.

– Dowód Ronniego… – szepnąłem.

– Słucham? – Linda popatrzyła na mnie jak na wariata.

– Wiem, gdzie jest dowód, który przywiózł Ronnie.

Powiedziałem jej, jak tam dojechać.

Długo trwało, nim pani Bishop otworzyła nam wreszcie drzwi.

– Pan Irish! Miło znów pana widzieć. – Przyjrzała mi się uważnie od stóp do głów. – Tarzał się pan w błocie?

– Trafiła się brudna robota, a nie zdążyłem się przebrać. Mogę wejść? Obiecuję, że niczego nie będę dotykać.

Przeszliśmy przez ciemny przedpokój do przestronnego salonu. Rozejrzałem się. Na wąskim regale pomiędzy francuskimi oknami stała mała wieża stereo, nie większa niż ułożone jeden na drugim trzy słowniki oksfordzkie. Na samej górze stał odtwarzacz CD.

Skromną kolekcję dwudziestu–dwudziestu kilku płyt CD pieczołowicie ułożono w plastikowym pojemniku półkę wyżej.

– Kiedy byłem tu ostatnio, nie powiedziałem pani, jak bardzo mi przykro z powodu śmierci Ronniego. Miałem taki zamiar, kręciłem się nawet wokół domu, ale potem musiałem wyjechać.

Pokiwała głową, spojrzała w okno i pociągnęła smutno nosem.

– Straciłam obu swoich mężczyzn. Obaj odeszli przede mną.

Chętnie poklepałbym ja pocieszająco po plecach, ale miałem zbyt brudne ręce. Zaczekałem więc chwilę, dając jej czas, by się uspokoiła, po czym spytałem:

– Wspomniała pani, że Ronnie przywiózł ze sobą płytę.

– To prawda. – Rozpogodziła się. – Największe przeboje Mantovaniego.

– Przesłuchała ją pani? – Z zapartym tchem czekałem na odpowiedź.

Wyciągnęła dłoń i delikatnie położyła ją na moim ramieniu w miejscu, które wydawało się czystsze od wszystkich pozostałych.

– Nie potrafiłam się zmusić – westchnęła. – To przecież ostatni prezent od Ronniego.

– Zechciałaby ją pani teraz włączyć? Bardzo proszę. To by nam pomogło.

Obrzuciła mnie podejrzliwym, a jednocześnie pełnym politowania spojrzeniem świadczącym, że wątpi w mój zdrowy rozsądek, ale nie odmówiła. Włączyła odtwarzacz, odnalazła w pojemniku płytę i trzymając ją między dwoma palcami, włożyła do kieszonki.

Wcisnęła przycisk play. Kieszonka wsunęła się cicho do środka.

Czekaliśmy w napięciu.

Pokój wypełniły srebrzyste dźwięki skrzypiec Mantovaniego.

Wypuściłem powietrze z płuc z głośnym świstem.

– Dziękuję, pani Bishop – powiedziałem przybity. – Wyszło na to, że się myliłem.

Nie odpowiedziała. Przymknąwszy oczy, poruszała głową w takt muzyki.

Wsiadłem do auta i ze złością zatrzasnąłem drzwi.

– A jednak nie wiem, gdzie Ronnie schował swój dowód – mruknąłem. – Niech to szlag.

Cam przesiadł się już za kółko. Uruchomił silnik.

– Czas pomyśleć o czymś mocniejszym, co cię postawi na nogi – rzucił.

Doug zawsze mówił, że byłby idealnym szpiegiem.

– Zaczekaj – poprosiłem. – Chcę sprawdzić coś jeszcze.

Tym razem pani Bishop otworzyła niemal natychmiast.

– Przepraszam, że tak się pani naprzykrzam…

– Ależ skąd, panie Irish. Proszę.

– Czy mieszkaliście tutaj, kiedy Ronnie był mały?

Uśmiechnęła się.

– Oczywiście. Mieszkamy tu od zawsze. Dom należał do matki Douga. Mój mąż także tu dorastał. Chciałam go sprzedać, gdy wyjechaliśmy do Queensland, ale Doug nie pozwalał mi nawet o tym wspominać. Okazał się bardzo przewidującym człowiekiem, prawda?

– Oczywiście. Proszę mi powiedzieć, czy Ronnie miał w domu jakąś sekretną kryjówkę. Miejsce, w którym chował swoje skarby.

– Sekretną? Nie. Ale swoje ulubione zabawki trzymał na stryszku. Wszyscy o tym wiedzieli.

– Na stryszku?

– Tak. To właściwie trochę większa półka tuż pod dachem. Mąż zrobił mu tam domek, kiedy Ronnie był mały.

– Czy ostatnio Ronnie tam zaglądał?

Aż się cofnęła ze zdziwienia.

– A po co miałby to robić?

– Nie wiem. Zaglądał tam czy nie?

– Nie wiem. Nie chodziłam za nim krok w krok, ale…

– Czy mógłbym obejrzeć ten stryszek?

Przez chwilę milczała. Tym razem patrzyła na mnie tak, jakby już miała pewność, że mi odbiło. Potem pokiwała głową.

– Umie się pan wspinać na drzewa, panie Irish?

Na stryszek prowadziło tylko jedno wyjście: okrągły wylot wentylacji w szczytowej ścianie domu. Znajdował się mniej więcej sześć metrów od ziemi. Przed wzrokiem przechodniów zasłaniały go grube, nagie gałęzie starego orzecha włoskiego.

Przez chwilę rozważałem, czy nie lepiej byłoby poprosić o pomoc Cama, w końcu jednak duma zwyciężyła.

– Nie ma pani drabiny – spytałem, choć znałem odpowiedź.

Potrząsnęła głową.

– Na górę wchodzi się po gałęziach drzewa.

Chwyciłem oburącz gruby, nisko wiszący konar orzecha. Porastał go miękki, śliski mech. Jęknąłem głośno.

Minęło pięć minut, nim dotarłem wreszcie do otworu w ścianie. Dwa razy omal nie runąłem na ziemię. Jedna z gałęzi podstępnie próbowała pozbawić mnie męskości, na szczęście bezskutecznie. Widząc przed sobą drzwiczki, podciągnąłem się lekko, wyciągnąłem rękę i pchnąłem. Drzwiczki nie ustąpiły. Wszedłem wyżej i kopnąłem je z całych sił.

Otwarły się z przeraźliwym skrzypieniem, zakołysały na zawiasach, po czym uderzyły w ścianę domu. Po wewnętrznej stronie zauważyłem kawałek liny przywiązanej do metalowego pierścienia zamocowanego w dolnej części klapy. Przez chwilę zachodziłem w głowę, po co ktoś zadarł sobie tyle trudu, potem jednak zrozumiałem: w ten sposób zamykało się drzwiczki od środka – wystarczyło pociągnąć za linę.

Przesunąłem się na gałęzi i wsadziłem w otwór głowę, ramiona i rękę. Podciągnąłem się z wysiłkiem i zajrzałem do środka.

Podłoga stryszku znajdowała się poniżej wejścia. Przytrzymując się krawędzi otworu, ostrożnie przełożyłem najpierw jedną, potem drugą nogę. Zawisłem na rękach i ostrożnie opuściłem się w dół, w ciemność. Szybko poczułem pod stopami podłogę. Przez chwilę nie widziałem nic. Potem wzrok przyzwyczaił się do ciemności i dostrzegłem zarysy pomieszczenia. Światło sączyło się z otworu w ścianie, który służył jednocześnie za drzwi i okno, ze szczelin pomiędzy deskami podłogi oraz z nieszczelnego dachu. Stryszek miał jakieś trzy metry kwadratowe i przypominał pudełko zawieszone nad dużym strychem tuż przy powale. Jego podłogę wyłożono starym linoleum w kwiatki.

Pomieszczenie było czyste i puste – ktoś, kto tu ostatnio zajrzał, nie zostawił nawet pajęczynki.

Co gorsza, nie wyobrażałem sobie, że można by tu coś ukryć.

Choć stryszek wysprzątano, nie dostrzegłem nawet śladu czyjejś bytności. Nic nie świadczyło o tym, że kiedyś toczyło się tu życie.

Znów jęknąłem głośno. Droga na dół wydawała się jeszcze trudniejsza niż na górę.

Wspiąłem się do otworu, wywiesiłem się zeń do połowy i z głuchym stęknięciem chwyciłem najbliższej gałęzi. Podciągnąłem się do niej, oparłem kolano o krawędź otworu i spróbowałem wstać. Ostro zakończona uschnięta gałązka drzewa omal nie wydłubała mi przy tym lewego oka.

Cofnąłem głowę, chowając ją w półmroku stryszka.

Czubek gałązki znajdował się zaledwie o kilka centymetrów ode mnie. Był biały, jeśli nie liczyć dziwnych szarych śladów widocznych na jego spodzie, a przypominających wyglądem odciski palców.

Chciałam opatrzyć mu jeszcze zadrapanie na policzku, ale się nie zgodził.

Tak powiedziała pani Bishop, kiedy po raz pierwszy rozmawialiśmy o zniknięciu Ronniego.

Ronnie z całą pewnością był na stryszku.

Stał dokładnie tu, gdzie ja. Zadrapanie na jego policzku krwawiło.

Skaleczył się o uschniętą gałąź. Przyłożył lewą dłoń do bolącej twarzy, a wtedy krew splamiła mu palce. Wściekły, złapał za gałąź i próbował ją odłamać.

Ale drewno nie ustąpiło. A Ronnie zostawił na nim ślady krwi, teraz wyblakłej i szarej w promieniach słońca.

– Dobrze się pan czuje, panie Irish? – dobiegł z dołu zaniepokojony głos. Pani Bishop stała pod drzewem i patrzyła na mnie szeroko otwartymi ze zdumienia oczami.

– Tak. Nic mi nie jest! – odkrzyknąłem. – Zaraz schodzę.

Znów przecisnąłem się przez otwór w ścianie.

Dowód Ronniego musi gdzieś tu być. Schował go w tym pustym pokoju, w którym często bawił się w dzieciństwie.

Obszedłem stryszek dookoła, uważnie przyglądając się ścianom.

Przesuwałem po nich dłońmi, w nadziei że wyczuję obluzowaną deskę, ukryte drzwiczki, cokolwiek. Zajęło mi to pięć minut.

I nic.

Ukląkłem i zacząłem badać podłogę. Być może pomiędzy nią a sufitem pomieszczenia poniżej powstała szczelina, idealna na schowek. Spróbowałem oderwać linoleum w jednym z rogów pomieszczenia.

Nie ustąpiło. Wbite co kilka centymetrów zszywki trzymały bardzo mocno.

Spróbowałem jeszcze w kilku miejscach. W akcie desperacji przesunąłem nawet palcem po wszystkich szczelinach wzdłuż ścian, próbując podważyć linoleum paznokciem. Na próżno. Nic nie wskazywało na to, by kiedyś je podniesiono.

Dopiero w jednym z prawych rogów pomieszczenia udało mi się podnieść niewielki skrawek.

Szarpnąłem mocniej.

Udało mi się oderwać jedną ze zszywek. Reszta ani drgnęła.

Kiedy dotarłem do ostatniej ściany, straciłem nadzieję, bo pod palcami znów wyczułem wyraźną, mocną linię zszywek.

Nagle zszywki się skończyły.

Sprawdziłem jeszcze raz. Tak. Kończyły się w odległości mniej więcej trzydziestu centymetrów od narożnika.

W tym miejscu zszywek po prostu nie było.

Pomacałem pod drugą ścianą.

To samo. Na długości trzydziestu centymetrów od narożnika tu też nie wyczułem zszywek.

Sięgnąłem ręką w sam kąt stryszku. Podważyłem linoleum paznokciem i pociągnąłem. Uniosło się nieco. Szarpnąłem mocniej. Sztywny trójkąt oderwał się od podłogi. Pochyliłem się i pomacałem ręką pod spodem.

Pod palcami wyczułem niewielką klapkę o wymiarach mniej więcej piętnaście na dwadzieścia centymetrów.

Podważyłem ją paznokciem. Ustąpiła bez oporu.

Włożyłem rękę do schowka.

W środku tkwiło pudełko z wieczkiem, długie i wąskie, niewysokie.

Wsunąłem pod nie palec, podważyłem je i wyciągnąłem na zewnątrz. Było ładne, starannie wykonane, prawdopodobnie z drewna gruszy – przypominało pudełka, w których krawcowe przechowują akcesoria do maszyn do szycia.

Podniosłem się z klęczek i podszedłem do otworu w ścianie, żeby lepiej widzieć.

Na wieczku widniała malutka gałka.

Pociągnąłem za nią i otworzyłem pudełko.

Jeśli nie liczyć wyważonych drzwi, mieszkanie dziewczyny Cama wyglądało dokładnie tak, jak je zostawiliśmy. Szklaneczka z whisky, którą piłem, nadal stała w kuchni przy telefonie.

Cam siedział w klubowym fotelu, z nogami wyciągniętymi daleko przed siebie. Znów pił piwo wprost z butelki. Ja siedziałem na kanapie i obgryzałem paznokcie ze zdenerwowania. Linda pojechała do Channel 7.

– Puszczą całość? – spytał Cam

– To zależy, co jest na filmie od Vane'a.

Siedzieliśmy w milczeniu w gęstniejącym mroku. Po jakimś czasie wstałem, poszedłem do kuchni i napiłem się wody. Cam dopił swoje piwo, po czym podniósł się z trudem, pojękując, i poczłapał do lodówki po następne. Kiedy wrócił, powiedział:

– Podczas tej dzisiejszej strzelaniny przypomniałem sobie o swoim Niemcu.

– O jakim Niemcu? – spytałem, zbity z tropu.

– Kolesiu, który kiedyś do mnie strzelał. – Zapalił papierosa. – Nazywał się Gary Hoffmeister. Wybraliśmy się na polowanie na kangury, daleko, aż za góry Grey Range. Poznaliśmy się dzień przed wyjazdem. Od razu wyglądał mi na świra. Miał pełen bagażnik broni:

strzelb, pistoletów, karabinów i cały czas do czegoś strzelał. Walił do drzew, kamieni, zwierzaków. Do wszystkiego, co się ruszało. A przy okazji był nazistą czystej wody. Wypytywał mnie o nazwisko, o to skąd mam taką śniadą skórę i inne duperele. Odparłem, że jestem rodowitym Australijczykiem i że spaliłem się na słońcu, bo często przebywam na świeżym powietrzu. Gość działał mi na nerwy, ale obiecałem sobie, że utemperuję go dopiero po powrocie.

Pociągnął solidny łyk piwa i otarł usta ręką.

– Ostatniej nocy Gary wpadł w oratorski zapał. Ględził o czystości rasowej, wychwalał Hitlera i prorokował, że wkrótce zaleją nas Indonezyjczycy. Miałem go powyżej uszu, więc poszedłem się odlać. Stanąłem z tyłu ciężarówki. Zaszedł mnie z boku. W wyciągniętej ręce trzymał trzydziestkęósemkę. Mierzył w głowę. Cofnąłem się i pobiegłem do wozu po karabin. W tym czasie wystrzelił z pięć razy, próbując dosięgnąć mnie zza drzwi kierowcy.

Umilkł. Wyglądało to tak, jakby nagle stracił zainteresowanie opowieścią.

– Co było dalej? – ponagliłem.

– Dotarłem do broni i przymierzyłem się do strzału, ale z pół godziny minęło, zanim udało mi się oddać czysty strzał. Gość wiercił się, podskakiwał i skradał jak Rambo. Położyłem go na pace razem z kangurzym mięsem i zawiozłem gliniarzom w Charleville. Zanim dojechaliśmy, zesztywniał. W miasteczku się ucieszyli, bo wredny był z niego skurczybyk. Wszyscy zgodnie uznali, że dostał, na co zasłużył.

– Wnieśli oskarżenie?

– Musieli. Sąd orzekł, że działałem w obronie własnej. Tyle że musiałem tam wrócić na wizję lokalną. A potem jeszcze raz, już sam.

– Po co?

Cam uśmiechnął się szeroko, po raz pierwszy od bardzo dawna.

– Odgrzebać dziesięć kawałków, które Gary woził w swoim arsenale, i rugera, który nam się ostatnio przydał. Takich zabawek nie oddaje się gliniarzom, bo je zaraz psują.

Zadzwonił telefon. Była osiemnasta dwadzieścia pięć.

Poszedłem do kuchni i podniosłem słuchawkę.

– Włącz telewizor – powiedziała Linda. – Zaczynamy o wpół do siódmej.

Wróciłem do salonu i włączyłem pudełko.

– Pokażą coś o wpół do siódmej – wyjaśniłem Camowi.

Jak zawsze wydawało się, że reklamy trwają wiecznie. Czekaliśmy w milczeniu.

Rozpoczęły się wiadomości. Czołówka. Na ekranie zamigotały zmontowane kadry z reportaży o zamachach bombowych, demonstracjach, zażartych dyskusjach polityków.

Pojawił się obraz ze studia, a w nim poważna młoda kobieta w ciemnej bluzce i zawadiacko zawiązanej na szyi apaszce. Widać było, że z trudem panuje nad podnieceniem.

– W dzisiejszym programie zajmiemy się zarzutami, jakie jedna ze znanych dziennikarek stawia niektórym członkom urzędującego gabinetu, urzędnikom publicznym, finansistom, przywódcom związków zawodowych oraz policjantom. Dotyczą one seksu z nieletnimi oraz udziału w nielegalnych interesach. Część z nich wiąże się ze śmiercią działaczki politycznej Anne Jeppeson w 1984 roku i gigantyczną aferą łapówkową skoncentrowaną wokół firmy Charis Corporation i wartego sześćset milionów dolarów programu Yarra Cove zakładającego rozbudowę nabrzeża zatoki.

Umilkła na chwilę, po czym podjęła:

– Zarzuty są bardzo poważne, zostały jednak poparte solidnym materiałem dowodowym. – Kolejna dramatyczna pauza. – Na początek pokażemy państwu udostępnione wyłącznie naszej stacji fotografie wykonane przez agenta jednostki specjalnej w 1984 roku, w noc śmierci Anne Jeppeson, która, jak oficjalnie przyjęto, zginęła w wypadku spowodowanym przez pijanego kierowcę.

Na ekranie pojawił się film, na którym widać było Anne Jeppeson idącą na czele demonstracji obrońców Hoagland, a następnie

fragment konferencji prasowej, w której wzięła udział niedługo później. Męski głos opowiadał w tle jej historię, przybliżając widzom wydarzenia związane z osiedlem komunalnym Hoagland.

Po chwili znów odezwała się prezenterka wiadomości:

– Nocą osiemnastego czerwca 1984 roku o godzinie dwudziestej trzeciej czterdzieści Anne Jeppeson wyszła z domu przy Ardenne Street w Richmond. Nie wiedziała, że śledzi ją oficer Paul Karl Vane, którego auto stało zaparkowane po drugiej stronie ulicy. Policjant miał przy sobie aparat. Zaczął robić zdjęcia w chwili, gdy wyszła z bramy.

Wstrzymałem oddech.

Pierwsza, bardzo wyraźna fotografia, przedstawiała Anne Jeppeson, ubraną w dżinsy i skórzaną kurtkę. Wychodziła z bramy budynku. Głowę miała odwróconą w bok, jakby z kimś rozmawiała. Założę się, że tym kimś był Manuel Carvalho.

Na następnym zdjęciu Anne schodzi z krawężnika. Patrzy w prawo. Nie wygląda na zaniepokojoną.

Na kolejnym jest już na środku jezdni. Nadal zwrócona jest głową w prawo. Ma otwarte do krzyku usta, unosi prawą dłoń, niespokojnie błyszczą jej oczy.

Widać, że zainteresowanie fotografa przeniosło się na coś, co widziała Anne. Fotografia przedstawia samochód, kingswooda. Na przednich siedzeniach widać dwie postaci, ale ich twarze są bardzo niewyraźne, prawie białe.

Na następnym zdjęciu auto jest już bliżej. Twarze rysują się znacznie wyraźniej.

Teraz siła uderzenia unosi Anne z asfaltu. Górna połowa jej ciała kryje się za maską kingswooda, dolna wisi w powietrzu.

Na tym zdjęciu twarze kierowcy i pasażera bez trudu dają się rozpoznać.

Za kółkiem siedzi Garth Bruce, minister policji. Jest dużo młodszy niż teraz, ale to bez wątpienia on.

Towarzyszy mu Martin Scullin, który teraz leży martwy na podłodze chaty drwali w Otways.

– Jak widać – wtrąciła kobieta ze studia – istnieją powody, by sądzić, że kierowcą auta, które owej nocy śmiertelnie potrąciło Anne Jeppeson, był Garth Bruce, obecny minister policji. Obok niego siedzi Martin Scullin, wtedy policjant w wydziale narkotyków, a obecnie właściciel firmy ochroniarskiej AdvenceGuard Security, którą założył po odejściu z policji minister Garth Bruce.

Cam wydał z siebie okrzyk triumfu, który z całą pewnością słyszeli nawet pasażerowie nisko przelatujących samolotów.

Dziennikarze zajęli się teraz filmem video, nakręconym przez Ronniego Bishopa. Filmem, który znalazłem w drewnianym pudełku do szycia pod podłogą na stryszku domu jego matki. Pojawiły się na nim śmieszne łatki z pikseli mające zapobiec publicznemu zgorszeniu, ale i tak widać było, co się dzieje. Na ekranie dochodziło do aktów seksualnych dorosłych mężczyzn z dziećmi i nastolatkami różnej płci, których trudno by nazwać chętnymi partnerami.

Pokazano nam twarze owych dorosłych.

Jednym z nich był Lance Pitman, minister planowania.

Kolejnym – ojciec Rafael Gorman.

Następnego faceta prezenterka zidentyfikowała jako Malcolma Bleeka, niegdyś wysokiej rangi urzędnika departamentu planowania.

Z usług dzieci korzystali też dwaj przywódcy związków zawodowych, prominentny finansista mieszkający obecnie za granicą i ktoś, kogo dziennikarzom nie udało się zidentyfikować. Nie ulegało jednak wątpliwości, że ktoś rozpozna jego twarz. Może żona, może dzieci albo koledzy.

Ronnie zrobił mnóstwo zbliżeń. Upewnił się, że twarze będą dobrze widoczne i że da się określić tożsamość bohaterów jego filmu.

– Te szokujące zdjęcia nakręcił Ronald Bishop, pracownik fundacji Bezpieczne Ręce, stworzonej i zarządzanej przez ojca Rafaela Gormana, a powołanej do pomocy młodym ludziom, którzy z różnych

przyczyn trafili na ulice. Prawdopodobnie został wykorzystany do szantażu wobec osób, które są na nim widoczne, w tym ministra Lance'a Pitmana. Wydaje się prawdopodobne, że Bishop zachował kopię, traktując ją jak rodzaj ubezpieczenia na życie.

W studiu pojawiła się Linda. W sposób rzeczowy i bardzo profesjonalny opowiedziała historię sprzedaży ziemi nad zatoką Yarra oraz terenów byłego osiedla komunalnego w Hoagland. Podała daty, nazwiska, szczegóły kontraktów. Wyjaśniła, że Anne Jeppeson omal nie zrujnowała misternie uknutej intrygi i dlatego została skazana na śmierć. Opisała, w jaki sposób sierżant Scullin wrobił Danny'ego McKillopa oraz jak ojciec Gorman skłonił Ronniego Bishopa, by przypieczętował los nieszczęsnego kozła ofiarnego.

Program trwał mniej więcej pół godziny. Niektóre szczegóły pozostały w sferze domysłów, ale i tak zrobiła się z tego potężna afera.

Kiedy na ekranie pojawiły się napisy końcowe, Cam wstał, przeciągnął się, wyciągając ramiona wysoko w górę i westchnął.

– Jestem wstrząśnięty – zachichotał. – Straciłem wiarę w dorosłych i w politykę. Trzeba to uczcić. Co powiesz na szampana?

Przez chwilę patrzyłem na niego w milczeniu.

– Nalej mi piwa. W największy kufel, jaki tu znajdziesz.

* * *

W sobotnie popołudnie nad Caulfield wiał przejmująco zimny późnojesienny wiatr. Cyril Wootton i jego ulubiony bukmacher, długonoga Cynthia, byli na to przygotowani. Oboje mieli na sobie grube tweedy, a szyje owinęli ciepłymi szalikami.

Za dziesięć trzecia stałem przy barierce i patrzyłem, jak Nancy Farmer i Tony Ericson uwijają się wokół swojego ukochanego konia Dakota Dreaming *alias* Slim. Nancy była wyraźnie podenerwowana. Ciągle poklepywała wierzchowca, wygładzała mu grzywę, delikatnie ciągnęła go za uszy. Tony natomiast wyglądał znacznie gorzej. Zachowywał się jak oskarżony, który czeka na powrót sędziów mających ogłosić wyrok. Na szczęście, koń zachowywał spokój za wszystkich troje. Stał ze spuszczoną głową i patrzył w ziemię jak ktoś, kto doskonale wie, że jeszcze długo sobie poczeka.

Dzieci Tony'ego stały już przy torze, podskakując z zachwytu. Tym razem mała nie dopełniła chyba swoich obowiązków, bo Dakota nie błyszczał tak jak wtedy, gdy zobaczyłem go po raz pierwszy. Próbowała co to prawda ukryć, ale mnie nie oszukała. Zresztą, nie miało to większego znaczenia, bo nasz faworyt i tak prezentował się jak należało: napięte, drżące mięśnie, kilka otarć, spuszczony łeb.

Stojący obok mnie facet przyjrzał mu się z zainteresowaniem.

– Wygląda nieźle – powiedział, wskazując na Dakotę zwiniętą w rulon gazetą. – Ale nic z niego nie będzie. Dał popalić poprzednim właścicielom.

– Słyszałem – odparłem. Widać, Ron Pevsner z „Age'a" też tak myślał, bo wycenił szanse na zwycięstwo Dakoty na pięćdziesiąt do jednego. Nikogo nigdy nie ocenił gorzej. Jego kolega Bart Grantley też nie wierzył w zwycięstwo Dakoty. Szczerze mówiąc, żeby zasłużyć na jego aprobatę, koń musiałby chyba zacząć latać albo paść tuż za linią mety. Przeważały komentarze w rodzaju: To próba powrotu na tor. Rzadko biega, więc niewiele umie. Pokazał już, że nie można na

nim polegać. Trudno go trenować.

Wszyscy mówili mniej więcej to samo. „The Wizard” ocenił jego szanse na zwycięstwo jak sto do jednego, dodając, że warto by nad nim popracować. Cóż, trudno się spierać z tak rozsądną uwagą.

Tym razem sam przywiozłem Harry’ego na tor, bo Cam pojechał do Sydney, żeby zająć się interesami na skalę międzystanową.

Stary był w filozoficznym nastroju.

– Dokonanie przewrotu w tabeli wymaga chirurgicznej precyzji. Kiedyś wystawiłem konia, który miał wygrać, a przybiegł ostatni. Wyobrażasz sobie! Ostatni! Utopiłem siedemdziesiąt kawałków. – Uśmiechnął się. – Zawsze pojawiają się jakieś nieprzewidziane przeszkody. W kalkulacjach trzeba wziąć pod uwagę umiejętności konia i dżokeja, wagę obydwu, sposób, w jaki wychodzą z bramki, nawierzchnię toru, pogodę… Wystarczy drobne potknięcie, i już po tobie. Co więcej, dziś Dakota ma przeciwko sobie trzynastu rywali, ciężkie, zdeterminowane bestie, które chcą wygrać za wszelką cenę.

Zanim się rozstaliśmy, spytał jeszcze:

– Masz przy sobie trochę drobnych?

Skinąłem głową.

– Zrób coś dla mnie, proszę. Właśnie doznałem totalnego olśnienia.

Za kwadrans trzecia podszedłem do Woottona. Siedział na jednej z ławek i przeglądał program wyścigów. Wyglądał w każdym calu na szacownego bankiera na urlopie.

– Właśnie myślałem o jednym z twoich bukmacherów, Cyrilu – zagadnąłem. – O Eddiem Dollerym. Mam nadzieję, że twoja Cynthia nie ma słabości do facetów w mundurach ani w skórzanej bieliźnie z dziurą w kroku.

Podałem mu niewielką białą kartkę papieru. Przyjął ją bez entuzjazmu. Spojrzał na mnie tak, jakbym był sprzedawcą encyklopedii i na ważnej biznesowej kolacji wręczył mu swój bilet wizytowy.

Odwrócił kartkę i przeczytał:

– Sześć, dziewięć.

Zerknął na mnie pytająco.

Skinąłem głową.

– Zgadza się. Sześć, dziewięć.

Przekazałem mu ostatnie instrukcje. Wysłuchał ich z kamiennym wyrazem twarzy, po czym schował program do bocznej kieszeni marynarki i odszedł, nie oglądając się za siebie. Cynthia rozmawiała tymczasem z wysokim facetem o bujnej czuprynie młodego Elvisa Presleya i pryszczatej twarzy. Zauważyła nadchodzącego Woottona, skinęła ku niemu głową i coś powiedziała.

Cyril podszedł wprost do niej, podał jej kartkę i rzucił dwa, trzy słowa.

Odpowiedziała równie krótko, po czym spojrzała na młodego Presleya, który niemal natychmiast się ulotnił.

Na początek zwycięstwo Dakota Dreaming obstawiano na pięćdziesiąt do jednego. Faworyt Shanning Officer dostał cztery do jednego, a drugi w kolejce do zwycięstwa Steel Beach – sześć do jednego.

Podszedłem do bukmachera o nazwisku Mark Whitecross, potężnego faceta z wiecznie skwaszoną miną, o którym mawiano, że unika ustawionych zakładów jak ognia. Harry traktował to jak wyzwanie.

– Stawiam dwa kawałki przeciwko dwunastu na numer cztery – powiedziałem.

Numer czwarty dostał Steel Beach.

Whitecross zerknął na mnie bez zainteresowania i poczłapał do komputera.

Spojrzałem na kwit, który mi wręczył.

– Poproszę kolejne dwa do dwunastu na numer czwarty.

Doczekałem się reakcji. Whitecross wypchnął językiem policzek w dziwacznym grymasie.

Schowałem kwit do kieszeni.

– Jeszcze raz dwa do dwunastu na numer czwarty. Bardzo proszę.

Bez słowa podał mi kolejny świstek papieru. Po raz ostatni poprosiłem:

– Jeszcze raz to samo.

Facet siedzący obok Whitecrossa szepnął mu coś do ucha. Wychylił się do tyłu, by popatrzeć na następnego bukmachera. Odwróciłem głowę w tę samą stronę. Przy sąsiednim okienku stał Wootton. Stawka za zwycięstwo Steel Beach spadła na dwa do jednego.

– Teraz płacimy dwanaście za sześć – oznajmił mi zimno Whitecross.

Zanim skończyliśmy z Woottonem, spuściliśmy stawki Steel Beach na dziewięć do czterech.

Jednocześnie podbiliśmy stawkę za Dakotę do stu do jednego. Nadeszła pora, aby do akcji wkroczyli Cynthia z Elvisem i resztą ferajny.

Setka spadła najpierw do sześćdziesięciu sześciu, a potem do trzydziestu trzech. Wtedy nadeszły wieści z Randwick. Cam przypuścił atak. Stawka znów spadła: do dwudziestu, czternastu, w końcu do siedmiu. Kiedy Dakota pod Nancy Farmer stanął wreszcie w bramce, za jego zwycięstwo płacono dziewięć do czterech. Na tym etapie nikt się nie obłowi.

Wootton przepchnął się do mnie przez tłum.

– Misja zakończona – rzucił. – Dowódca szwadronu RAF-u wraca znad pól Devonu.

– Pora na akt pierwszy.

Z głośników odezwał się głos komentatora.

– Jeszcze przed wyścigiem doszło do interesującego zdarzenia. Na zwycięstwo konia biegnącego z numerem dziesiątym, Dakota Dreaming, postawiono bardzo wysoką kwotę, zbijając stawkę ze stu do jednego na dziewięć do czterech. Do tak dużego spadku dochodzi niezwykle rzadko. Zapowiada się bardzo interesująca gonitwa, tym

bardziej że kwota zakładu jest trzecią co do wysokości w naszym stanie. Wygląda na to, że ktoś uważa się za mądrzejszego od komentatorów sportowych. Jeśli ten koń wygra, kasy będą dziś szturmować liczni szczęśliwcy i żaden nie odejdzie z pustymi rękami. Bukmacherzy pójdą z torbami. Jeśli jednak tak się stanie, będziemy świadkami sensacji stulecia, jeśli nie dwóch stuleci. Spójrzmy na inne konie. Lazarus zdobywa złoto na długich dystansach. Od dwóch lat nie był wystawiany do wyścigów, nie odszedł bowiem w glorii chwały. Sporo postawiono również na Steel Beach, przynajmniej w pierwszej fazie przyjmowania zakładów, szybko jednak zdeklasował go Dakota Dreaming, który pobił dziś wszystkie rekordy bukmacherów.

I tak dalej, i tak dalej, póki konie nie stanęły w bramkach, gotowe do startu.

Światła zaczęły błyskać, sygnalizując zbliżający się start. Boksy otwarły się z trzaskiem.

Dakota za późno wyszedł z bramki. Nancy Farmer nie poradziła sobie z napięciem. Powtarzał się scenariusz z poprzednich wyścigów. Tego akurat nie planowaliśmy.

Na starcie Dakota był dziesiąty, co na torze w Caulfield nie wróżyło dobrze. O ile pamiętam, Harry kazał Nancy wyjść z boksu jak najszybciej.

– Żeby to wiedzieć, nie trzeba kończyć studiów – powiedział jej wczoraj w nocy, kiedy już obejrzeliśmy filmy wideo z gonitw największych konkurentów Dakoty oraz kilku gonitw rozegranych na Caulfield dla lepszego rozeznania. – Dlatego właśnie kilka świetnych koni na tym torze doznało spektakularnej porażki.

Podczas seansu u Harry’ego obejrzeliśmy też dwa starty Steel Beach.

– Ma niewiele klasy – podsumował Harry. – Ale bywa niebezpieczny. Narzuca stałe tempo i wytrzymuje ogromny wysiłek. Jest bardzo, ale to bardzo wytrzymały. Jeśli znajdzie się na czele

stawki i zacznie dyktować tempo, już go nie dogonicie. Potrafi biec i pięć kilometrów. Dakota nie sprosta takiemu wyzwaniu. Podobnie zresztą jak Shining Officer.

Po sześciuset metrów od startu Nancy znalazła lukę i przesunęła się na zewnętrzną. W samą porę. Zaczął się właśnie długi wiraż po pierwszej prostej. Gdyby dała się zblokować, musiałaby pokonać znacznie więcej metrów niż jej główni rywale.

– Uwaga, po ośmiuset metrach prowadzi Steel Beach – ogłosił komentator. – Z każdą chwilą zwiększa dystans dzielący ja od drugiego konia stawki Sir Haliberda, który wyraźnie słabnie. Do walki o podium włącza się Shining Officer.

Potem nastąpiła długa lista końskich imion. Dopiero pod koniec usłyszałem: Dakota Dreaming.

Biegła czwarta czy piąta od końca. Kiepsko.

Skierowałem lornetkę na tor i w tłumie jeźdźców odnalazłem czarno-biało-zieloną kurtkę Nancy. Trzymała się blisko grupy kilku koni. Przed nią biegł tylko jeden, który zaczął zwalniać. Widziałem, że rozgląda się dookoła gorączkowo.

Konie minęły tysiąc dwieście metrów.

– Nic nie wskazuje na to, by czekała nas niespodzianka – powiedział komentator. – Steel Beach nadal prowadzi. Jest w świetnej formie. Sir Haliberd nie wytrzymał tempa i odpadł z wyścigu o palmę pierwszeństwa. Drugą pozycję przejął po nim Shining Officer. Trzeci jest Celeste's Bazaar. Za nim Fear or Favour i Fashion Victim. Daleko z tyłu koń, na którego postawiono najwięcej, Dakota Dreaming. Bukmacherzy wznoszą teraz dziękczynne modły.

Znów spojrzałem przez lornetkę na Nancy. Od prowadzącego Steel Beach dzieliło ją jakieś pięćdziesiąt metrów. Pozwoliła się zablokować i teraz rozpaczliwie szukała drogi ucieczki. Popełniła poważny błąd. Ja też. Lubiłem rysunki Sisleya, a Isabel je uwielbiała. Miałem nadzieję, że pewnego dnia przekażę je Claire. Teraz jednak wyglądało na to, że straciłem i rysunki, i dwadzieścia pięć kawałków, które za

nie dostałem.

Opuściłem lornetkę i rozejrzałem się. Harry siedział dwa rzędy wyżej, kilkanaście metrów ode mnie. Wyglądał równie przeciętnie jak zwykle. Na tym polegał jego czar: nigdy nie rzucał się w oczy.

– Obudził się wreszcie książę zakładów, koń, na którego postawiono dziś najwięcej. Biegnie teraz po zewnętrznej, przez co nadrabia metry i zmniejsza odległość do prowadzącego. Może się jednak okazać, że jest już za późno. Do mety zostało osiemset metrów.

Nancy wydostała się wreszcie z pułapki po zewnętrznej, wcisnęła się w lukę między dwoma rywalami i puściła Dakotę, przesuwając się w stronę środka toru. Wiedziałem, że był to akt desperacji.

Od lidera stawki dzieliło ją sześć koni. Steel Beach wydawał się w pełni sił, biegł równo, bez wysiłku, spokojnie. Dżokej obejrzał się przez ramię. Nie wydawał się zaniepokojony.

Nancy pochyliła się nisko nad karkiem Dakoty. Szybko minęła konie numer sześć i siedem.

Nadeszła kolej na piątkę, na konia o imieniu Shining Officer, uważanego za jednego z faworytów gonitwy. Kary ogier wyraźnie stracił serce do walki, gonił resztką sił. Na grzbiecie dźwigał co najmniej pięć kilogramów więcej niż Dakota. Udało się.

Teraz Celeste's Bazaar. Trudniejszy, bo mniej zmęczony przeciwnik.

– Zostało dwieście pięćdziesiąt metrów! – krzyknął komentator. – Celeste's Bazaar został z tyłu. Steel Beach i Dakota Dreaming dzieli coraz mniejsza odległość. Nie do wiary, jak szybko rozprawił się z rywalami Dakota. Z końca stawki wysunął się na czoło. Co za emocje! Dakota przyspiesza. Właśnie spełnia się najczarniejszy koszmar bukmacherów. Sayre ogląda się przez ramię. Popędza konia szpicrutą. Zostało sto metrów. Czy Steel Beach wytrzyma tempo?

Nancy znów przypadła do karku Dakoty. Wyglądało to tak, jakby szeptała mu coś do ucha. Przyspieszyła i usiadła na ogonie lidera.

Trzymała się tuż za nim.

Czy kilkadziesiąt metrów wystarczy, by go wyprzedzić?

Nancy poganiała Dakotę tylko kolanami i dłońmi. Całe jej ciało wibrowało. Sprawiała wrażenie, jakby wtopiła się w koński grzbiet.

Koń odpowiedział na jej nieme wezwanie.

Wydłużył krok o co najmniej pół metra. Przyspieszył. Z boku wyglądało to tak, jakby Steel Beach osadziła w miejscu jakaś niewidzialna siła.

Teraz konie szły łeb w łeb.

Do mety zostało kilka metrów.

Dakota wyciągnął szyję i wysunął łeb do przodu.

– Dakota! – wrzeszczał podekscytowany komentator. – Dakota! Wygrywa Dakota Dreaming! Steel Beach jest drugi, Celeste's Bazzar zaledwie trzeci. Fantastyczny finisz. Bukmacherzy łkają z rozpaczy.

Nancy stanęła w strzemionach i wyrzuciła w górę ręce w geście triumfu. W euforii wymachiwała szpicrutą nad głową. Ryzykowała, że zrobi sobie krzywdę, ale upojona zwycięstwem zupełnie o to nie dbała. Z dziesiątej pozycji awansowała na pierwszą. Jej życie zmieni się teraz diametralnie.

Udało nam się.

Obejrzałem się na Harry'ego. Walczył z nakrętką srebrnej piersiówki. Wreszcie otworzył ją i pociągnął solidny łyk whisky. Podchwycił moje spojrzenie. Skinął krótko głową.

Popatrzyłem w dół, gdzie tuż przy barierce tańczyli z radości Tony Ericson i Rex Tie. Tom nosił siostrę na barana i podskakiwał.

– Dakota – powiedziała Linda, kładąc mi dłoń na ramieniu. – Nareszcie wiem, czyje imię powtarzałeś ostatnio przez sen.

Odwróciłem głowę. Miała na sobie czarną skórzaną kurtkę. Słońce lśniło w jej świeżo umytych i uczesanych włosach. Rozpierała ją energia.

– Nie mów Harry'emu, że gadam przez sen – poprosiłem. – Zdążyłaś?

– W ostatniej chwili. Nie wiedziałam przecież, czego szukam.

– Najważniejsze, że mnie znalazłaś.

Pochyliła się i pocałowała mnie w usta.

– Masz rację. Tylko to się liczy.

Nie zostaliśmy do końca. W drodze powrotnej włączyłem radio. Fitzroy pokonało Collingwood, osiem minut przed końcem meczu zdobywając dwa punkty.

– Postawiłeś coś na nich? – spytał Harry.

– Całe życie.

– Za dużo. To przecież tylko gra. Nie tak jak wyścigi konne. Zjecie dziś ze mną kolację? Umówiłem się z Camem. Opowie, jak mu poszło.

[1] John Edgar Hoover – legendarny, wieloletni szef FBI; na stanowisku od 1924. W pamięci Amerykanów zapisał się jako silny, nieustępliwy, wszechwiedzący człowiek. Znany z zangażowania w walkę z komunizmem.

[2] *du bist…* (niem.) – jesteś prawnikiem

[3] *Arschloch* (niem.) – dupek

Peter Temple (ur. 1946) – ceniony australijski autor powieści kryminalnych. Zanim zajął się pisarstwem, pracował jako dziennikarz i wykładowca akademicki. Twórca głośnego cyklu kryminalnego o Jacku Irishu, który otwierają *Duchy przeszłości*, oraz kilku innych powieści, takich jak *Przeklęty brzeg* (2008), *Mediator* (2011) i *W dzień zła* (2011), znanych już polskim czytelnikom.

Za *Duchy przeszłości* otrzymał prestiżową Ned Kelly Award dla najlepszej debiutanckiej powieści (1997).